

CZAS

Dodatek miesięczny.

ROK CZWARTY.

Tom XVI — Zeszyt 46.

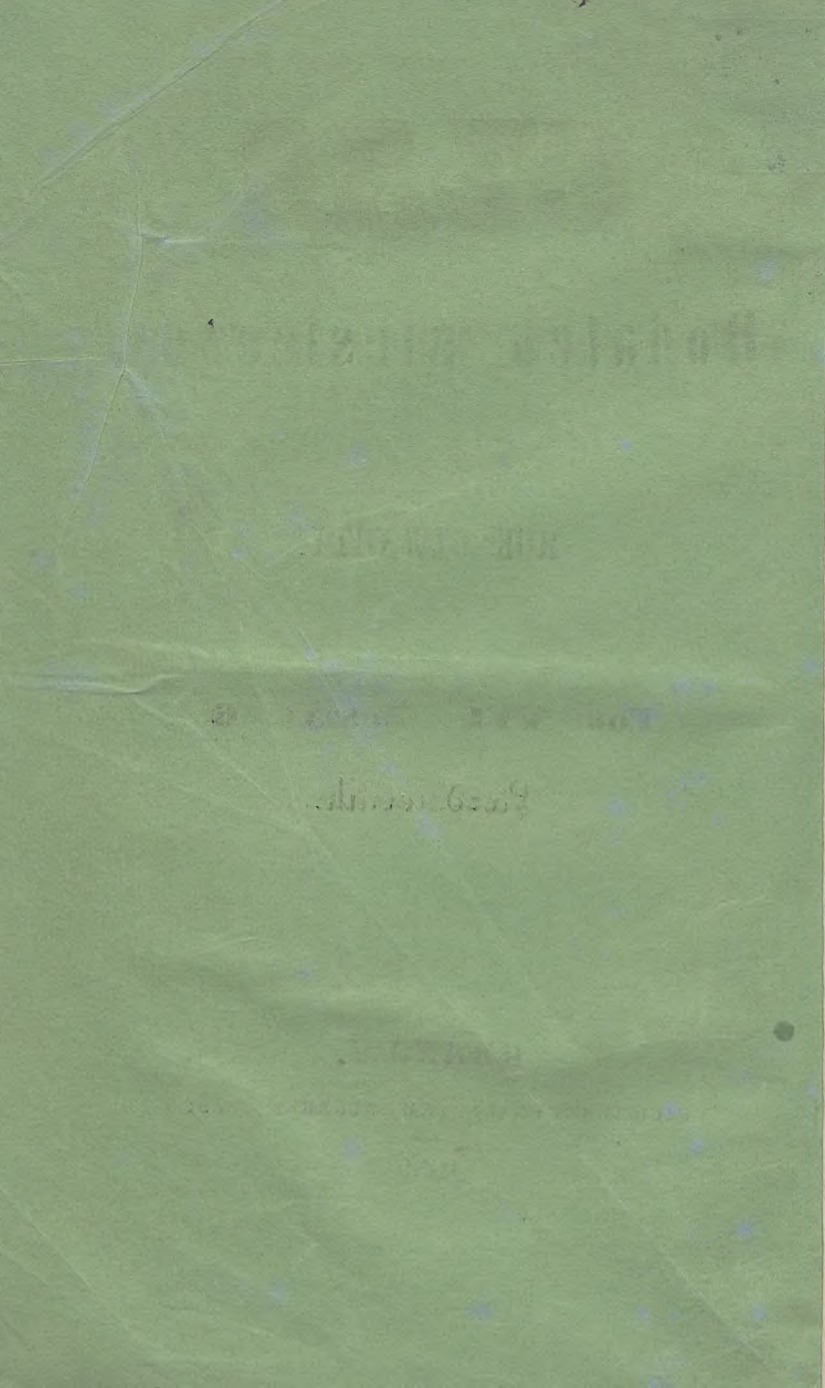
Październik.



KRAKÓW.

CZCIONKAMI I NAKŁADEM DUKARNI „CZASU”.

—
1859.



Listopad — 1859.

1874 — 1875

SPRAWOZDANIE

ZE STANU POLITYCZNEGO I WOJSKOWEGO POLSKI

przez JMó Pana Sebastyana Cefali

Sekretarza Jerzego Lubomirskiego Marszałka W. Kor.

(Przekład z dotąd niewydanego rękopismu w języku włoskim istniejącego w florenckiej księgarni *la Magliabechiana Class. XXIV, n. 53. **).

Królestwo Polskie jest czysto obieralnem, a
jeśli nawet król umierając zostawia synów lub
braci, ci nie odziedziczają po nim innego dostoj-
eństwa, krom uszanowania powinnego krwi
królewskiej; co się zaś tyczy władzy, ta prze-
chodzi całkowicie w ręce arcybiskupa gnieźnień-
N. I
N. II.

*) W niniejszym wiernym naszym bez komentarzy przekładzie, zachowaliśmy numera i tytuły na marginesach istniejące w rękopiśmie włoskim. (*Przyp. tłumacza*).

skiego, który ma przywilej być legatem urodzonym, prymasem, pierwszym ksiązkciem i wicekrólem dożywotnym państwa.

N. III. Ten podczas bezkrólewia listami okólnemi oznajmuje zgon królewski wszystkim ziemiom i powiatom, i nakazuje zjazd stanów do Warszawy, dokąd każda prowincya wyprawia swych

N. IV. posłów stósownie do sejmowego obyczaju; to zaś ogólne zgromadzenie przybiera nazwę sejmu konwokacyjnego, a na nim się stanowi o obronie królestwa, rozsyłają się ordynanse do wojsk i odpowiednio do przepisów prawa oznacza się czas na elekcyę, który bywa zwykle, trzech miesięcy licząc od końca sejmu, ażeby posłowie z najdalszych województw mogli wygodnie nań zjechać.

Niebawem po zgonie króla i po obwieszczeniu onego stanom koronnym przez prymasa, ustają sądy tak grodzkie jak ziemskie w całym królestwie. Każde województwo ustanawia nowy try-

N. V. bunał straszny i nieodwołalny zwany *kapturum* *),
Kaptur. (od słowa, co oznacza zasłonę spuszczaającą się na oblicze), dla wyrażenia surowości tego urzędu, który sędzi nieodrocznie i wedle formy z góry przepisanej, zakładając swą stolicę w głównem województwa mieście. Składa się zaś ze szlachty, a w wyborze jego członków ma się zazwyczaj wzgląd na znakomitość, cnotę i uczciwość osób, któreby w piastowaniu nieograniczonej władzy tak w cywilnem jako i w kryminalnem forum umiały i chciały się stósować do praw krajowych, nie zaś postępować według własnego uwidzenia i uporu. Sprawy przeto wy-

*) Po polsku w tekście.

toczone poprzednio przed inne sądy zostają w zawieszeniu aż do elekcji nowego króla.

Na elekcyą zaś każde województwo i każdy powiat śle posłów swoich, obranych pierwój na zgromadzeniu wszystkiój szlachty posiadającój dobra ziemskie, (albowiem ta tylko na sejmikach, sejmach i obradach publicznych miewa wotum), podług form zachowywanych powszechnie na sejmach walnych. Ci zaś posłowie nie są obdarzeni inną władzą ze strony swych prowincyj i ziem krom mocy pisania się na elekcyi, gdyż wszelakiemu szlachcicowi posiadającemu dobra ziemskie zostawia się całkowitą swobodę do brania w niój udziału i do głosowania na niój.

N. VI.

Miasta polskie albo są własnością Rzpltej i zależą bezpośrednio od króla, albo też zostają w posiadaniu prywatnych; takowe zaś nie mają innych przywilejów nad te, jakie otrzymały z łaski swych panów z pewnością używania onych dopóty, dopóki trwa dobra wola pańska. W liczbie zaś tamtych, co się wszystkie nazywają królewskimi, pewne główne zaszczycone są prerogatywą wyprawiania posłów tak na elekcyą jako i na sejmy, a temi są: Kraków, stólczne miasto całego królestwa, Toruń i Gdańsk; inni zaś nie biorą żadnego udziału ani mają głosu na pospolitych zgromadzeniach.

N. VII.

W czasie elekcyi książę prymas z senatem, toż najznakomitsza część stanu rycerskiego udają się na miejsce przeznaczone ku temu obrzędowi, a jestto rozległa płaszczyna o pół mili od Warszawy, gdzie stawiają szopę i obyczajem wojennym rozkładają się obozem. Po zwykłym nabożeństwie książę prymas przedstawia pospo-

litą potrzebę i upomina szlachtę, aby takowęj nie traciła z oczu a wyrzekła się prywaty; poczem przyjmują się poselstwa od zagranicznych książąt, kandydatów lub zaleconych, ale posłom samym niewolno opuszczać miasta.

N. VIII. Obrady odbywają się pod golem niebem, i bardziej wyglądają na tumult niż na regularne zebranie, a jednak właśnie to, co się w nich zgiełkiem widzi jest treścią najsubtelniejszej i najwygórowańszej polityki możnowładców, obracających całą tą wielką machiną; albowiem dawszy się nasamprzód wyszumieć niższej szlachcie, nabawić podawaniem jednych a wykluczaniem drugich, napopisywać dowoli z właściwą sobie zarozumiałością, iż jeden może obrócić w niwecz wszystko, cokolwiek ogół pochwalił, i że każdy jest równie głosem i zacnością najpierwszemu księżęciu, a potem udobruchawszy te pierwsze zapędy dzikości gęstemi ucztami i rozmyślną hojnością, wśród biesiadowania i licznie spełnianych kielichów, wtaczają się rozmowy o politycznych przygodach, miękczą się powoli najtwardsze i najzapamiętalesze mózgi, i frymarczy się głosami z puhaem w rękę. Jakoż książęta i magnaci zwykli tam zjeżdżać dworno, i z poczem szlachty o wiele liczniejszym od zwykłego, ażeby mieć tem większą liczbę przyjaciół i popleczników.

Gdy zaś wszystka już szlachta podzieli się na kilka stronnictw, a te nie mogą się jeszcze zgodzić między sobą, wtedy za pomocą zabiegów i uczt przywodzi się ich do jednomyślności względem kandydata, którego się obrać żąda, osobliwie jeżeli ten pochodzi ze krwi kró-

lewskię, jak się to działo na niedawnych elekcyach Władysława i dziś panującego Jana Kazimierza, nie iżby tym książętom zostało było jakiebądź *jus* do królewskiej władzy, ale przez samą wdzięczność i dobroć wrodzoną polskiemu narodowi, który dopóki trwa ród jego królów przekłada go zawsze nad obce rody.

Nierównie trudniejszemi do pojednania bywa-
ją stronnictwa ilekroć wybór pada na zagranicznego księcia, jeżeli są zaś tak dalece potężnemi iż jedno przed drugim ustąpić niechce, naówczas elekcyja się odbywa z dobytą szablą, i każde z nich obwołuje swego kandydata i usiłuje utrzymać go gwałtem, jak to się stało po śmierci króla Stefana, kiedy się wszystka szlachta rozpadła na dwa stronnictwa, z których jedno pod wodzą Jana Zamojskiego, podówczas kanclerza i hetmana wielkiego koronnego, a krewnego zmarłego króla, obrało Zygmunta króla szwedzkiego, ojca dziś panującego Jana Kazimierza, z powodu iż pochodził ze krwi królów polskich i był synem Jagiellonki; drugie zaś pod Zebrzydowskim wojewodą krakowskim, (dziadem dzisiejszego miecznika koronnego, który otrzymał kasztelanią krakowską odebraną marszałkowi w. k.), obrało Maxymiliana Rakuskiego. Zaczem oba te stronnictwa starły się w pobliżu Krakowa, z klęską Zebrzydowskiego i niewolą Maxymiliana, wypuszczonego później po wyrzeczeniu się wszelkiej pretensyi do tronu. Jakoż w rychle królestwo całe przystąpiło do Zygmunta.

Po jednomyślnem obwołaniu króla *nemine penitus, penitus discrepante*, (albowiem jeżeli się znalazł jaki zapamiętalec nazbyt ociętny, tedy

się zwykło zyskiwać jego konsens już prozbą, już grozbą), prymas ogłasza dokonanie elekcji, i piszą się porządkiem wszyscy senatorowie, którzy głosowali, toż posłowie ziemscy w imieniu swych prowincyj. Wszystkie stany spieszą powitać nowego króla, a on zaś w zamian obowiązuje się zachowywać prawa i przywileje Królestwa, z warunkami podanemi sobie w imieniu pospolitości, a z góry przez siebie przyjętemi jako też nie przywłaszczać sobie, mianowicie nad życiem szlachty, władzy rozciąglejszej od téj, jaką mu stany konferowały; przyczem wyrzeka te słowa: *Neminem captivabimus nisi jure victum*.

Po spełnionej elekcji król zapowiada koronacją swoją w Krakowie, tudzież sejm walny, na którym każda prowincya rozkłada swoje żale, i gdzie się o nie bardziej nie ubiegają jak o osłabienie władzy z utwierdzeniem własnej.

Gdy nadchodzi czas koronacyi w Krakowie wyprawia się nasamprzód wspaniały pogrzeb zmarłemu królowi, na którym ma miejsce ceremonia łamania laski marszałka wielkiego, i pieczęci kanclerza, jako też wszelkiego godła oznaczającego urząd publiczny. W sam zaś dzień koronacyi składają żałobę, i każdy przybiera napowrót godło swego dostojenstwa z herbami i nowego króla imieniem.

Korona-
cya.

Obrzęd koronacyjny odbywa się w kościele zamkowym, który jest krakowską farą. Spełnia go arcybiskup gnieźnieński z niesłychaną okazałością. Przyciąga nań wszystka szlachta królestwa, nie wyjmując najdalszych stron Litwy i Ukrainy, dworno i nadzwyczaj wystawnie.

W dzień następny po koronacyi wznoszą tron na krakowskim rynku, a król poprzedzony przez niezliczoną szlachtę konno jadącą i przez urzęda koronne i litewskie niosące godła królewskiego dostojęństwa, pod baldachimem trzymanym od ławników i starszyny miejskiej udaje się z zamku do ratusza, gdzie ubrany w płaszcz, z koroną na skroniach i berłem w prawicy, zasiada na tronie w obec wszystkiego ludu. Wtedy burmistrz krakowski podaje mu klucze stolicy i składa mu przysięgę na wierność, a król ze swojej strony przyrzeka zachować miastu starodawne jego przywileje, i na tem się kończą uroczystości koronacyjne. Następuje potem w Krakowie sejm, który różnie od innych zowie się sejmem koronacyi.

One dwie osie na których się obraca wszelka polityczna całość, to jest kara i nagroda, podpadają w Polsce odrębnej całkiem jurydyki, albowiem ta zawisła całkiem od królewskiego upodobania, tamta zaś od stanowienia trybunałów niezależnych od króla.

Wszystkie dostojęstwa, posady, starostwa i urzędy tak duchowne jak cywilne i wojskowe, od pierwszego do ostatniego, są rozdawnictwa królewskiego, całkowicie swobodnego i dowolnego, wyjąwszy wtedy, kiedy prawo cudzoziemców niesposobnymi do nich ogłasza, i przeznacza je wyłącznie krajowcom w nagrodę zasług, których wszelako jedynym sędzią jest król. Jakoż liczy się, że dwie trzecie ziem koronnych są dobrami królewskimi, albowiem tak się nazywają te, których rozdawnictwo należy do króla.

N. X

Władza
królew-
ska.

Zwyczaj-
ne dochó-
dy kró-
lewskie.

N. XI.

Zwyczajne osobiste dochody królewskie składają się z niektórych dóbr i starostw znanych pod nazwą ekonomii królewskich, (a te są liczne i dostatnie); z żup solnych w Wieliczce i Bochni, z dziesięcin pobieranych z rud srebra i ołowiu w Olkuszu, z niektórych ceł królewskich tak w Polsce jako i w Prusiech, toż z intrat neapolitańskich wynoszących 40 tysięcy sztuków rocznych ufundowanych na komorze celnej w Foggia, w skutek odstąpienia królom hiszpańskim przez królów polskich księstwa Baru, posagu królowej Bony z domu Sforzów, która była żoną Zygmunta I Jagiellończyka a matką Zygmunta Augusta.

Nadzwyczajne zaś bywają mniejsze lub większe wedle okoliczności i trybu używanego przez króla w szafowaniu urzędami; albowiem w czasie wakansu starostw, z których niejedno daje czystego dochodu 20 i 30 tysięcy talarów rocznie, król może je zatrzymywać przy sobie rok i sześć niedziel zanim je rozda, a przy samem jeszcze rozdaniu może z nich inne ciągnąć zyski, jak to czynił ś. p. Zygmunt trzeci, który pomimo tylu wojen z Turkiem, Tatarami, Moskwą i Szwedem, i pomimo wewnętrznych rokoszów potrafił zostawić dzieciom skarby ogromne w gotowiźnie.

Nawet w rozdawaniu krzesel senatorskich i innych urzędów koronnych, ambicya ubiegających się o nie zwykła znacznie pomnażać królewskie dochody, których dla téj niepewności niepodobna należycie obliczyć.

Straż królewska ograniczoną została do pocztu 1200 żołnierza na sejmie złożonym 1646 roku, kiedy król Władysław przyjął był na swój żołd całe prawie wojsko cudzoziemskie dla pro-

wadzenia wojny z Turkiem, i widział się znie-
wolonym rozpuścić one z niemałą ujmą królew-
skiej powagi, która niszczała niemal przez to,
a krzywdą tak chwalebnego króla, który nie
długo potem dokonał żywota.

Okrom zwyż pomienionych 1200 ludzi skła-
dających pułk jeden, jestei jeszcze kompania
halabardników, prawie wszystkich oficerów zre-
formowanych, którym powierzona najbliższa
straż około osoby królewskiej, toż kompania
dragonów, których nazwać można strzelcami
konnymi, albowiem mają tęgie pod sobą konie,
a zamiast rusznic krótkie muszkiety ze skałką,
i kompania stu hajduków, (to jest piechoty wę-
gierskiej), którzy użyci bywają do posług ra-
czej dworskich jak do wojskowej służby.

Utrzymanie straży opłacane bywa przez Rzpltę, N. XIII.
co się ma też rozumieć o załogach fortec.

Komora królewska składała się dawniej z naj-
przedniejszej szlachty, co przysparzało wystawy
a ujmowało wydatków: odkąd zaś przeciwnie
większa część komorników i dworzan pochodzi
z ubogiej szlachty, przybyło rozchodu na nich
tak właśnie jak na cudzoziemców zaciągających
się do służby. W dawniejszym czasie słynęła
kapela królewska złożona z muzykantów włoskich.

Wydatki
królew-
skie.

Inne zaś wydatki ograniczają się na stole
królewskim i na innych potrzebach domowych
odnośnych do ozdoby i wspaniałości dworu.

Miasta królewskie mają osobne sądy z appe-
lacyą do kanclerza koronnego, a od tego do
króla, który sądzi pospołu z ministrami stanu
i z referendarzem koronnym wytaczającymi spra-
wy, a sądy te zowią się asesorskimi. Przewo-
dniczy podobnież sądom sejmowym z udziałem

Sądy kró-
lewskie.

Sądy ase-
sorskie.

senatu i posłów rycerskiego stanu, a na nich król ma wotum rozstrzygające.

Królowa. Król nie może pojąć małżonki bez dołożenia się Rzpltej; królowe zaś po ślubie koronowane bywają w Krakowie przez arcybiskupa z nadzwyczajną uroczystością. Na pierwszym sejmie po koronacyi uchwała się zabezpieczenie posagu znane pod nazwą reformacyi, a takowa polega jedynie na wyznaczeniu intrat z niektórych starostw królowej; ale ta nie może ich używać aż po zgonie osób co je obecnie dzierżą.

Bracia królewscy. Bracia królewscy świeckiego stanu są uposażeni w ten sam sposób; duchownym zaś nadają się biskupstwa. Wprawdzie zostając biskupami nie mogą dawać kreski jako senatorowie, aż chyba gdy osiedlą swe stolice, i to głosując z kolei po tych, którzy ich poprzedzają wedle porządku; z tych to tedy powodów stają po za senatorskiem kołem na miejscu przeznaczonem dla książąt krwi, ale nie mają głosu.

Pierwszą osobą po królu jest arcybiskup gnieźnieński głowa całego senatu składającego się z arcybiskupów, biskupów, wojewodów, kasztelanów i z jednego starosty, to jest żmudzkiego. Senatorowie dzielą się na dwie klasy: do wyższej należą duchowni, kasztelan krakowski, wojewodowie, starosta żmudzki i niektórzy tylko kasztelanowie więksi czyli wyższą piastujący godność; ci kiedy udają się na sejm każą nieść za sobą krzesła i biorą udział we wszystkich radach koronnych. Do niższej zaś klasy należą sami kasztelanowie mniejsi, którzy podczas sejmu zasiadać muszą na ławach i nie są przypuszczani do tajnych narad.

Oprócz zwyż wymienionych senatorów ma Polska pięciu ministrów stanu z senatorskiego koła, a Litwa ma drugie tyle. Ci zaś takim porządkiem następują po sobie:

Marszałek wielki.

Kancierz wielki.

Podkanclerzy.

Podskarbi wielki.

Marszałek nadworny.

Ministrowie stanu co się tyczy porządku niżsi są od innych senatorów, co zaś godności i władzy, nierównie wyżsi, i przeto ze wszystkich urzędów Królestwa przechodzi się do tych; a te zaś nie bywają składane aż chyba przez którego ministra duchownego dla postąpienia na arcybiskupstwo gnieźnieńskie lub biskupstwo krakowskie.

Marszałek wielki tak porządkiem jak godnością jest najpierwszym z ministrów. Władza jego jest znakomitą, ale bardziej w rzeczach zwierzchności jak w politycznych obrotach państwa. Wyznacza on sędziego z własnego ramienia będącego zarazem przełożonym nad żywnością w mieście, gdzie się dwór znajduje, i wymierzającego nawet karę śmierci, ale zawsze waruje odwołanie do siebie. Prowadzi ze sobą straż niezawisłą od władzy królewskiej, a ta podczas sejmu czuwa nad bezpieczeństwem pospolitem.

Marszałek
wielki
koronny.

N. XV.

We wszystkich przypadkach wydarzających się u królewskiego dworu, marszałek jest nieodwołalnym sędzią życia i śmierci bez względu na dostojęństwo i godność osób

N. XVI.

We wszystkich uroczystościach publicznych marszałek W. występuje jako pierwszy minister Królestwa i króla, rozdaje miejsca, zaprasza

w imieniu królewskiem posłów książąt zagranicznych, a dwor cały w tych okolicznościach słucha go jako najwyższej władzy.

Bierze także udział we wszystkich senatus-konsultach i radach państwa tajnych i wojennych, i sprasza senatorów mających do nich należeć.

Ilekróć wchodzi na pokoje królewskie albo na sejmowe zgromadzenie, trzyma laskę, i tak na tajnych obradach jako też na jeneralnych sejmach, kiedy wszystkie stany połączone są w obec króla, nikomu nie wolno zabierać głosu jeśli mu tego najprzód nie dozwoli marszałek wielki kor.

Kancelarz
Wielki
koronny.

N. XVIII. Kancelarz Wielki koronny co do godności dzierży wtóre miejsce w rządzie ministrów, ale co do władzy i politycznych obrotów, może się nazwać pierwszym. Wszystkie łaski rozdawane przez króla winny przechodzić przez jego lub podkanclerzego ręce, a częstokroć do łask nie przez siebie wyrobionych nie chce przyłożyć pieczęci, z jakąbądź wymówką, albo dopóty zwleka, aż wszystko się w niwecz obróci. Że zaś rozdaje się ogromna liczba starostw, więc oprócz znacznego dochodu, jaki ztąd miewał w lepszych czasach, jest on potrzebny wszystkim, i przeto mu wszyscy nadskakują.

Kiedy król udziela jaką łaskę, której podług prawa udzielać nie może lub przysyła inny akt tego rodzaju do przypieczętowania, kanclerz zwykł odmawiać, owszem, odmowa jest dlań wówczas obowiązkiem włożonym na niego przez Rzpłtę, i dla tego się zowie *Custos legum*.

Wierzytelne listy doręczone posłom, toż wszystkie inne wyprawiane do książąt postronnych,

skoro noszą urzędową cechę, winny wychodzić z kancelaryi koronnój, inaczej nie mają żadnej wartości ani znaczenia.

Na sejmach kiedy król chce przełożyć jaki wniosek zgromadzonym stanom lub odpowiedzieć komu, zwykł to czynić przez usta kancelerzy, którzy odpowiadają podobnie posłom i książętom w imieniu Jego Król. Mei.

Sprawy cywilne miast królewskich idą przez odwołanie do wielkiego kanclerza, a od tego zaś do króla.

Podkanclerzy nie różni się od W. Kanclerza Podkanclerzem innem krom porządku mając tę samą rzy. co on powagę; sądzić tylko nie może w przytomności pierwszego; atoli expedyce są równie ważnemi kiedy wychodzą z kancelaryi mniejszej jak kiedy wychodzą z kancelaryi większej.

Z kanclerzy jeden bywa duchownym, drugi zaś świeckim. Od pieczęci mniejszej zwykło się przechodzić do pieczęci większej. Duchowny jest zawsze biskupem i przeto podwójnym senatorem. Biskupstwa większe bardziej intratne nie zgodnemi są z pieczęcią, a ta się składa jedynie dla arcybiskupstwa Gnieźnieńskiego lub biskupstwa Krakowskiego.

Kanclerz i Podkanclerzy litewski są obadwaj świeccy.

Podskarbi W. jest przełożony nad wszystkie Podskarbi Wielki mi dochodami publicznemi, nad solnemi żupami w Wieliczce i Bochni, nad mennicami i nad wszystkiemi poborami uchwalonemi na Sejmie ku zapłaceniu żołdu milicyom, którym on to winien wyliczać pieniądze podług asygnacyi dowódców.

Lubo intraty z żup solnych w Wieliczce należą do stołu królewskiego; z tem wszystkiem kon-

trakt arendowny z administratorem (albowiem tak nazywają dzierżawcę) stanąć nie może bez wiedzy Podskarbiego, który mu przepisuje miarę soli do wykopania; z tej zaś soli, za szczupłą opłatą, każdy szlachciec z mających ku temu prawo prowincyi, może brać ilość jaka nań przypada odpowiednio do rozległości dóbr jego, a potem sprzedaje onę swym poddanym.

Co zaś się tyczy soli wywożonej do Węgier i na Szląsk lub do miast królewskich i dalszych prowincyj, administrator może nią rozporządzać jak mu się podoba, i przeto znaczne ciągnie z niej zyski.

Król aż do roku 1649 nie miał większego dochodu z pomienionych żup nad 40 tysięcy złotych, a wtedy administratorami bywali ludzie znakomici i z senatorskiego koła; ale odkąd poczęto zawierać ugody z cudzoziemcami i z niższą szlachtą, dochód wzrósł przed wojną szwedzką do 400 tysięcy.

Zresztą urząd Podskarbiego jest zawsze wystawion na niechęć publiczną, a zwłaszcza wojska, co frasobliwie patrzy na to, jak drudzy krwią się jego tuczają, a złoto wszystko wpływając szeroką rzeką do skarbu, sączy się z tamtąd jak przez alembik.

Marszałek nadworny koronny. Marszałek nadworny koronny pod niebytność Marszałka Wielkiego piastuje najwyższą władzę, ale w przytomności tamtego nie ma żadnej jurysdykcyi, i tylko nosi łaskę tak przed królem jako i na sejmach, i bierze udział we wszystkich tajnych obradowaniach.

W niebytności obu marszałków ten z dwu kancelarzy, który jest świeckim podnosi łaskę przed królem i przewodniczy marszałkowskiemu sądom;

kiedy zaś niema Kanclerza lub Podkanclerzego zastępuje ich Podskarbi W., a potem porządkiem ten senator, który bawi podówczas u dworu.

Kiedy Król udaje się na Litwę, Marszałek Wielki koronny zachowuje te same przywileje i sprawuje swój urząd w przytomności nawet Marszałka Wielkiego litewskiego, którego zawsze poprzedza.

Królowa także ma swego Marszałka i Kanclerza. Marszałkiem bywa najczęściej poważny, taki senator, a ten bierze łaskę kiedy wchodzi na pokoje Jéj Król. Mei. Kanclerzem zaś bywał przedtem duchowny; atoli panująca Królowa obrała świeckiego z wielkiem niezadowoleniem Nuncyusza i biskupów utrzymujących, że zwyczaj stał się był prawem. Te urzędy dworu Królowej są jedynie honorowemi tytułami i nie liczą się do urzędów koronnych.

Marszałek
i Kanclerz
królowej
JMei.

Dostojnicy państwa nie należący do senatu są liczni i nie pospolitej powagi. Podkomorzy jest najpierwszym pomiędzy nimi, następuje wielki sekretarz, który bywa zawsze duchownym; dwaj referendarze, z których jeden duchowny a drugi świecki, wielki koniuszy, wielki podczasz (o te dwa urzędy ubiegają się najbardziej książęta), wielki krajezy, wielki stolnik, podstoli, podskarbi nadworny i miecznik.

Dygnitarze państwa.

Te wszystkie urzędy są ważne same przez się i zapewniają udział w sprawach państwa będąc dożywotnemi jak wszystkie inne urzędy polskie.

Urzędy należące do stanu wojskowego a liczące się do urzędów Rzpltej, są następne:

Przedewszystkiem urząd Hetmana Wielkiego i Hetmana polnego nadający nieograniczoną wła-

dzę; ten się zwykł udzielać senatorom, i to najprzedniejszym. Daléj urząd wielkiego Chorażego, który się najczęściej daje synom hetmańskim albo młodzieńcom wielkiej nadziei i znakomitej rodowitości. Urząd pisarza, który zna czy to samo, co komisarz wojenny, Oboźnego *), co brzmi po łacinie *metator castrorum* i strażnika, którego inaczej nazwać nie umiem jak *vigiliarum praefectus* i *custos finium Regni*.

Hetman Hetman wielki koronny rozrządza samowładnie siłą zbrojną Rzpltej, nie uznaje niczyjéj nad sobą zwierzchności w dawaniu rozkazów i

N. XIX.

w rozpisywaniu leż. Sądzi nieodwołalnie każdego oficera i żołnierza nie radząc się innego prawa krom wojennych ustaw, które są nadzwyczaj surowe, a król sam nie może darować życiem tego, kogo on skazał na stracenie. Przedsiębierze wyprawy, jakie mu się widzi, ale zdaje z nich sprawę sejmowi. Tych ostatnich lat z powodu tylu wojen, częstéj niewoli hetmanów i ustawicznój przytomności króla w obozie, nieśmieli się oni nigdy sprzeciwiać rozkazom dworu, jak to nieraz czynili dawniejsi hetmanowie. Zgoła, kiedy się trafi hetman z głową, z licznym dworem, ze sławą mężstwa, może się śmiało nazwać drugim królem, i tego to może właśnie lękano się od Wielkiego Marszałka w razie gdyby był zdołał dostąpić buławy.

Król może nie udzielać tego dowództwa i zadziżyć je dla siebie; wprawdzie gdyby wpadł w podejrzenie u Rzpltej musiałby je złożyć niezwłocznie. Atoli kiedy się osobiście udaje na

*) Po polsku w tekście.

wyprawę, łączy w sobie wszystkę hetmanów władzę, lubo nie może w niczem dowolnie postępować i nie zniósłszy się pierwój z tymi, przez których się wykonywają rozkazy, zwłaszcza kiedy hetman jest tak tęgą głową, jaką był Koniecpolski, przed nim zaś Żółkiewski, a bardziej od wszystkich Zamojski.

N. XX.

Hetman polny koronny ma mniej lub więcej władzy stosownie do zdolności wojskowych Hetmana Wielkiego i do wpływu, jakiego mu ten używać dozwala. Urząd ten urósł w znaczeniu w terażniejszej wojnie, dla podziału wojska, którego jedna część została pod rozkazami Hetmana W: k., druga zaś poddana jest całkowiec Hetmanowi polnemu.

Hetman
Polny Ko-
ronny.

Oprócz Chorążego, Pisarza, Oboźnego i Strażnika, którzy są najpierwszymi dowódcami po hetmanach, zdarza się częstokroć, iż dowództwo luźnej części wojska powierza się na jaką wyprawę jednemu z pułkowników (a znajdując się w ich liczbie senatorowie i to z najpierwszych), ale tym się nie daje nigdy hetmańskiego tytułu, i tylko w ciągu owęj wyprawy zowią się regimentarzami. Ci obejmują dowództwo z ręki jednego z hetmanów, i stosują się całkowiec do jego rozkazów, a sam król nie mocen rozkazywać im bezpośrednio. Może to właśnie dla znacznych uszczerbków, jakie Hetman Potocki dopuścił zadać hetmańskiej powadze, i z władzy całkiem przeciwnę przywilejom obu hetmanów, jaką dwór chciał obdarzyć nieboszczyka wojewodę Czarnieckiego, wywiązało się niespodzianie długie pasmo waśni niepokojących Polskę.

Każda prowincya i powiat ma nadto swe własne wielce znaczące urzędy rozdawane przez sa-

Urzędy
prowincyo-
nalne.

mego Króla wyjąwszy Podkomorzego, którego tytułują *princeps nobilitatis*, albowiem kiedy podkomorstwo wakuje województwo całe składa sejmik i podaje królowi czterech kandydatów do niego, z których Jego Król. Mość jednego zwykł obierać. Inne zaś urzędy wprost nadawane przez króla są następne: *Starosta sądowy* *), sędzący szlachtę własnego województwa i mający *forum castrense*; do téj godności są przywiązane intraty; dalej Podczaszy, Krajczy, Stolnik, Podstoli, Sędzia, Podsędek, Pisarz, Chorąży, Miecznik i Starostowie nieposiadający forum sądowego. Z tych zaś wielu czasem bywa w jednym województwie i pobierają znaczne intraty stosownie do wielkości starostw, z których kilka może zostawać w posiadaniu jednego starosty, albowiem zgadzają się ze wszelkim urzędem i godnością świecką, a nawet kobiety nie są od nich wyłączone i mogą po śmierci mężowskiej ciągnąć z nich pożytki za pozwoleniem królewskim.

Dwa starościńskie sądowe urzędy nie mogą ich jednocześnie piastować, ale pojedynczy jest zgodny z każdym innem dostojenstwem. Inne zaś urzędy wyłączają się wzajemnie między sobą, a kto jednym jest obdarzon drugiego objąć nie może aż złoży pierwszy.

Dom Marszałka W. K. posiada trzynaścioro miasteczek w Węgrzech noszących nazwę miast z tytułem starostwa. Te uznają cesarza za pana swego, ale płacą podatek starościu. W dodatku do tych trzynaścioro ma ich jeszcze troje z warowną fortecą zostających pod juryzdykcyą pol-

*) Po polsku w tekście.

ską, chociaż przyłączonych do pomienionego starostwa węgierskiego. Tych król, lubo je sam konferuje, nie może nadać nikomu innemu krom członkowi domu Lubomirskich. Są to bowiem dobra należące do hrabstwa Szepuskiego, co je król Węgierski zastawił u Rzpltej za pieniądze wyłożone przez prywatną rodzinę; ta więc rodzina używa nad onem starostwem pewnego jus, co się zowie *lennem prawem*.

Szlachta powszechnie panuje samowładnie nad Szlachta i poddany, a we włościach swoich każdy szlachcic jest panem życia i majątku chłopą; temu jej przywileje. zaś nie jest nawet dozwolonem w razie uciemiężenia uciec się do żadnego trybunału; wprawdzie iż charakter polski jest dość łagodny rzadko się zdarzają nadużycia, coby były napiętnowane okrucieństwem. N. XXIII.

Szlachectwo i wolność są w Polsce jednoznaczniemi wyrazami, a poddaństwo wyklucza przez się wszelkie szlachectwa znamie. Szlachta nie może trudnić się kupiectwem ani żadnem rzemiosłem; ale wolno jej służyć nawet nieszlachcie i cudzoziemcom nie tracąc żadnej prerogatywy. N. XXIV.

Rodziny, które domem i okazałością przewyższają inne miały niemal wszystkie państwa swoje *) na Ukrainie lub w przyległych prowincjach i były w małej liczbie. Z tych niektóre utraciły dawną świetność dla spustoszeń kraju i rokoszów poddanych, jako domy Korybutów książąt Wiśniowieckich, Kalinowskich, Sieniawskich, toż inne niegdyś przemożne; inne zaś utrzymywały się przy dawnych swoich dostatkach. Najznaczniejsze domy polskie. N. XXV.

*) I loro stat.

kach, przeto że posiadały inne włości w Małopolsce i na Rusi, jako książęta Ostrogscy, Lubomirscy, Zamojscy, Potoccy, Koniecpolscy. W Wielkopolsce znajdują się domy Leszczyńskich i Opalińskich, które piastowały zawsze najpierwsze godności Rzpltej.

Rodziny . . . Na Litwie są książęta Radziwiłłowie i Sapie-
litewskie. howie.

Dom Gąsiewskich doznał był wielkich łask ze strony dworu, który go pragnął przeciwstawić księciu Januszowi Radziwiłłowi hetmanowi N. XXVI. W. Litewskiemu, i przeto połączył w jednym znakomitym przez się dygnitarzu urzędy podskarbiego i hetmana polnego; ale to najsmutniejsze spowodowało następstwa, albowiem książę Janusz rozgniewany oddał Litwę na łupież Moskwie i przysłał do Szweda; Gąsiewski zaś został nędznie zamordowanym przez konfederatów Sapieżyńskich z falkcyi hetmana w. litewskiego z którym był na bakier. Obecnie znowu za łaską królowej wyniósł się wielce dom Paców czyli Pazzich. Daj tylko Boże ażeby z fortunniejszymi skutki!

Szlachta w ogóle, a mianowicie magnaci, mogą wojować między sobą bez żadnego oporu ze strony prawa; wolno im zająć swę rozstrzygać tak dobrze drogą prawną jako i orężem, jak to się niezbyt dawno trafiło między domem Opalińskich a Stadnickim (zwany Djabłem) z powodu psa, kędy mnóstwo osób pożyło zdrowie i nareszcie poległ sam Stadnicki dawny pan Łańcuta; a wszystko to się obeszło bez procesu.

Jeżeli szlachcic zabije drugiego szlachcica a jest pojman *in flagranti crimine*, bywa karan

na gardle; jeżeli go zaś nie złapano na uczynku, a krewni zabitego nie instygują lub wejdą w układy, sprawiedliwość nie ściga winowajcy. Lecz kiedy strona poszukuje go prawnie, trzeba występować głową przyplacić, i nie nie pomaga łaska sędziego, lecz tylko pozywającej strony.

Zabicie osób nie będących szlachtą nie bywa karane gardłem, lecz pociąga za sobą dowolną karę stosownie do godności zamordowanego. Je- N. XXVII.
śli jest poddanym szlacheć, tedy ów każe sobie zań płacić, i nakłada się cena na krew ludzką; dla tego to powiadają powszechnie, iż Polacy przez zbyt dużą swoją wolność czy swawolę chcą się wybiegać od wszelkiego prawa tak ludzkiego jak bożego, doszedłszy do tego, iż poprawili przykazanie *manum pro manu i oculum pro oculo* takiem do swego statutu dodatkiem: *Nos rigorem divinae legis mitigantes, etc.*

Dawniej sam król nadawał szlachectwo męzom zasłużonym Rzpltej, ale później gdy to zaczęło przechodzić w nadużycie tak iż każdy sługa dworu, albo mieszczanin, albo cudzoziemiec żądał nobilitacyi, król dla pozbycia się ich dokuczliwości wyzuł się z tego *jus*, i zdał je całkowicie na sejm, i przeto teraz gdy Jego Król. Mość chce obdarzyć dobrodziejstwem którego z ulubieńców swoich lub cudzoziemskich dworzan przyliczając go do szlachty, winien się poniżać aż do błagania senatorów i posłów ziemskich, a często się nawet zdarza, iż odnosi od-

mowę, iżli dostą pozwolenia i

Cudzoziemcy którzy są szlachtą we własnym kraju kiedy ich sejm uznaje za szlachtę polską otrzymują indygenat i stają się zdolnymi do urzędów jak inni szlachta; ci zaś, którzy nie

są szlacheckiego rodu lubo zostają uszlachceni nie bywają przypuszczani do urzędów, i dopiero ich wnuki poczytują się za rodowitą szlachtę.

Cudzoziemcy bawiący w Polsce bądź dla handlu, bądź z innych powodów, a nie posiadający ani szlachectwa ani innych praw obywatelskich, nie mogą przy zgonie rozporządzić swoją majątkością, albowiem ta *jure caduco* wraca do królewskiego skarbu chociażby nawet zostawili rodzeństwo. Królowi zaś wolno nadać kaduk komu zechce, czy krewnym nieboszczyka, czy innym aczby nieszlachcie, czy, co niekiedy bywa, cudzoziemcom już obdarzonym obywatelstwem, jeśli ci nie mają blizkiego spadkobiercy. To surowe postępowanie wynika nieraz bardziej z nieporządku kancelaryi niż z woli króla, który podpisuje łaski nie zwracając na nie uwagi.

N. XXIX.

Wiara.

Polacy są po większej części katolikami; w Prusiech zaś panuje luterska wiara, która też zaraziła niektóre miasta królewskie przez Niemców przypuszczanych do obywatelstwa. Pomiedzy szlachtą była dawniej znaczna liczba Kalwinów, ale teraz zaledwie kilku zostało, a ze znakomitych osób niemaszci nikogo krom księcia Bogusława Radziwiłła koniuszego litewskiego. Schizmatycy byli nierównie liczniejsi tak na Ukrainie jako i na Litwie, ale i tych ustawiczne wojny wytepiły niemal do szczętu, wyjąwszy chłopstwo, które dotąd trwa w greckiem wyznaniu. Tego wyznania zaś jest głową metropolita kijowski przypuszczon przed kilką laty do senatu i mający pod sobą wielu władków odpowiadających naszym biskupom. Nie uznaje on innęj nad sobą zwierzchności oprócz patryarchy Carogrodzkiego.

Była też inna sekta znana pod imieniem Ary-anów, ale w rzeczy samej mogli się zwać Socynianami: ci jako zepsuty członek zostali odcięci od ciała szlachty polskiej i zniewoleni wyrzec się błędów lub wyprowadzić z kraju.

Całe królestwo czyli Rzeczpospolita składa się z trzech stanów: z króla, który jest jej naczelnikiem, z senatu i z rycerskiego stanu: jeden bez drugiego nie może nie stanowić, ale to co bywa uchwalone od wszystkich trzech pospołu *nemine penitus, penitus discrepante, transit jure legis*, i ogłasza się pod nazwą konstytucyi.

Sejm.

To jednomyślne zebranie stanów nazywa się Sejmem, a prawo zobowiązuje króla do zwoływania go co dwa lata; wszakże podług zwyczajów krajowych zwykł się zwoływać częściej a osobliwie kiedy jest obawa wojny z obcym nieprzyjacielem, lub kiedy się mają potwierdzać przymierza i pokój, a nadewszystko kiedy się szuka środków do zapłacenia żołdu wojskom.

Król po naradzie z ministrami odbytej rozkazuje kancelaryi rozsyłać uniwersały do prowincyj, w których się wyrażają potrzeby Rzpltej, podają punkta do roztrząsania i wyznacza czas zwołania sejmku. Uniwersały te ogłaszają się w *grodzie* czyli zamku każdej prowincyi; a w dniu przez nie zapowiedzianym zbiera się szlachta posiadająca dobra ziemskie w mieście lub wiosce prawem lub zwyczajem na to przeznaczonem, do kościoła kędy się pojawia posłaniec królewski i składa uniwersał urzędnikowi ziemskiemu (urzędnicy prowincjonalni zwą się ziemskimi dla odróżnienia ich od koronnych), który go czyta zgromadzeniu. Jeśli są tam obecni senatorowie, tedy zwykli najprzód krótką zagajać przemową,

Sejmiki.

poczem się przystępuje do wyboru marszałka sejmikowego, co ma się znaczyć dyrektora, a ten dla zapobieżenia zamieszaniu i nieładowi daje głos temu, kto ma mówić. Marszałek zaś obiera się i ogłasza za powszechną zgodą i jednomyślnością. Godność senatorska, jeśli takową jest obdarzon, żadnego mu prawa nie nadaje w téj rzeczy.

Po wyborze swoim marszałek zmówiwszy krótki pacierz wnet wskazuje porządkiem na senatorów, jeśli są jacy obecni, azali nie mają co do powiedzenia względem propozycyi Jego Król. Mei, lub innéj potrzeby albo dolegliwości Rzpltej, coby potrzebowała lekarstwa; ci zaś wyraziwszy swe zdanie odchodzą. Nieraz wszakże gdy roztrząsają się sprawy obchodzące ich samych lub ogół zostają nie już jako senatorowie, ale wstępują do koła prywatnéj szlachty z popularnością jednającą im pospolite oklaski; to zaś zwykli czynić najpierwsi dostojnicy i ludzie rej wodzący w stronnictwach dla kierowania sejmikiem tak jak się im podoba.

Po rozbiorze propozycyj królewskich i przyjęciu onych lub odrzuceniu, pisarz wojewodztwa spisuje wszystko co się uchwaliło *nemine reclamante* tak względem podanych punktów, jak względem tych co sama prowincya ma podać, i składa się instrukcya dla posłów ziemskich wybranych pomiędzy szlachtą i obowiązanych do nieodstępowania w niczem od niéj *sub fide honore et conscientia*, więc do niezezwalania na nic zgola, coby się sprzeciwiało ich swobodom.

Forma
Sejmu.

Posłowie ziemscy zwołani w Warszawie w dzień na sejm przeznaczony, który zwykł zawsze we środe przypadać, i bez względu dla tych z po-

między siebie, którzyby jeszcze nie zjechali, po uroczystem nabożeństwie zbierają się na pierwsze posiedzenie w sali poselską zwaną i wybierają z pomiędzy siebie marszałka sejmowego. Całe grono posłów dzieli się na trzy części podług trzech głównych prowincyj. Jedni należą do Małopolski, drudzy do Wielkopolski, trzeci zaś do Litwy. Urząd marszałkowski dostaje się kolejno każdej z tych prowincyj, ale w obiorze osoby znać zawsze powszechną chęć wszystkich posłów.

Nowo obrany Marszałek idzie ucałować ręce królewskie, a posłowie wracają na salę dla dalszych obradowań. Wówczas to odczytują się senatusconsulta uchwalone od ostatniego sejmiku a mające się potwierdzić lub unieważnić.

Senatus-
consulta.

Oprócz ministrów stanu asystujących zwykle osobie królewskiej, zwykło się na każdym sejmie obierać pewną liczbę senatorów bawiących podówczas przy nim, ażeby w sprawach zawiłych i nagłych za ich zezwoleniem i poradą mogły się przedsiębrać stosowne środki bez zwoływania sejmiku, ażeby się dawała odprawa zagranicznym posłom i zawierał pokój i przymierza. Ale ze wszystkiego później, co zostało uchwalonem przez to senatorskie grono pod nazwą senatuskonsultu winno się zdawać sprawę sejmowi, który potwierdza lub kasuje wszystko, co przedtem postanowiono.

Daje się następnie początek w sali rzeczonoj Sądowi Sejmowemu. senatorską sądom około ważnych spraw w materyach stanu toż w innych. Takowym przewodniczy król i bierze w nich udział wszystek senat, toż ośmiu posłów z rycerskiego stanu, z których każdy ma kreskę.

Instygator.

N. XXX.

Sprawy są wytaczane i obżalowania zanoszone przez urzędnika koronnego zwanego po polsku Instygatorem. Urząd ten, jakkolwiek przez się pożytek przynoszący, wzgardzony bywa przez wrodzoną Polakom dumę i zaledwie się on ubiega jaki szlachciec ubogi, ambitny i *procacis linguae*.

Sejm winien trwać sześć tygodni, a kiedy się już ma ku końcowi a jednomyślność panuje między posłami, ci ze swojemi prośbami idą do senatorskiej sali i tam przed królem i senatem wykładają co postanowili. Marszałek W. K., lub kto inny na jego miejscu, kieruje wszystkiem w tej okoliczności i on to daje głos mówić żądającym.

Tak tedy od wszystkich trzech stanów zgromadzonych stanowi się pospołu około spraw i punktów już rozbieranych i układają się konstytucye.

Podatki nakładają się bez różnicy na sejmie tak na miasta jako i na dobra szlachty, ale nie wytykają się jak tylko raz jeden, a jeśli wypadnie inna potrzeba nie można nakładać ani wytykać nowych bez nowego sejmu.

Jeżeli po upływie sześciu tygodni sejm nie doszedł do końca, tedy chcąc go przedłużyć potrzeba powszechnej zgody, bo jeżeli tylko jeden się przeciwi, protestuje i opuszcza koło, to sejm się poczytuje za zerwany. Atoli zwykło się go nieraz przedłużać z dnia na dzień aż do całkowitego ukończenia.

Po ukończeniu zaś sejmu Marszałek sejmowy z posłami postępuje do ucaławiania rąk królewskich; poczem posłowie wracają do swych prowincyj dla zdania sprawy na sejmikach, które zowią relacyjnemi ze wszystkiego co dzia-

łali, i drukują się konstytucye o wszystkim co się uchwaliło na sejmie.

Oprócz sześciotygodniowych sejmów bywają inne dwu i trzech tygodniowe w nagłych potrzebach Rzpltej, jeżeli wymaga pieniędzy lub ludzi, a te nazywają się konwokacyjnemi.

Konwoka-
cyjne
Sejmy.

We wszystkich sprawach tak cywilnych jako i kryminalnych, które się sądzą po grodach, bywa apelacya do Trybunału. Jestto sąd złożony z duchownych i świeckich obieranych przez prowincye z tytułem posłów i zmieniających się co rok. Ma on swoją rezydencyą przez sześć miesięcy w Lublinie w Małopolsce, a przez sześć drugich w Piotrkowie w Wielkopolsce. Litwa ma swój osobny Trybunał.

Od Trybunału tego rozciągającego nieograniczoną władzę niemasz apelacyi; owszem posiada on *jus* tak zupełne, iż staje się groźnym dla wszystkich; lubi zaś nadewszystko upokarzać i niepokoić magnatów przejeżdżających przez miasta, kędy założył swoją stolicę, a to dla najmniejszej fraszki. I przeto kiedy książęta mają stawać u sądu lub popasać w tem mieście, zostawują dwór swój opodał, ażeby posłowie nie doznali żadnej zaczepki.

Starostowie lubelski i piotrkowski są stałymi posłami przez czas przebywania Trybunału w miastach zostających pod ich zarządem.

Kiedy Rzpltej grozi wielkie niebezpieczeństwo wojny i widzi się królowi że wojska jego nie są dostateczne do obrony, jeżeli sam chce wyruszyć osobiście do obozu za pozwoleniem senatuskonsultu, ma wtedy prawo nakazać pospolite ruszenie wszystkich szlachty naczynając czas onego i miejsce, gdzie zbrojno ma stawać.

Pospolite
ruszenie.

Porządek, jaki się przytem zachowuje, jest następny:

Rozsyłają się listy okólne do wszystkich województw, które się ogłaszają po grodach nakazując szlachcie, ażeby się uzbrajała i miała w pogotowiu. Nadchodzą potem drugie bardziej naglące, a nareszcie trzecie, które nadają ruch całemu temu podzielonemu ciału. Listy te królewskie nakazujące pospolite ruszenie dla odróżnienia ich od innych okólników zowią się wi-ciami.

N. XXXI. Szlachta po województwach na pierwsze lub drugie wezwanie obiera miejsce do popisu, dzieli się na hufce, wybiera dowódców, a kiedy wyrusza w pochód wiezie za sobą żywność na kilka miesięcy. W naglejszych wypadkach pierwsze wezwanie staje za dwoje.

Po skończonej wyprawie król nie może znie-wolić szlachty do pozostania w obozie, i zaledwie udaje mu się niekiedy zatrzymać ją swemi modły, jak to miało miejsce po wygranej pod Beresteczkiem w r. 1651, kiedy szlachta z tak znakomitą szkodą Rzpltej nie chciała przedłu-żać wyprawy przeciwko Tatarom i Kozakom już pogromionym, albowiem śpieszno jój było do domu na żniwa.

Wieść wszakże niesie, iż w starodawnych woj-nach z książęty ruskimi Pospolite Ruszenie stało jednego razu siedm lat pod Kijowem bez po-wracania do domu; podobnież przeciw Krzyża-kom trwali czas długi k'woli królowi.

Ktokolwiek jest dziedzicznym szlachcicem lub nawet mieszczaninem posiadającym poddanych własnej juryzdykeyi, a nie wyjeżdża na wojnę w czasie pospolitego ruszenia, zostaje banitą

pod gardłem z konfiskatą dóbr, które król zwykł udzielać *jure caduco* tym, co o nie proszą. Postępuje się w téj rzeczy bardzo ostro i bez względu dla nikogo. Prawa atoli uwalniają pewne osoby od téj powinności. Są to ci, którzy mają pozostawać w zamkach na straży; innym zaś daje uwolnienie Król lub Marszałek W. K. skoro stawili się osobiście i uznani zostali za niezdolnych, lub jeśli śląc innych we własnem imieniu udowodnią prawnie swoją niezdadność, w czem postępuje się z nadzwyczajną surowością.

Bywa też innego rodzaju pospolite ruszenie, które się dzieje *invito Rege* jeśli postęпки królewskie mają co podejrzanego, lub jeśli jakowe swobody szlachty są w jój mniemaniu zagrożone; to zaś powstanie narodu zowie się *Rokosz*. Rokosz, i jestto największe i najstraszniejsze postanowienie, jakie się czyni w tej Rzpltej.

Wojsko dzieli się na polskie i cudzoziemskie. Polskie, które krajowym obyczajem zowie się kwarcianem (od kwarty czyli czwartéj części intraty ze starostw obracanej na żołd dla milicyi) liczniejszy jest w téj chwili niżli kiedykolwiek było, chociaż Polska miewała dawniej wojska nierównie większe i dobrańsze. Powodem zaś tego jest, iż po buntach kozackich nie zostało już owych magnatów dworno wyjeżdżających na wyprawę dla zjednania sobie czei i zasługi. Nadto na Rusi, Podolu, Wołyniu, Ukrainie szlachta albo całkowicie wygasła albo zubożała; Rzplta zaś pozbawiona tak znakomitęj podpory, więcej ludzi ma na żołdzie a mniej w służbie swojej.

Rokosz.

Porządek
kwarcia-
nego woj-
ska.

Wojsko kwarciane składa się z hussarzy, Ko-
Hussarze. zaków, Wołochów i Tatarów. Hussarze co do
osobistego znaczenia i wojskowego stopnia, prym
trzymają między wszystkimi. Mają oni pewne
podobieństwo do starodawnych *uomini d'arme*
włoskich, lubo się różnią urządzeniem i uzbro-
jeniem. Są całkiem pokryci zbroją i mają włó-
cznię, którą nazywają kopią, prózną wewnątrz,
ale dla większej tęgości okręconą bykowiec
toż innemi rzeczami dodającemi jęj twardości.
Ta w pędzie konia snadno przebija na wskrós
zbroję. Dłuższa jest niż zwyczajne dzidy i ma
pod żelazcem proporzec tyftykowy długi a wą-
zki, który od połowy do końca dzieli się na
dwoje coraz się zwężając i dochodzi aż do koń-
skiego ucha. Każde towarzystwo nosi własną
barwę na proporcach i drzewcach, których tu-
leja tkwi w pochwie z tęgiej potrójnej skóry
wiszącej u kulbaki konskiej i przytwierdzonej
do strzemienia a kierującej się poruszeniem
stopy. Po lewej stronie łęku noszą króciice, a
pod lewem kolaniem uwiązany do siodła kon-
cierz hartowny i długi, z rękojeścią także nader
długą, ażeby po złamaniu kopii używać go za-
miast takowej. Nadto po wierzchu zbroi przy-
pinają skórę tygrysią lub lamparcią spiętą ła-
pami gdyby pasem na lewem ramieniu. Z tyłu
zwykli byli nosić parę wielkich sępich skrzy-
deł, które w biegu szum przeciągły wydawały,
ale szczupła tylko liczba obecnie onych używa.
Każdy towarzysz służy za trzech i winien dać
towarzystwu dwoje bitnych ludzi tak jak sam
uzbrojonych i podobne pod sobą konie mają-
cych, którzy atoli dla odróżnienia się od pana
swego noszą niedźwiedzie lub wilcze skóry,

skrzydła i krom tego opatrzeni są w rusznicę. Używają walczyć szerokiego na jednej linii szyku, którego głębokość nie przechodzi nigdy trzech rzędów, i przeto towarzystwa kiedy są liczne, rozdzielają się na hufce, ażeby podać każdemu sposobność robienia kopią, najprzedniejszą ich bronią.

Ten rodzaj milicyi podczas wojen tatarskich i kozackich wyszedł był z używania, albowiem nie wiele popłacał z nieprzyjacielem niemającym nigdy stałego bojowego szyku, ale w wojnach szwedzkich i moskiewskich odzyskał dawną więźność. Najpierwsza szlachta krajowa obowiązana służyć wojskowo stósownie do polskich obyczajów zaciągała się do towarzyszy, a starzy wojacy którzy dowodzili Kozakami lub swemi pułkami podrzędnymi nie sromają się wstępować do nich jako prości szeregowcy.

Pułki w wojsku polskiem nie mają stałego składu ani urzędu, i ograniczają się kwoli ordynansom hetmanów, którzy z wielu osobnych towarzystw tworzą pułk i oddają go pod dowództwo naczelników doświadczonych i sędziwych albo też zalecających się znakomitą rodowitością.

Towarzystwo husarzy kosztuje nierównie więcej niżli pułk jazdy lub piechoty cudzoziemskiej, zwłaszcza dowódcę, bo ten oprócz kopii które sprawia z własnej kieszeni zwykł też obchodzić się nadzwyczaj hojnie z towarzyszami w przyjmowaniu ich i ugaszczaniu.

Roku 1661 na całe wojsko było tylko sześcioro towarzystw: jedno królewskie składające się z dwiestu towarzyszy, którego porucznikiem

był Czarnecki *) wojewoda ruski; drugie hetmana Potockiego złożone także z dwiestu; trzecie marszałka w. k. z dwiestu; czwarte księcia (sie) Zamojskiego ze stu; nadto dwoje towarzystw, jedno brata a drugie syna wielkiego marszałka każde po stu towarzyszy liczące. W towarzystwie dwiestu ludzi szlachta nie przechodzi zwykle liczby sześćdziesięciu; ale pocztu tego dopełniają uzbrojeni przez nie żołnierze. Szlachta staje w dwóch tylko pierwszych szeregach oddzielonych muzyką z trąb, kotłów i *surm***) od giermków i posługaczy.

Żołnierze szlachta tak dobrze husarze jako i kozacy zwani są powszechnie *towarzyszami*, co znaczy to samo po łacinie *commilitones*, i takiej używają powagi i czci, iż sami hetmani nawet przy komendzie nie odzywają się inaczej do nich jak: Panowie bracia!

Kozacy
szlachta

Kozacy są podobnież wojskiem ze szlachty lekko uzbrojonój, i niewiadomo czy naród kozacki wziął imię od tego rodzaju milicyi, która za dawnych czasów wyłącznie się z niego składała, czyli też wojsko kozackie nazwało się od narodu. Uzbrojeni są w druciane kabaty czyli kolczugi, i noszą na głowie żelazny kołpak z drucianą wkół siatką spadającą aż na ramiona i spinającą się pod brodą. Na wojennych okazkach szlachta występuje z lukami, ale na powszednich musztrach używają rusznicy. Giermkowie uzbrojeni są w ten sam sposób; odróżnia się zaś jednych od drugich podług tego jak

*) Cefali pisze Czarnecki, (*Przyp. tłóm.*).

**) Wyrazy podkreślone napisane są po polsku we włoskim tekście. (*Przyp. tłóm.*).

muzyka poprzedza ich lub naśladuje stósownie do zwyczajów towarzyszy.

Milicya ta urosła znakomicie od czasu buntu podniesionego przez Kozaków, których ubytek trzeba było zastąpić; oddawna bowiem puszczo-
no w niepamięć rusznikarzy konnych uzbrojo-
nych w kirysy z rusznicą i króćcami na wzór
kirysników, i zaprowadzono na ich miejsce raj-
tarów niemieckich w szczupłej teraz liczbie bę-
dących.

Wołosi są żołnierzami z narodu co niedawno
jeszcze podległy był Polakom, jak teraz podle-
ga Turkom. Jestto milicya lekka zdalna do roz-
puszczania zagonów, torowania dróg i imania
języków.

Wołosi.

Są lekko uzbrojeni w łuk i króćce, lubo wielu
z nich używa rusznicy zamiast łuku. Najprze-
dniejsi z pomiędzy nich używają kolecznej zbroi:
wielec z nich rabusie, ale przytem są bardzo
bitni. Poczci ich w całym wojsku nie dochodzi
do dwiestu kompanij.

Tatarzy byli to z początku osadnicy z Prze-
kopu skłonieni nadaniem sobie licznych przywi-
leji do służenia w polskim wojsku. Rzeczpo-
spolita z dawien dawna trzymała ich na swoim
żołdzie, a potem chcąc ich mieć zawsze na do-
rędziu porozdawała grunta tym z pomiędzy nich,
którzy upodobawszy sobie pobyt w Polsce po-
stanowili stale tam zamieszkać, i prosili o ka-
wałek ziemi.

Są oni wyznania muzułmańskiego, z oblicza
podobni do Tatarów Przekopskich, nie zaś z wa-
lecności. Uzbrojeni są z lekka w łuk i strzały.
Na całe wojsko niemasz ich nad dziesięć kom-
panij. Na Litwie jednak są nierównie liczniejsi.

Hajducy. Piechota, której dawniej używali Polacy składała się z Węgrów pospolicie zwanych hajdukami. Ci służą obecnie li tylko do okazałości i wystawy, ograniczając się na domowych postugach. Nawet ze zbuntowanych Kozaków czyniono niegdyś piechotę, która się wysmienicie sprawowała, osobliwie w potrzebach z Turkiem.

Zaprowadzono później w Polsce endzoziemski autorament, a lubo najwięcej krajowców znajduje się w jego kompucie, zowie się wszelako milicją cudzoziemską; ta niedawno jeszcze składała przez się liczne wojsko, ale teraz dla skąpego żołdu rozwiązała się prawie całkowicie.

Rajtary. Rajtarów nie wielu zostało, i krom pułku który miał marszałek w. k. wszystkie inne kompanie będące w wojsku zaledwie drugi pułk utworzyłyby razem.

Dragonija. Dragonii jest za to więcej, a niemal wszyscy Polacy.

Piechota bywała dawniej nader liczną i bitną, ale w ostatnich wojnach z Kozakami i Moskwą wszystka prawie wyginęła.

Komenda odbywa się obyczajem niemieckim, lubo żołnierze są Polakami, a dowódcy pozbierani ze wszystkich narodów.

Jenerał piechoty. W wojnach kozackich a mianowicie w wyprawie pod Beresteczek wojsko polskie miało do dwunastu tysięcy piechoty; zachciało się królowi dać im jenerała obyczajem niemieckim, i powołał na ten urząd księcia Bogusława Radziwiłła z wielkiem oburzeniem się szlachty, która niechętnie zwykła patrzeć na zaprowadzenie cudzoziemskich zwyczajów. Po rokoshu księcia ofiarowano jeneraństwo księciu (sic) Zamojskiemu, ale ten chociaż zrazu przyjął tytuł, mało sobie

z niego potem robił, bądź dla gęstych konfederacyj, co nastąpiły, bądź ażeby nie narazić sobie dowódców i rycerstwa polskiego nie bez zazdrości patrzącego na wzrastającą wziętość tego nowego urzędu.

Urząd zaś jenerała artyleryi jest podobnież ^{Jenerał} nowym w Polsce, i przeto nie liczy się do urzędów Rzpltej, i nie ma miejsca między niemi. ^{artyleryi.} Nadaje go król, a tych ostatnich lat wzbił się w znaczenie przez to, iż Jego Król. Mość osobiście go sprawował.

Konfederacya jest jednomyślnym buntem wojska pod pozorem niedostatku płacy lub pod jakim bądź innym. Zowią ją zwyczajnie więzem braterstwa, albowiem wyrzekając się prywaty wiążą się niejako i obowiązują wzajemnie aż do całkowitego zaspokojenia swych pretensyj. Najpierwszem działaniem konfederacyi jest uwolnienie się od zwierzchności głównych dowódców, a przeto i wszystkich naczelników niższej rangi, nie uznając jak tylko jednego, którego obierają z tytułem marszałka, i któremu powierzają władzę taką, jaką im się podoba.

Marszałkowi przydani bywają mnodzy asystenci, a narady odbywają się zawsze publicznie ażeby każdy kto chce mógł na nie uczęszczać; atoli tak dobrze marszałek jako i inni jenerałności członkowie unikają od przyjmowania prywatnych listów albo poselstw, gdyż posądzenie w tym względzie należałoby głową przypłacić. Składają nowe ustawy wojskowe potrzebne do utrzymania pomiędzy sobą karności, która jest jak najsurowszą i przestrzegana bywa skrupulatnie, ile że najmniejsze wykroczenie ściąga niezwłoczną karę na gardle. Zajmują miasta i

dobra duchowne wytykając podatki dopóty, aż skarb królewski zaspokoi ich całkiem, a król im zapewni bezkarność za wszystkie zbytki i występki popełnione czasu konfederacyi.

Zawiazują się też konfederaci na korzyść królewską, jak to się działo roku 1655 pod łaską marszałka w. k., i ceiem odwrócenia wojska od króla szwedzkiego i hetmanów, kiedy wszyscy żołnierze obowiązali się pod przysięgą służyć własnemu królowi dopóki państwa całkowicie nie uwolnią bez wymagania żołdu od Rzpltej aż do końca szwedzkiej wojny, otrzymawszy na to zaręczenie na piśmie od w. marszałka i od księcia Zamojskiego, iż z własnych ich dóbr będą zaspokojeni, gdyby król i Rzplta uczynić im zadość nie chcieli; które to obligi zostały później zwrócone wspomnianym panom r. 1660 na komisyi lubelskiej przez wierne dotrzymanie przez wojsko wszystkich swoich obietnic.

Kozacy.

Plemię kozackie pochodzące od dawnych Gotów zajmuje cały obszar kraju ciągnący się z obu stron Dniepru od Litwy aż do morza Węszczego (Czarnego) i do Tatarów Buczackich, a od pogranicza moskiewskiego i od Tatarów przekopskich aż do Podlasia, Wołynia, Podola i Multan, jakowy oznaczony bywa ogólnem mianem Ukrainy. Przed buntami była to najbogatsza i najżyźniejsza strona Polski, pełna książąt, wielkich panów i starostw najoprawniejszych rozdawanych przez króla; obecnie zaś nietylko iż jest niemal całkowicie spustoszoną, ale nadto ościenne prowincye, jako Podole i Ruś Czarna, także przedtém ludne i zamożne, stoją pustkami.

Sąsiedztwo Tatarów było powodem iż Ukraina stała się oddawna jakoby stolicą polskiego

oręza, tak iż z obawy pierwszego a w skutek oswojenia się z drugim ludy ukraińskie z natury dzikie stały się jeszcze sroźszymi i bitniejszemi, a znając własną siłę dźwigały niecierpliwie jarzmo włożone na się od urodzenia a tém cięższe od zbytku i pychy panującej szlachty.

Na mocy starodawnego prawa czy zwyczaju winny były te ludy stósownie do podziału ziem dawać pewien poczet ludzi do służby Rzpltej na wzór milicyi co się we Włoszech *Bandami* zowie, którego ilość nie przewyższała zrazu 4 tysięcy. Ci zaś kozacy służący z powinności byli utrzymywani czasu wojny przez Rzpltę; w domu zaś wolni byli wszelkich ciężarów. Zwano ich *registrowymi*, to jest zaciągnionemi do rejestrow milicyi. Powinność ta z czasem została uważaną przez nich za przywilój, do czego się niemało przyczyniło ciągle stanie polskiego wojska na polach Ukrainy. Jakoż nietylko Kozacy do rzeźzonych band należący nie chcieli potem wracać do ziemiańskich robót, ale najzwawsza i najdzielniejsza młodzież z tego plemienia nie będąc nawet *registrową* biegała dobrowolnie na wojnę, a jeżeli nie znajdowała miejsca w swoich narodowych chorągwiach przystawała do polskich żołnierzy, którzy ją ćwiczyli w sprawach rycerskich i zaciągali do własnych szeregów; tak iż przed samym buntem Chmielnickiego nie licząc *registrowych* więcej było Kozaków w polskim wojsku niż rodowitych Polaków.

Wojsko kozackie ma naczelnika noszącego tytuł *hetmana zaporozkiego wojska* *), to jest dowódcy milicyi Zaporozża, który przedtem co do godności mniej znaczył od każdego pułkownika

Hetman
kozacki.

*) Po polsku w oryginale.

polskiego. Mieli podobnież dawniej dwóch komisarzy polskich ze szlachty, przy których w rzeczywistości zostawała całkowita władza i dowództwo tych zastępów. Ci zaś byli stanowieni od hetmana w. k., który tą godnością zwykł był wynagradzać walecznego jakiego żołnierza, lub też ulubieńca swego. Jedną z najprzedniejszych przyczyn ogólnego zbuntowania się było łakomstwo komisarzy, przeciw którym obruszył się ten biedny lud widząc się ciągle wystawionym na najsrozsze niebezpieczeństwa, i jako korzyści ze zdobyczy, żołdu i kwaterunku przechodziły wszystkie w ręce komisarzy.

W skutek buntu Chmielnickiego wszystkie te prowincye porwały się do broni, a chłopci powstając przeciwko panom wyróżnili ich i połączyli się z kozactwem składając potężne wojsko. Gdy przeto stanął pierwszy pokój w Zborowie wypadło zezwolić, ażeby liczba Kozaków rejestrowych podniesiona była aż do 40 tysięcy; albowiem tych, którzy już poprzednio służyli w wojsku polskiem nie chciano doń napowrót przyjmować, a oni ze swojej strony nie chcieli porzucić wojskowego zawodu; wielu też z buntowników skłonić nie można było do wrócenia do swoich dawnych rzemiosł i prac; ale krom tych powodów mieli oni jeszcze swoją politykę, która zawisała na tem, ażeby się nie dać owładnąć orężowi polskiemu, i mieć leże na Ukrainie dla swego narodu. Otrzymali także wiele innych swobód i przywilejów dla swego hetmana z całkowitem zniesieniem komisarzkiego urzędu.

Za powtórne później zawarciem pokoju pod *Białą Cerkwią* (co po polsku ma znaczyć białe

pomalowany kościół, a jestto miasto na Ukrainie), jakkolwiek wielorako złamani i pogromieni przez naszych *) nie dali się namówić, ażeby liczba rejestrowych kozaków mniejszą była od 25 tysięcy.

Teraz naród kozacki jest podzielony; jedna jego połowa trwa w buncie i uznaje Moskale za zwierzchnika, druga zaś połowa wróciła do posłuszeństwa królowi, a naczelnikiem tych ostatnich jest Tetera; ale rzec można że Kozacy zostający obecnie po stronie Polski są całkiem wolni i odprawiają żołnierkę jako towarzysze nie zaś jako niewolnicy, jak to przedtem było.

Plemię to było dawniej bardzo straszne Turkom i nieraz w obec potęgi otomańskiej wypadając z wysp Dnieprowych na niezliczonych czajkach i paląc a łupiąc nadbrzeża Czarnego morza, zapuszczało swe zagony aż do Carogrodu, pomimo Oczakowskiej twierdzy, którą Turcy zbudowali przy ujściu Dniepru ażeby trzymać je na wodzy.

Najbitniejsi z Kozaków przybierają nazwę Zaporozkich, co ma się znaczyć iż pochodzą z poza Pragów Dniepru, (w tekście: *Poroki*). Pragi zaś są to pewne wodospady, które rzeka ta tworzy na skałach napełniających jej koryto, i za któremi rozlewając się spokojnie i szeroko po płaszczyźnie, tworzy mnóstwo ostrowów prawie niedostępnych dla gęstości trzciny wodnej napełniającej tę część łożyska. Ostrowy takowe są przytułkiem Kozaków; to zwykli tam prze-

*) Cefali pisze *przez naszych* uważając się już niejako za Polaka po tylu latach spędzonych na dworze w. marszałka. (*Przyp. tłum.*)

mieszkiwać i chronić się ze zdobyczą, pewni iż żadna moc w świecie ścigać ich nie zdoła.

Zachowują osobliwy porządek tak w wyprawach jak w podziale łupów, słuchając jednego naczelnika którego obierają kiedy idą plądrować. Między Kozakami nie uchodzi za walecznego wszelki kto nie był na wyprawie; jakoż przez ambicyą nazywają siebie Zaporozkimi.

Miasta. Miasta w Polsce są niemal wszystkie z drzewa, wyjąwszy niektóre najpierwsze jako Kraków, stolicę całego Królestwa, Poznań w Wielkopolsce, Lwów na Rusi, Lublin w Małopolsce, Warszawę stolicę Mazowsza i rezydencyą królewską, Wilno na Litwie, i w Prusiech prawie wszystkie.

Twierdze. To państwo tak rozległe ma nadzwyczaj mało warowni, ile że jest starodawnym zwyczajem u téj szlachty mawiać, iż piersi ich są twierdzą Polski; ale prawdziwą tego przyczyną jest próżna zazdrość do króla; dla niej to Władysława, który począł był wzmacniać zamek krakowski, kędy się przechowują korona i skarb, sejm zniewolił do odstąpienia od przedsięwzięcia.

Miasto Kamieniec na Podolu ze swoim w skałę wykutym zamkiem uchodzi za niezdobyte położenie i sztukę. Miasto bierze swoje imię od miejsca, albowiem opoka po polsku nazywa się *kamień*. Jako warownia na tureckim pograniczu bywa ono pilnie strzeżone, a gubernatorem jego jest książę Zamojski. Na Ukrainie byłci Kudak forteca poczytana takż za niezdobytą, którą wznosił hetman Koniecpolski dla poskromienia gęstych buntów kozackich; ale w téj ostatniej załoga poddała się Chmielnickiemu, który kazał tę twierdzę z ziemią zrównać.

W Prusiech jest nie mało miast warownych i fortec poobsadzanych własnymi załogami. W liczbie tych Gdańsk trzyma pierwszeństwo. Rządzi się on dzisiaj jako wolne miasto i posiada w swoim obwodzie wiele fortec należycie obsadzonych. Trzyma u dworu przedstawiciela swego mającego tytuł sekretarza, co też czyni Toruń; ten zaś ilekroć wymaga tego popospolita potrzeba, zwykł kupować przywileje i pomnażać swobody. Jego najprzedniejszem zadaniem jest zyskiwać sobie przychyłność dworu, albowiem obawia się szlachty, i słusznie, dla tego iż najlepsza część jej przychodu składająca się z rozlicznych rodzajów zboża i *potażów* *) ma swój odbyt w Gdańsku, dokąd się spławia Wisłą; Gdańszczanie zaś zabronili cudzoziemcom przybywającym do ich przystani ze swemi okrętami nabywać cokolwiek u Polaków, u których sami zakupują wszystko zboże, a potem odprzedają je Holendrom, opatrując tym samym sposobem Polskę w holenderskie sukna i korzenie z niesłychanym swoim zyskiem a szkodą Polaków.

Towarzystwa holenderskie poczęły były wchodzić w bezpośrednią ugodę z niektórymi panami polskimi; ale nieprzestanne konfederacye, toż inne domowe niepokoje stanęły na zawadzie układom równie korzystnym dla jednego jak dla drugiego narodu.

Książęta i panowie prywatni mają własne ^{N. XXXII.} twierdze obsadzone załogami nieuznającemi żadnej innej zwierzchności oprócz miejscowego pana. Zamość jest główną warownią księcia (sic)

*) W tekście: *potarasi*.

tego nazwiska. Łańcut, Wiśnicz, Lubomla domu Lubomirskich, Brody Koniecpolskiego, Byków na Litwie Sapiehy, oprócz wielu innych mniej znaczących.

Prusy Książęce są lennością Polski, a szlachta téj prowincyi appelowwała od wyroków elektora brandeburskiego do królewskiego dworu, i wolna była od wielu ciężarów. Obecnie zaś elektor jest jéj samowładnym panem, odkąd Polacy przy zawarciu pokoju r. 1658 zrzekli się wszelkich praw do lenności.

Na morskiem tych Prus nadbrzeżu, na klinie ziemi wchodzącym w morze i zwanym Hafft, zbiera się bursztyn, który fala na brzeg wyrzuca. Elektor pilnuje tego miejsca i wypuszcza je w dzierżawę, a ktokolwiek poważiłby się tam zbierać śmiałością swoją gardłem przypłacił.

— 1664. —

WŁADYSŁAW KULCZYCKI.

PIĄTE WSPOMNIENIE
O PUŁKU LEKKOKONNYM POLSKIM
GWARDYI NAPOLEONA I.

mianowicie w latach 1810 i 1811

Czytelnicy widzieli w poprzednich naszych wspomnieniach, że pułk gwardyi polskiej, liczny, prawie nigdy razem połączony nie działał; i tak, pierwszą kampanią rok 1809 obejmującą sławną bitwę pod Aspern i Essling, odbył tylko oddział pułku mniej więcej 300 koni wynoszący: to samo czytelnicy zobaczą w tych tu dalszych wspomnieniach z lat dwóch, poświęconych niemal wyłącznie oddziałowi podobnie mniej więcej 300 do 400 koni wynoszącemu, który: od kampanii nad Dunajem, aż do wyprawy po za Moskwę, ciągle zostawał w Hiszpanii; wtenczas, kiedy większa daleko część pułku przebywała w Chantilly, i uczestniczyła w różnych uroczystościach i przejażdżkach Napoleona Igo, których

piszący nie był świadkiem, a zatem bardzo mało o nich wspomina: zostawiając uzupełnienie o tych, może niemniej ciekawych szczegółach, współtowarzyszom broni, póki jeszcze który z nich żyje; albowiem śmierć, co ich oszczędzała na tyłu polach bitwy, dogania jednego po drugim w ich późnym wieku... Wszakże od zgonu syna naszego pułkownika, Zygmunta Krasińskiego, któregośmy uważali za dziecko regimentowe i jako takie kochali; niedoszła nas wiadomość o jakiej późniejszej stracie kolegi. Niech więc tu na pamiątkę zbyt wcześnie zgasłego nieodżałowanego naszego Zygmunta, wolno mi będzie obszerniejszą uczynić o nim wzmiankę. Kiedy matka jego Marya z Radziwiłłów wychowanka Stanisława Małachowskiego, Marszałka czteroletniego konstytucyjnego sejmu, bliską była połogu; piszący, niedawno przybyły z Hiszpanii, z łatwością skłonił rodziców: żeby syn spodziewany nosił imię Zygmunta, córka zaś Jadwigi, dwóch epok i wspomnień najświetniejszych w narodzie naszym; byłem obecny obrzędowi chrztu świętego, który się odbył dnia 19go lutego 1812go roku w parafii Notre Dame de Lorette, synek dostał imiona: Napoleon, Stanisław, Zygmunt; do chrztu świętego trzymali go: Ludwik Pac pułkownik wojsk polskich, były szef szwadronu naszego pułku, z Maryą z Łączyńskich Walewską, matką teraźniejszego ministra spraw zagranicznych państwa francuzkiego; i Piotr Krasiński szef szwadronu naszego pułku, z księżną z Walewskich Jabłonowską. Zygmunt Krasiński był więc prawie rówieśnikiem Napoleona IIgo króla Rzymu, którego gdy cała Francya uznawała być swoim synem, pełna dla niego i dla siebie świetnych nadziei, my, w pułku naszym podobnież uważaliśmy syna naszego dowódcy, za dziecię pułku, i wróżbę tak szczęśliwie poczynającego się roku, i długo z upragnieniem oczekiwanej kampanii... Gdy po skończonych wojnach, wojska polskie, nie z pomyśl-

nością, ale z czecią i sławą wracały od Sekwany do Wisły; korpus oficerów pułku ofiarował generałowi Krasińskiemu, jako swemu od Napoleona samego naznaczone-mu pułkownikowi, piękny pałasz na pamiątkę wzajemnych uczuć. Jenerał powierzył ten oręż młodemu Zygmuntowi do zabawy, żeby się na takiej pamiątce do podobnych uczuć zaprawiał, i kazał syna w dawnym narodowym stroju, bawiącego się owym pałaszem, odmalować, co artysta bardzo zaletnie wykonał; a Kajetan Koźmian napisał na ten obraz wiersz następujący:

„Pogrom Trojan, a Greków walecznych nadzieja
„Wiesz, czem się przed Ulissem wydał syn Peleja;
„Tak Twój Zygmunt do zabaw szablę twą przyswoił,
„A czego nikt nie dopiął... Ojca z niej rozbroił!“

Niech więc to wspomnienie, będzie od dawnego przyjaciela choć małym listkiem do wieńca wawrzynowego i dębowego, jaki *osobista zasługa* uwiła na nieśmiertelność Zygmuntowi Krasińskiemu!

Po trudach znamienitej kampanii, przeszedłszy Ren, i wypocząwszy nieco w Strasburgu; podzieliwszy pułk na pochodowe kolumny, szliśmy jako jazda, częstokroć ubocznemi drogami, niezajmując przepelnionej piechotą, artyleryą i pociągami, pocztowej drogi; i prócz miast znaczniejszych, stawaliśmy w większej części po wioskach; sztab tylko pułku zostawał zwykle po miastach i miasteczkach. Już w marszu na wiosnę za Reu ku Dunajowi, uważaliśmy z zadziwieniem, idąc przez Alzacyę, że kraj ten niemówiący językiem francuzkim, zdawał się nam być całkiem niemiecki: ale natenczas pospiesznie marszerując, nie czyniliśmy nad narodowością Alzacyi dalszych uwag naszych; zdawało nam się, że ten kraj należący do Francyi od r. 1648, powinien być już stać się całkiem francuzkim; tak to obcy, sądzą o cu-

dzych krajach; my, co Śląsk znaleźliśmy już niedość polskim; tu, byliśmy przeciwnego zdania względem krainy która nas nieobchodziła. Niech nam to posłuży za naukę pobłażania jakiegokolwiek, tym pisarzom zagranicznym, którzy nie ze złej woli, lecz tylko z niewinnej niewiedomości, piszą o Polsce, jakby o jakiejś: *terra incognita*. Powiedzmy sobie, że wszędzie, tak w pojedynczych osobach, jak i w zbiorowych narodowościach, przebija się zawsze samoistność (egoizm), bądźmy więc wyrozumiałymi, póki ta niby niewiedomość nie przechodzi w wyraźne szkalowanie.

Wracając się do Alzacczyków, teraz kiedyśmy więcej zwiedzali ich wioski, mieliśmy sposobność uważać zbieg okoliczności szczególnych, jakich może w innej krainie nigdzie nie ma. Wsie nieumiały języka francuzkiego, były jakoby całkiem niemieckie; wszakże duchem i patriotyzmem nawet stały się francuzkami. To przypisać należy, licznym zaraz werbunkom w Alzacyi za Ludwika XIVgo; już pod tem panowaniem, pułk *Alsace* osiągnął ducha służby — *esprit de corps* — tak dalece, że gdy przy szturmie do Barcelony, marszałek Vendomme chciał ten pułk cofnąć od wyłomu przy którym był wiele ucierpiał; książę Bawarski de Birkenfeld, dowódzca pułku *Alsace*, odpowiedział mu: „*Je tiens d'autent plus à rester à mon poste, que la brèche est défendue par les Allemands Imperiaux, je veux leur montrer, que les Allemands de France, savent faire leur devoir*“, to jest po polsku: „tem więcej pragnę pozostać na moim posterunku, że wyłomu bronią Niemcy Cesarscy; chcę im pokazać że *Niemcy francuzcy* umieją dopełniać swęj powinności“. — Otóż to taki duch karności i punktu honoru wojskowego, rozszerzał się oddawna w pułkach alzackich, a cała prawie lekka kawalerja, mianowicie huzary, byli to Alzacczykowie. Do tego przyczyniły się reformy wewnętrzne od r. 1789. Alzacya spoglądała

z dumą na swoich rodaków za Renem, trwających jeszcze w feudalizmie. Do tego ducha nowo francuzkiego przyczyniła się także ta okoliczność: że w Alzacyi nie było owych dawnych rodzin arystokracji francuzkiej, która utrzymywała w właściwej Francyi partyę rojalizmu; przeciwnie, wojsko rzeczypospolitej, od początku rewolucyi aż do najświeższych czasów, zdobyło się imionami Alzacczyków, jako to: Luckner, Kellermann, ojciec i syn, Krieg, Kleber, Klarke, Rapp, Ekselmans i tysiąc innych, tak że gdy wówczas odbywaliśmy pochód nasz przez Alzacyą, mogła być uważaną za jedną z najzyczliwszych rządowi Francyi, a mianowicie też Cesarzowi Napoleonowi. Jenerałowie francuzcy, zwłaszcza kawaleryi, chociaż rodowici Francuzi, jak n. p. sławny Lasalle, przybierali obyczaje, i wyrażenia Alzacczyków, tak dalece: iż jenerał Lasalle podpisywał się literami niemieckimi; wzajemnie też Alzacczykowie przemawiali do ziomków za Renem:

„O Brüder! deutsches Blut, ihr noch bethörten Krieger!
„Sagt eurer Knechtschaft ab, seid ferner Freyheits — Sie-
ger.“ (ger...

„Erkämpft euch dieses Recht, den man in Frankreich
(lehrt,

„Sterbt frey, lehrt, sucht und macht: dass euch die Nach-
(welt ehrt.“

Co po polsku znaczy:

„Bracia! krwi niemiecka! o wy jeszcze obłąkani wojow-
wnicy

„Wyrzeczcie się waszej niewoli, bądźcie odtąd zwycięz-
cami wolności,

„Zdobądźcie sobie te prawa których Francya uczy

„Umierajcie wolnymi, nauczajcie, szukajcie, i działajcie tak, żeby was potomność czcila.“

Podobne do tych uwagi moglibyśmy czytelnikom podawać o tych prowincjach niemieckich, które później na lewym brzegu Renu należały do Francyi, lecz gdy te zwiedzaliśmy dopiero w latach 1813 i 1814, przeto wstrzymujemy się z temi szczegółami, do wspomnień dalszych o pobycie naszego pułku gwardyi polskiej nad Renem.

W przechodzie przez kraje Lotaryngii, byliśmy tak w Lunewillu jako i w Nancy, witani przez tamecznych mieszkańców jakoby od pobratymców, z uczuciem i serdecznością. Lotaryngia cała zachowywała pamięć rządów filozofa dobroczynnego, Stanisława Leszczyńskiego. Ubiegano się pokazywać nam pamiątki po tym królu i małżonce jego Katarzynie z Opalińskich, a oprócz na grobków w Lunewillu, było ich wiele, jako to: szpital i różne zaprowadzenia, wychowania młodzieży, nauk i bibliotek w Lunewillu; a w Nancy, wiele pięknych budowli i zakładów z wielkim kosztem króla Stanisława wzniesionych. Zaiste! Lotaryngia jest to kraj wzywający Polaka do rozpamiętywania: Król Francyi ubiega się o rękę ślachiejki polskiej, otrzymuje z niej następcę tronu delfina, ulubieńca swego i całej Francyi; królowa Marya żyje jeszcze i jest ozdobą dworu Francyi, a król Ludwik XV, nie ma dość energii żeby się sprzeciwić upadkowi Polski, wtenczas kiedy Papież Klemens XIII. pisze do niego d. 30go kwietnia 1767 list, z którego wyjmujemy te słowa: „Votre Majesté sait, que tous les „peuples éclairés de la lumière de l'Evangile, ne forment „qu'un seul Corps qui est l'Eglise Catholique, dont Jesus- „Christ est le Chef. Aussi sommes nous surs d'avance „notre très cher fils en Jesus-Christ, que Vous n'aurez „pas appris sans en être émes, les peines et les an-

„goisses de nos frères de Pologne, et l'extrême danger
„ou se trouve en ce pays la Religion catholique. Les
„Dissidens ont mis tout en oeuvre... pour changer la
„constitution de la Republique, d'ou depend aussi le
„sort de la Religion catholique. Nous pensons notre
„trés cher fils en Jesus-Christ, que quiconque com-
„prendra les maux de ce Pays, et aura comme Vous un
„coeur dévoué à la foi Orthodoxe, n'hesitera pas d'em-
„ployer tous ses soins pour écarter de l'Eglise cette
„calamité... Dieu Vous a donné tous ces biens notre
„trés cher fils, principalement pour defendre sa cause...
„et pour éloigner par Votre autorité les violences qui
„menacent l'Eglise son Epouse et Votre bonne mère.
„C'est à Votre prudence de voir, par quelle voye il sera
„plus facile d'atteindre ce but: Quant à Nous Nous
„croyons avoir rempli le devoir de Notre Charge, en
„Vous exhortant et cherchant à animer Votre ardeur,
„pour que Vous saisissiez cette gloire qui paraît appar-
„tenir en propre au fils aîné de l'Eglise.“ Takie było
upominanie Papieża do Ludwika XVgo, o którym tyle
tylko wiemy, iż kiedy się oddał ministrowi Duc d'Ai-
guillon, i dowiedział się o postanowionym podziale Pol-
ski, wyrzekł boleśnie te słowa: „Ah! si Choiseul eut
été ici, le partage n'aurait pas eu lieu.“ — Po Ludwiku
XVtym nastąpił Ludwik XVIty, o wiele lat przed re-
wolucyą francuzką i upadkiem tronu francuzkiego, zo-
stała podzieloną Polska r. 1772, a dopiero roku 1806
odezwał się monarcha Francyi do Polaków, z tem zda-
niem: „że gdyby on był panował we Francyi za onych
czasów, niezawodnie byłby na podział Polski nie po-
zwolił.“

Z takimi to więc rozpamiętywaniem opuszczaliśmy
Lotaryngią przesuwać się do coraz piękniejszych krain
staro-francuzkich. W okolicach Epernay zdarzyło nam

się oficerom pierwszej kompanii, być na noclegu, w wiosce niezamożnej, w której nie było austeryi, a w takich wioskach za pieniądze żadnych wiktuałów niedostanie, bo Francuzi w takim razie albo odsyłają do karczmy, albo mówią: „nie jestem kupcem, nie mam nic na sprzedaż.“ Zostałem więc z dwoma oficerami mojemu, bracią Hemplami Stanisławem i Joachimem, zakwaterowany do księdza plebana. Jakież było nasze zadziwienie, kiedy on nas przywitał zlaną polszczyzną! Był to ksiądz niegdy emigrant, który zachowując mile wspomnienia gościnności polskiej, przyjął nas, jak mógł, ubogo ale chędogo, i rozrzewniał wspomnieniami o kraju, do którego już od lat kilku, tęskniliśmy. — Niedaleko ztamtąd w Chateau Thierry, miałem spotkanie innego rodzaju. W miasteczku tem, jako dowódzca kompanii, miałem kwaterę w domu zamożnym wdowy podeszłego wieku. Zwyczajem moim było, w podobnym przypadku, zgłosić się z wizytą do właścicielki; co uczyniwszy zostałem dość etykietalnie przyjęty przez matronę, w pokojach przypominających czasy dawniejsze. Rzeka do mnie: „to jak widzę, pan nie jesteś Francuzem?“ — nie mam tego zaszczytu — odpowiedziałem; — „a do jakiegoż to pan narodu należysz?“ — jestem Polakiem — „Pan jesteś Polakiem!... a to pan musisz być ślacheccem?“ Odrzekłem obojętnie: — w samej rzeczy jestem nim. — „Ach pan jesteś ślacheccem! jak że ja jestem szczęśliwa, od tylu lat, pierwszego ślacheccia posiadać w moim domu!“ i t. d. Dama ta, pokazując mi obrazki krewnych, ozdobione orderem ś. Ludwika, zaczęła się unosić nad instytucyą ślacheccstwa, sposobem odpowiednim zapatrywaniu kasty des Ci-devant, we Francyi; ale wcale niestósownej do opinii w wojsku francuzkiem, a zatem, i w naszym pulku zaprowadzonej, o której daliśmy już wyobrażenie w 1 wspomnieniu o pulku gwardyi polskiej, w *Dodatku do Czasu* z miesiąca Grudnia r. 1856

stron. 12, lecz której nie możemy dość powtarzać: że w pułku naszym — a jak z pociechą widzę po pamiętniku pułkownika Wojciecha Dobieckiego — i w pułku ulanów nadwiślańskich, co bezwątpienia się stosuje i do legionów; nie znano innéj różnicy między towarzyszami broni, tylko tę, jaką daje: odznaczenie, zasługa, zdolność, nauka; nie pytano o ród, o majątek, wszyscyśmy byli bracia, bo Polacy, z tą jednak różnicą: że byli bracia starsi i młodsi, wszyscyśmy się kochali jak bracia, tak Radziwiłły, jak prości wieśniacy lub mieszczanie i przedmieszczanie, a zasady jakieśmy powzięli w dzieciństwie, od twórców konstytucyi r. 1791, utrwały się w nas, nową ustawą Księstwa Warszawskiego: „że w obliczu prawa wszyscy ludzie są sobie równi, tak jak katolicy w kościele“. — Batalion, szwadron, stojący w szyku, wyrównany, kilku oficerów przed frontem, a dowódzca na przodzie; to jest początek szlachty w Polsce; nieinaczéj ją pojmują najdawniejsi dziejopisowie; szlachta, było to wojsko: przez swywołę i czas, przeszło w pospolite ruszenie; a jak czas wszystko niszczy, tak zniszczył i tę instytucyę, niegdy poważną, później stającą się ciężarem... bo jak mówiła dama w Chateau Thierry, „noblesse oblige“... wszakże dożyliśmy i tego zmartwienia, którego źródło nie jest nam jeszcze zrozumiałe; że nam *straszhliwie* uczeni nowocześni nasi chcą wyperswadować: że nie pochodzimy od Polaków! otóż ja dla nich ten ustęp piszę: żeby sobie przeczytali historią oblężenia Saragossy przez Mrozińskiego, zdobycie Somossii przez Niegolewskiego, i Dobieckiego o pułku ulanów nadwiślańskich, a powiedzą nam potem: czy nasi szeregowcy, pod-oficerowie i dowódcy byli szlachtą polską? lub nie? i czy pochodzą od Lecha Polaka? czy od Lecha Niemca!... jeżeli zaś nieuznają ich za ślachecko urodzonych, to przecież będą musieli przyznać: że byli ślachtetnie wychowani.

Gdyśmy się zwrócili z traktu paryzkiego od miasta Meaux do Senlis, doszła wiadomość do czoła kolumny naszego pułku, że gmina Chantilly — jak wiadomo, miejsce naszego garnizonu — zbierała się przyjąć uroczystie nasz pułk powracający z wojny; nadjechał więc i nasz pułkownik Krasiński, a d. 5 grudnia 1809 przyjęty był przez radę municypalną z prezesem swoim na czele, która się była udała na spotkanie i powitanie pułku naszego, wręczając dowódcy wieniec laurowy z pochlebnem przemówieniem, do zwycięzców z pod Rio-Seco, Somosierry i Wagram, którzy po raz pierwszy połączonym pułkiem przybywają do nich do Chantilly na leże. Cała ludność Chantilly była się wysypała na powitanie nas, i wprowadziła pułk do téj dawnéj siedziby Konduszów z okrzykami: Niech żyją Polacy! Jest więc temu pół wieku jak za granicą jazda nasza takiej doznała czci; daj Boże! by za drugie pół wieku, podobna jaka okoliczność podała imię i chwałę narodu naszego pamięci potomności.

Cesarz Napoleon wrócił był z Wiednia do Fontainebleau d. 26go października; natychmiast się zajął wysyłaniem posiłków do Hiszpanii, kiedyśmy zatem z początkiem grudnia stanęli w Chantilly, zastaliśmy już rozkaz żeby 150 koni z pułku marszerowało niezwłocznie do Hiszpanii pod dowództwem 1go majora pułkownika Delaitre, z odpowiednim sztabem, ponieważ tenże wyższy oficer miał dowodzić regimentem złożonym z różnych pułków gwardyi konnej lekkiej jazdy. Każdy z nas oficerów co wróciwszy na wiosnę z Hiszpanii, zaraz pośpieszyliśmy z Paryża do Niemiec, życzyliśmy sobie choć przez chwilę wytechnąć w téj stolicy i odpocząć trochę w Chantilly — ale tak pułkownik Krasiński jak i mój szef szwadronu Tomasz Łubieński, wystawiali mi: że będąc dowódcą 1ej kompanii jako porucznik pełniący obowiązki kapitana, będąc podany do krzyża wojско-

wego polskiego i do dotacyi dziedzicznej 500 franków rocznego dochodu, wypada mi podać się dobrowolnie do tego 1go oddziału hiszpańskiego; jakoż za moim przykładem poszli bracia Hemplowie Stanisław i Joachim, tudzież insi oficerowie których jednak prócz wachmistrza szefa Kielkiewicza w tym pierwszym oddziale nie mogę sobie przypomnieć: to tylko wiem, że ledwie zobaczywszy Paryż przez dni kilka, i przebywszy w Chantilly czas ściśle potrzebny, do wybrania się w nowy tak daleki marsz 150 koni, wyruszyłem jeszcze przed Nowym rokiem na czele tego oddziału, bo ani major Delaitre, ani kapitan Szeptycki nie byli jeszcze gotowi do marszu, a zatem, sztab dla pułkownika Delaitra przeznaczony wymaszerował i dojeżdżał w drodze pod mojem dowództwem. — W Rembouillet, jeżeli się nie mylę, złączyliśmy się z oddziałem strzelców konnych gwardyi i Mameluków, którym dowodził szef szwadronu Kirmann dowódzca korpusu Mameluków: ten więc objął dowództwo połączonych oddziałów; nie pamiętam ich mocy — prócz naszego — tylko ztąd wnioskuje że Mamelucy prawie w całej możebnej liczbie wystąpili, że dowódzca ich sam był na czele, a przy nim płatnik korpusu Mameluków porucznik Merat pełnił ten obowiązek na cały regiment pochodowy lekkiej jazdy gwardyi.

Wkrótce złączyliśmy się w Tours z dywizją piechoty gwardyi, którą prowadził generał Roguet a który i naszej jazdy objął zwierzehne dowództwo.

Postępując dość wolnymi marszami i każdodziennie obcując z oficerami francuzkiemi, przyszło zaraz w tym marszu, do częstych rozmów o projektowanym rozwodzie Napoleona z Józefiną; bolesne ta wiadomość sprawiła wrażenie na strzelcach konnych gwardyi, których pułkownikiem dowódzcą był wicekról włoski książę Eugeniusz Beauharnais, jak wiadomo, syn Józefiny. Strzelcy konni namiętnie kochali księcia Eugeniusza, uważali

go jako syna i następcę tronu Napoleona, bo go był za takiego przybrał; weterani ci wspominali z zapalem dowództwo pułku tego księcia, nim się przeniósł do Medyolanu, a Józefinę kochali jako anioła stróża, generała i 1go konsula Bonapartego; oni także po wielkiej części mile wspominali generała Moreau, i częste miewali wieści: jakoby Cesarz z nim się był pogodził i że mu powierzy naczelnictwo w wojnie hiszpańskiej... Z tych i podobnych rozmów owych dawnych żołnierzy rewolucyi, wynikało że projekt rozvodu był im bolesny — wkrótce gdy zamiar ten już się potwierdził, nieupatrywali ci weterani innego związku za granicami Francyi możebnym, tylko z królowną saską, bo to był jeden dwór przyjazny Francyi, i którego sprzymierzenie bliższe rokować mogło, co raz ściślejszy związek z Polską — można sobie wystawić że takie samo było zdanie *nasze*, nikt zaś w obecnej kolumnie marszowej nie przypuszczał związku małennego z dworami, z którymi się zostawało po kilkakroć, prawie ciągle i świeżo w zaciętych bojach. Tymczasem odbywały się dyplomatyczne negocyacye, które do nas niedochodziły, a późniejsze wypadki dowiodły, że zdania dawnych Guidów Bonapartego były szczerze i rozsądne.

W dalszym pochodzie, przyszło nam po raz trzeci odwiedzić miasto Chattellerault wslawione, jakoby porwaniem Sabinek przez Polaków.

Gdy pierwszy raz przechodziliśmy przez Chatellerault w pochodzie do Hiszpanii, w zimie r. 1807 na 8my, nie było jeszcze najmniejszej wzmianki, o owem — iż tak powiem — mitologicznem zdarzeniu... Kiedyśmy zaś wracali z Hiszpanii z początkiem r. 1809 już było się o téj wieści uciszyło, tem bardziej zatem, teraz w zimie z r. 1809 na 10ty, ale ponieważ wzmianka o tem, jakoby zdarzeniu, w Nrze 8ym *Czasu* z d. 12go stycznia 1853, powodem była do reklamacyi naszej w N. 22

z d. 28go stycznia tegoż roku, a następnie wezwani zostaliśmy d. 11go lutego 1853 do pisania w francuzkim i polskim języku, pamiątek naszych o owych czasach Księstwa Warszawskiego i owoczesnych wojnach Napoleona Igo; sądzimy więc, że tu jest miejsce, jeszcze raz nadmienić o tym epizodzie w Chatellerault, żeby z takowego blabego ale rozpowszechnionego zarzutu, najzupełniej oczyścić imię gwardyi polskiej lekkokonnój Napoleona Igo, i przekazać dzieciom naszych towarzyszy broni, wiadomość o tym wypadku, odpowiadającą istocie prawdy; rzecz tak się ma:

Gdy na początku roku 1809 wracałem z Hiszpanii, zdarzyło mi się w mieście Barsac, sławnem winami, mieć kwaterę w domu zamożnym przez damy zamieszkanym. Stósownie do mego zwyczaju, oświadczyłem służącej, że życzę sobie oddać wizytę właścicielowi domu — po wielu trudnościach, zostałem nakoniec przyjęty. Przemówiwszy do dam obecnych kilka słów; rzekły do mnie: „Pan jesteś Francuzem?“ — nie mam tego zaszczytu, odpowiedziałem, jestem Polakiem; — „Czy „to być może?! myśmy wszystkie obawiały się pana przyjąć, bo miałyśmy na kwaterze oficera Polaka, który nam wiele nieprzyjemności wyrządził“. — Odeszło mnie to bardzo; nazwiska tego oficera, ani pułku do którego należał, nie umiały mi te damy powiedzieć, tylko poznałem z ich opowiadania, że to był jakiś oficer od piechoty; przedstawiłem więc tym damom: że w każdym narodzie, a nawet w każdym pułku, są ludzie niejednakowego wychowania; że mi jest wiadomo *dowodnie*, iż częstokroć oficerowie Francuzi bardzo się niegrzecznie i nad wszelki wyraz nieprzyzwoicie obchodzą po kwaterach we Francyi; starałem się sprostować opinię tych dam o naszym narodzie, trafiało się albowiem w tych przechodach armii francuzkiej z Niemiec do Hiszpanii, że Francuzi będąc bardzo przykrymi dla gospodarzy swoich

straszyli ich Polakami, i różne niedorzeczności o nas — jakoby na postrach — wygadywali; taką też anegdotę puścili w obieg o mieście Chatellerault, które słynie z fabryk nożów, nożyczek i podobnych drobnych wyrobów. Prawda, że dziewczęta, z naprzykrzeniem nachodzą podróżnych, a także i wojskowych po kwaterach, żeby się pozbywać owych użytecznych drobiazgów które w koszykach roznoszą; to mogło dać powód do wieści: jakoby pułk 7my piechoty Księstwa Warszawskiego, dowództwa pułkownika Sobolewskiego, był dla gorąca, przedsięwziął wymarszerowanie z tego miasta wieczorem przy muzyce pułkowej, i jakoby po za miasto wiele panienek i różnych kobiet było pułk odprowadzało, i że za miastem, gdzie był spacer gęsto drzewami wysadzony, pułk się był zatrzymał, i rapt Sabineek przez Rzymian był naśladował... trudno przypuścić, żeby pułkownik Sobolewski, rodzony brat Ignacego, znanego kilkokrotnego ministra, jeden z najznakomitszych wojskowych naszych, był pozwolił na taką niedorzeczność... Może co zaszło przy tylnej straży pułku, ale Francuzi częścią złośliwie, częścią z nieprzyzwoitą wesołością rozgłosili ten, jakoby wypadek, który jak wszystkie podobnego rodzaju pogłoski, rósł z drobnostki do coraz większych rozmiarów. — Kiedy po raz drugi przechodziłem przez Chatellerault, słyszałem: że miasto zaniósło skargę do Cesarza, lecz ten miał odpowiedzieć: „Iż „jeśli się co stało, kobiety miasta Chatellerault same temu „są winne, bo uczciwe kobiety i panny, nie powinny „chodzić za żołnierzami, za ich muzyką po nocy.“ — Powtarzam więc, że mniemany wypadek w Chatellerault, nie miał nic w sobie osobliwszego, ani honor wojska polskiego obrażającego, a tem mniej pułku gwardyi lekkokonnej polskiej Napoleona Igo, ani pułku ułanów nadwiślańskich; bo jeżeli co zaszło, to zaszło w piechocie, a pp. oficerowie pułku 7go piechoty Ks. Warszawskiego,

jeżeli jeszcze żyją, chwalebnie by uczynili, gdyby nam bliższą wiadomość o téj powiastce podali.

Postępując dalej ku Hiszpanii przeszliśmy miasto Angoulême którego położenie, zdawało nam się przypominać coś polskiego, niby Wawel skalisty, niby Kamieniec Podolski... oba rzekami wieńczone, tak jak Angoulême rzeką Charante (Szarant).

W okolicy lesistój, niedaleko tego miasta, zdarzyło mi się mieć nocleg w domu, czyli raczej w folwarku wiejskim, porządnie i dostatnio zabudowanym, ale w miejscu odludnem, do którego przez znaczne lasy trzeba się było dostać. Gospodarz, był staruszek wiejskiego stanu, przy kominku w krześle przesiadujący; posadzka w pokoju ceglana, ale izba obszerna, porządna, w której widać było zamożność; proszono mnie do obiadu, nakryto mi w tym samym pokoju w którym gospodarz przebywał; bielizna stołowa świeża, czysta, sztucce srebrne, obiad niewykwintny ale smaczny, gospodarski, wino domowe ale bardzo dobre, bo to już zbliżaliśmy się ku Bordeaux... zresztą cały ten dom był chłopski; kobiety i dzieci już ożeniony, w sabotach. Czynię relacyę tych wszystkich drobnych okoliczności żeby czytelnikom dać obraz o chłopku francuzkim. — Po obiedzie, gdy przysiadłem się do mego gospodarza pod kominem, zaczął mnie staruszek badać: do jakiego pułku należę? kto jestem? i t. p. Gdy mu odpowiedziałem: że jestem de la Garde de l'Empereur — z gwardyi Cesarza — zawołał na syna: „Fanfan! — Franusiu — cóż mi to ten pan mówi, że jest ze straży jakiegoś tam Cesarza, cóż to ma znaczyć?“... na to mu syn tłumaczył jak było, a staruszek obracając się do mnie, odzywa się: „Panie! już wiedziałem żeśmy przestali mieć króla... ale żebyśmy mieli Cesarza... to pierwszy raz słyszę“. — I to się działo po kampanii wiedeńskiej w końcu r. 1809, właśnie wtenczas kiedy nas dochodziły wieści o związ-

ku Cesarza z domem Habsburgów!... Otóż to jest obraz z ustronia francuzkiego, nie łatwy do pojęcia: żeby wieśniak tyle zamożny, tak mało wiedział o zmianach zachodzących w kraju; lecz to dowodzi, jak tam we Francyi fiskalność jest względna, czyli raczej: że są podatki ale niema ducha fiskalności. . . bo gdzież u nas podobne zabudowanie folwarczne, mogłoby się ukryć przed bezustannemi odwiedzinami urzędników wszelkiego stopnia, a za ich bytnością, byłby dostatni gospodarz, aż nadto poznał hierarchią swego kraju.

Od połączenia się naszego oddziału z kolumną szefa szwadronu Mameluków Kirmann, marszerowaliśmy zawsze w uprzejmiej zgodzie, a ile razy oficerowie wspólnej kolumny byli razem na noclegu lub dniowym wypoczynku, zwyczajem wojska francuzkiego jadalі wszyscy oficerowie obecni, u jednego stołu pod prezydentęą komendanta, którym tu był pułkownik Kirmann, prawdziwy typ Alzacczyka, jakieśmy tego rodzaju wojskowych francuzkich powyżej skreślili. Mało co umiał po francuzku i wymawiał sposobem, czasami trudnym do zrozumienia; ale rzadko i to tylko w poufałości, np. ze mną, przemawiał po niemiecku, zwyczajnie używał tylko języka francuzkiego, był zapalonym oficerem francuzkim; od wstąpienia do wojska, słynał czynami nadzwyczajnej śmiałości i siły, później zostawszy oficerem, wreszcie kapitanem, wslawił się komendami partyzanckimi, jakoż, choć nie miał wyższego wykształcenia posunął go Cesarz na sztabsoficera swęj gwardyi, ale uwzględniając jego niższe usposobienie osobiste, oddał mu komendę Mameluków. Był pułkownik Kirmann rzadkim obrazem w staręj gwardyi: z natury Niemiec, z upodobania oficer francuzki, ze stroju Turek, wysoki, suchy, byłby dla obcych widzów śmiesznym, ale reputacya wielkiej brawury, twarz naznaczona szramami od pałasza, czyniły go poważnym, a dobroć serca i uprzejmość umysłu

powszechnie kochanym, pod takim więc przewodnikiem obiadowaliśmy wspólnie, Szassery, Mamelucy i Polacy w miasteczku St. André de Cubzac nad rzeką [Dordogne, a prowadząc rozmowę koleżeńską, o nowinach czasowych i o różnych przygodach wojennych, rozeszliśmy się dość późno w noc do kwater naszych. Ponieważ, chociaż tylko porucznik, byłem komendantem oddziału Polaków, którym miał być nieobecny pułkownik Delaitre; doktor naszego pułku Deplace, i inni sztabowi oficerowie kwaterowali przy mnie. Rozmawiałem jeszcze sam na sam, z doktorem Deplace, kiedy nas dolatuje hałas z ulicy, pomieszane krzyki, francuzkie i polskie, wyrażnie bitwa Polaków z strzelcami konnymi gwardyi. Żywo mnie to obeszło, a pocziwy Deplace, jako Francuz jeszcze z expedyeyi egipskiej, daje mi, niby przestrogę: „niech się nasza młodzież nie porywa na francuzkich wąsatych wiarusów! bo by na tem źle wyszła“... Ja wybiegam z domu i pospieszam do miejsca gdzie tumult... i cóż znajduję? strzelca konnego leżącego we krwi,... jak się okazało, nieżywego i kilku szwoleżerów naszych, spokojnych ludzi, ubolewających nad tym wypadkiem. Strzelec konny zabity, był kowalem w kompanii, miał przezwisko Rebelle; był to człowiek wielkiej siły, zuchwały, lubiący wszczynać kłótnie; w szynkowni więc, zaczepił Zielińskiego z Pragi pod Warszawą, który także wielkiej był siły; wszczęła się kłótnia między obecnymi obu pułków, ale Polacy wyparli Francuzów z szynku na dwór, okna i ruchomości zostały potłuczone, a zaraz za drzwiami domu szynkownego padł strzelec konny Francuz, cięży pałaszem w tył głowy tak mocno, że doktor Deplace, natychmiast przywołany, już w nim nie znalazł życia.

Pierwsze to było zajście tego rodzaju między pułkami ztowarzyszonymi służbą i przychylnością. Jako czasowy dowódzca oddziału w którym się zdarzył taki

wypadek, mocno się lękałem odpowiedzialności i gniewu Cesarza, któremu to zdarzenie bezwątpienia a może i złośliwie, przesadnie doniesionem będzie. Rozżalenie i skargi mieszkańców, zagodziłem łatwo, płacąc im sowicie, za podane szkody przez tę kłótnię wyrządzone; względem zaś kolegów strzelców konnych, wypadało się stawić obojętnie; jakoż oni sami przyznawali: że poległ był człowiekiem niespokojnym, co samo przezwisko jego *Rebelle* oznaczało.

Nazajutrz gdyśmy się uszykowali do marszu, pan szef szwadronu Mameluków, komendant kolumny Kirmann, zapytuje mnie z góry: „jak to ja trzymam mój oddział, że się takich dopuszcza excessów?“ Na to ja: „Nie inaczej trzymam moich Polaków, jak pan szef trzy-
„masz swoich szasserów, kłótnia była wzajemną, a za-
„czepka ze strony szasera który poległ; obrażony jest
„przezemnie aresztowany, jeżeli p. szef, jako dowódzca
„kolumny, chce go poddać pod sąd wojenny, niemam
„nie przeciwko temu, ale przekonany jestem: że będzie
„od kary śmierci wolny, bo go nieboszczyk obraził, a
„miał reputacyą zaczepnika i kłótnika.“ — Na to pocziwy Kirmann: „ja WPana znam, foyez pien (voyez
„bien) i bardzo żałuję, że się taki przypadek wydarzył,
„ale to już nie odemnie zależy, lecz od jenerała Roguet,
„który całą kolumną gwardyi dowodzi; radzę ci: po-
„jedź sam do niego naprzód do Bordeaux, żeby nie był
„przez kogo złośliwie uprzedzony, foyez pien,“ — takie miał przysłowie szanowny i pocziwy Kirmann, Alzacczyk, wielki patryota francuzki, ale który niegodziwie mówił po francuzku, jakeśmy powyżej zamieścili.

Udałem się więc naprzód do Bordeaux, lękając się jenerała dywizyi Roguet, którego nieznałem, a którego w piechocie gwardyi miano za bardzo surowego służbi-
stę. — Zastałem jenerała u stołu, licznym sztabem otoczonego; gdy mu zameldowałem: „że jestem komendan-

„tem oddziału szwoleżerów polskich, i że mnie smutny
„wypadek śmierci, jednego Francuza z gwardyi szas-
„sów konnych, do niego sprowadza“, — odpowiedział:
„przedewszystkiem, bardzom rad poznać WPana, siadaj
„pan obok mnie, pomówimy z sobą, ja bardzo szacuję
„i lubię Polaków; a co się tyczy wypadku, jaki się u
„was w kawaleryi wydarzył: Cesarz na to jest wyrozu-
„niały; żołnierze zwłaszcza z różnych pułków, nie mo-
„gą się czasem nie pokłócić... Zresztą, jest to o jednego
„ładaco mniej... nie mówmy już o tem“... Tak się
uspokoila moja obawa pomsty nad Polakami, za śmierć
jednego gwardzisty francuzkiego, i poznałem w jenerale
Roguet, dowódcę, który później w każdym spotkaniu,
okazywał się przyjacielem Polaków, i był wielkim wiel-
bicielem Napoleona, i dzielnym wojownikiem.... żył
długo i był zawsze jednym z pierwszych stronników
Bonapartyzmu; — i obecnie jest w służbie Napoleona III
jenerał Roguet, ale wątpię żeby ten sam, i nie miałem
sposobności dowiedzieć się o jego osobistych stosunkach.

Oddział nasz wypoczywał przez dni kilkanaście w Bor-
deaux, tam zastałem list mego szefa szwadronu Toma-
sza Łubieńskiego, mojego wówczas wielkiego przyja-
ciela; w którym liście pisze: „że pospiesza donieść
„mi o moim awansie na kapitana, że on pragnie być
„pierwszym w doniesieniu mi téj nowiny“.... Na nie-
szczęście, polegając na tak poważnem zawiadomieniu,
nie tailem tego przed moimi oficerami podkomendny-
mi, którzy znowu udzielili téj wiadomości oficerom od
szasserów i Mameluków, przyszli więc do mnie ci ofi-
cerowie z życzeniami swemi, i odtąd tytułowano mnie
kapitanem... aż później ta wiadomość nie potwierdziła
się... okazało się że wprawdzie byłem na kapitana poda-
ny, ale Cesarz dopiero d. 17 lutego 1811 nominacyę pod-
pisał, a mnie doręczoną została aż w marcu w Valla-
dolid. Zawód ten był dla mnie tem boleśniejszy, że ja

nigdy nie pobrażałem, ani swojej ani niczyjej chępliwości, i rad poprzestawiałem na pełnieniu obowiązków kapitańskich od placu bitwy pod Wagram.

Atoli wówczas zastawszy w Bordeaux, zakład pułków pieszych Księstwa Warszawskiego, 4, 7 i 9 pod dowództwem pułkownika Wierzbickiego, przy którym byli kapitanowie: Popiel i Wasilewski, oraz kilku oficerów z ran i chorób rekonwalescentów, gdy mnie ci wszyscy kapitaństwem pozdrawiali i tytułowali, umyśliłem dać obiad dla oficerów naszej kolumny jazdy gwardyi i pp. oficerów polskiej piechoty, celem zapoznania się tych towarzyszków broni między sobą... co naturalnie spowodowało dość liczne zebranie i wesołe toasty, przy winach jakimi Bordeaux słynie.

W tem pobrataniu się kolleżeńskim, pokazało się, że między stołownikami była znaczna liczba wolnych mularzy (maçon). Kapitan Wasilewski dawny mój znajomy z Warszawy, jako oficer ze sztabu księcia Józefa Poniatowskiego i siostrzan jenerałowej Zajączkowej; wiedząc, że się tłumaczę z łatwością w języku francuskim, namówił mnie i wielu obecnych żeby odwiedzić łożę massońską w Bordeaux i affiliiować się do łoży. —

W Warszawie krewny mój daleki, ale przyjaciel bliski Jan Kanty de Rivière-Zaluski, wówczas sędzia pokoju, z czasem prezes sądu apellacyjnego w Warszawie, był wielkim zwolennikiem i wysokim urzędnikiem massonerii; skoro więc uzyskałem w Finkenstein nominację na oficera, przedstawił mnie w łoży Izys w Warszawie, odbywającej swe posiedzenia w domu czerwonym przy ulicy Mazowieckiej; i zostałem massonem 1 stopnia to jest uczniem... a później przed wymarszem z Warszawy już do Francyi, wyjednał mi przewielebny mistrz katedry Jan Kanty Zaluski drugi stopień massoński, to jest czeladnika... Ja zaś dzielając zapal mego krewnego i przewodnika w massouństwie w mowie pożegnalnej

ofiarowałem do księgozbioru łoży bilet mój prenumeracyjny na słownik Lindego, i zbiór map Polski pułkownika Perthes, z rozkazu Cesarza Napoleona w małej ilości w Warszawie odbity; co tu nawiasem przytaczam bo te mapy Perthesa są tak rzadkie iż wielu o ich istnieniu powątpiewa, tak dalece, że gdy przed kilku laty pisałem do Wejmeru do wydawcy map p. Perthesa, pytając go o wiadomość o jego imienniku inżynierze Perthes pułkowniku w służbie polskiej za Stanisława Augusta, i czy nie posiada map jego Polski do zbycia? odpisał mi: „że lubo się podobuie nazywa, nigdy nie „słyszał o pułkowniku inżynierze Perthes, a tem mniej „o mapach Polski, jego roboty.“ — Nicchże mi więc czytelnicy wybaczą, ten ustęp, nie mający związku z pułkiem o którym piszę, prócz tego uczucia: że co tylko obchodziło i obchodzi Polaka, nie z tego nie było obcem sercu oficerów polskich gwardyi Napoleona I.

Wracając do opowiadania dalszego pobytu w Bordeaux, piszę dalej, że kapitan Wasilewski, przedstawił mnie, jako aktualnego czeladnika wolno mularskiego warszawskiego, do awansu na massona mistrza, a Dominika Kielkiewicza *) mojego wachmistrza szefa 1ój kompanii, jako adepta do łoży wolno mularskiej w Bordeaux.

Nieobeszło się bez tego, że miałem przemówienia do braci w tym sensie: „że jeżeli wszystkie narody wykształcone, coraz więcej łączą się braterstwem ludzkości, to wszelako dwa narody francuzki i polski, już od wieków podzielały to wzajemne uczucie, które obecnie skojarzyły coraz ściślej wielkie dzieła Napoleona.“

Dominik Kielkiewicz zaś przechodził mężnie — o czem nie można było wątpić — wszelkie najwykwintniejsze

*) Pisząc to nie wiedział wydawca że major Dominik Kielkiewicz był kapitan gwardyi polskiej, świeżo umarł na Wołyniu.

postrachy i próby zakonne. — Kiedy się mówi o massoneryi, a bezwątpienia po raz pierwszy i ostatni; niechaj mi wolno będzie w tem miejscu dodać: że gdy Antoniego Jankowskiego, 1go porucznika mojej kompanii, przyjmowano w Paryżu do zakonu Massonów, a on pytany był według formalności wolno mularskich: „czyby się czuł sposobem zabić nieprzyjaciela zakonu, gdyby mu nakazano?...“ Jankowski zamyśliwszy się nieco, odrzekł głośno: „Mości panowie! jeżeli tu jest mowa o Cesarzu, to nie!“ Można sobie wystawić, jaki popłoch sprawił ten polski wyraz, włoży paryżkiéj... zewsząd odezwały się głosy: „Ależ, czyż pan możesz przypuszczać taką myśl!... to jest tylko pytanie naszego katechizmu... siadaj pan między nami... bez dalszych formalności“ i t. p. Ten to sam Jankowski który stracił życie w r. 1831 d. 15go sierpnia w Warszawie za niepobicie Rydygiera... był to jeden z oficerów naszych najzdolniejszych, odznaczony kilkakrotnie, ale nie wyżej szefa szwadronu. — Nie byłem nigdy zapalonym Massonem, ale nie mając nic przeciwko zasadzie: ścisłego braterstwa, którego nas sama ewangelia uczy, owszem, ceniąc wysoko tę zasadę w organizacyi wojskowej, nie unikałem od wolno-mularstwa... jednakże od Warszawy w jesieni 1807 roku, nie znajdowałem się w Łoży, aż wówczas w Bordeaux... lecz i tu, jakież spotkało mnie rozczarowanie?... kiedy okryty okłaskami usiadłem na ławie jako nowy i doskonały mistrz między mistrzami,... aż tu wkrótce mój sąsiad z prawej strony, podaje mi swój adres... a następnie to samo mój sąsiad z lewej strony... jeden był rękawicznik a drugi passamonik, oba zalecali mi swój towar jako hracia bratu.

Zdaje się, że gdy Rewolucya Francuzka ostudziła wszelkie teorye, czyli mody, wieku 18go, a Napoleon ujął takowe z rygor szeregowy; korporacye Massonów,

pozostały tylko, jakoby igraszki niewinne. — W Warszawie, po r. 1814 uczęszczaliśmy znowu do Łoży Izys, przeistoczonej na Świątynię Kazimierza Wielkiego, a to z innych względów oprócz braterstwa ludzkości ale co jeszcze ciekawsze: że w Petersburgu, imieniem Warszawskich braci, pozdrawiałem, w mowie polskiej, braci Nadnewskich z Łoży Orła białego, jakież to przeciąg czasu, i miejsce! i okoliczności!

— Kiedyśmy, po mniej więcej przedłużonym, ze wszechmiar bardzo przyjemnym pobycie w pięknym Bordeaux, mieli już to miasto opuszczać, wydarzył się następujący wypadek:

Urzędnik, imieniem Maira miasta (osoby w Bordeaux wysokiego znaczenia) przyprowadził do mojej kwatery, starego Francuza zapłakanego, skarżącego: „że mu Polacy skradli skarb, zakopany w nawozie, stajni, w której kilkanaście koni polskich stoi, a te mają wychodzić w marsz“.

Przerażony, skargą tak ohydłą dla imienia polskiego, udaję się natychmiast osobiście do rzeczonej stajni . . . dopytuję się i słyszę: że niejaki Farenko, były ułan austriacki, weteran, nie tylko że stał w tej stajni; ale przez kilka dni, w zastępstwie za drugich, odbywał służbę stajenną . . . sam jeden zostając tam przy koniach przez kilka nocy . . . Wielkie podejrzenie padało na Farańkę; ale Sobański młodzieniec odznaczający się wychowaniem, przystępuje do mnie i rzecze: „Panie Kapitanie! ja ręczę, że nikt z nas tej kradzieży nie popełnił, a najmniej Farenko . . . proszę pana kapitana niebrać tego wypadku za żywo, a ja obiecuję, rzecz tę wykryć“ . . . Wracam stroskany na moją kwaterę, upewniając onego komisarza magistratu: „że w krótkce sprawa ta będzie wyjaśniona . . . te moje słowa, ani komisarza, ani poszkodowanego właściciela, wcale nie zadowolniły . . . aż w krótkce, nadbiega Sobański z workiem

złota, i z radością wręcza mi takowy, mówiąc: „że był zakopany w nawozie, ale konie przez dni kilka stojąc na miejscu, skopały dawny nawóz tak, że staruszek, rewidując swoją kryjówkę, a widząc ją naruszoną, strach go ogarnął, i narobił wrzawy“. — Otrzymawszy worek złota, z rąk Sobańskiego, pytałem skarżącego: „wiele miał pieniędzy?“... najprzód bał się wyrzec, i przyznać do tak sporój sumy... nakoniec ją podał... przerachowałem, było znacznie więcej... biorę więc z sobą Chevaulezera Sobańskiego, i Francuza skarżącego i udaję się w procesyi licznego ludu na Ratusz do Maira miasta... tłum ludzi się wzmacza, zwabiony krzykiem staruszka: „o dobrzy ludzie! o poczeiwe Polaki!“ — ja zaś korzystam z téj okoliczności, żeby w oczach Maira miasta Bordeaux, męża tak znakomitego, i w obec tylu świadków, podnieść opinię o zacności polskiego narodu, i honorze polskiego żołnierza, i przemawiam uroczyście: „Oto mam zaszczyt przedstawić panu Mairowi, „prostego szeregowego z pułku polskiej gwardyi konnej „Cesarza... nie tylko wraca właścicielowi pieniądze, „ale wraca więcej, niżeli on podał... prosi tylko pana „Maira, żeby temu mieszczaninowi dał naukę: na przyszłość skarbu w nawozie w stajni nie zakopywać, bo „gdyby tam nie byli stali żołnierze polscy, ale jaki „podróżny furman był to złoto naszedł, jest wielkie „dobieństwo, żeby go właściciel nieodzyskał“. — Wypadek ten, stał się w Bordeaux rozgłośnym, gdzie wszakże już od r. 1808 polaków, to jest nasz pułk bardzo lubiono. Maire nie mógł się dość odchwalić i podziękować, odprowadzał mnie aż do schodów ratuszowych, lud zaś towarzyszył mnie i kolegom z pułku, aż do mojej kwatery, z okrzykami: niech żyją Polacy.

Zaraz po tem zdarzeniu, oddział nasz opuścił Bordeaux i udał się w krainę zwaną: La Réole... Nie wiem jaka zachodziła przyczyna, że wyprawiwszy nas z po-

śpiechem z Chantilly z pod Paryża do Hiszpanii, teraz zatrzymano nas w Bordeaux, i w rzeczonęj okolicy, a jak to później zobaczymy, i przed granicą Hiszpanii.

Nie pomnę już, jak szew szwadronu Kirmann rozlokował całą swoją marszową kolumnę i czy stał w samym miasteczku La Réole? to tylko wiem, że ja z całym oddziałem Polaków stałem we wsi dużej, od miasta La Réole, może o milę polską oddalonęj, której nazwiska jednak nie mogę sobie przypomnać. Była to wieś podobna do miasteczka, tak dalece że miała oberżę w której my wszyscy oficerowie stołowaliśmy się razem według przyjętego w wojsku francuzkiem zwyczaju. Ja sam zaś miałem kwatere na ustroniu, w domu który pałacikiem nazwać było można, i gdzie mnie gospodarstwo oboje raz na zawsze na obiad prosili . . . atoli podziękowałem im, tłumacząc się, że będąc kommandantem oddziału stojącego wtem miasteczku, nie mogę się oddalić od orpusu oficerów i z niemi stołować się powinienem, ale że wieczorami będę miał przyjemność uczęszczania do ich domu a nawet niektórych z moich oficerów im przedstawię.

Gospodarza mego, poważnego starca, członka dawnego parlamentu, co mu dawało znaczenie, ceniono na 12 tysięcy franków rocznego dochodu. Prócz obojga — których nazwisk nie pomnę — byli w domu syn więcej jak dorosły, i córka dojrzała — cała ta familia z dobrem bardzo wychowaniem. W całym domu, a był to jak powiedziałem niemal pałac na piętro z ogrodem, była tylko jedna służąca i jeden służący; była para koni, bezwątpienia krowy i inny dobytek; na to wszystko obsługa wystarczała i w domu i w stajni i w ogrodzie, a było wszędzie i czysto i porządnie; drobnostki te notuję dla naszych czytelników, którzy nie odwykli od zbytku trzymania źle płatnych próżniaków. — Otóż w tęg wsi czyli miasteczku, wydarzył się znowu innego ro-

dzaju jak w Bordeaux służbowy przypadek malujący karność naszego pułku i księdza wiejskiego francuzkiego. — Wkrótce po przybyciu naszego oddziału do téj wsi, zaniósł do mnie, osobiście ks. Wikary (może pleban) skargę na żołnierza Polaka, lecz umiejącego po francuzku, „że z niego szydził i nieprzyzwoitymi żartami „naigrawał się z niego, uwłaszczając szczególnie chara- „kterowi jego duchownemu“. — Obżalowany był to syn znacznego kupca Warszawskiego; a że znałem go jako wesołego i uszczypliwego, kazałem go więc natychmiast aresztować; a że innego miejsca nie było wsadzić do piwnicy i zamknąć. — Gdy tak gwardyak jowialista w piwnicy siedział, i o głodzie tylko okienkiem z kratą na świat spoglądał; zdarzyło się że ks. Wikary tamtędy przechodził, aż tu więzień do niego: „a widzisz „pan coś swoją skargą zrobił! ja z WPana słowami „żartowałem, a teraz pan widzisz, jak nasz komendant „żartów nie rozumie.... ja tu siedzę jak zbrodniarz, i „Bóg wie! jak długo tu siedzieć będę!“ — Ksiądz to zobaczywszy, dalej mnie szukać, przypada rozczulony; „Ale Panie Kapitanie! cóż to pan począłeś z tym nie- „szczęśliwym młodzieńcem? osadziłeś go w piwnicy, od „wczoraj tam siedzi.... a mógłłem ja się spodziewać, „że pan tak surowo weźmiesz, rzecz którą ja w pier- „wszym żalu do niego zaniósłem?“ ja na to: „Mości „Księżu! mówiłeś mi, że żołnierz polski, uchybił Ci „jako księdzu, ubliżył powadze jaką masz w téj wsi... „występek ten, według mojego sposobu widzenia, jest „nie mały, mianowicie dla żołnierza Polaka, katolika, „umyśliłem więc skarcić takowy surowo, i zrobić przy- „kład“ — Na to ksiądz, ledwie mnie po rękach niecałując: „Ah Mości Kapitanie! nie karaj mnie, nie zawsty- „dzaj mnie! żeby ten młodzian, dla mnie, miał tyle cier- „pieć“ i t. p. Na to ja, który rad byłem wypuścić biednego Warszawiaka, odrzekłem: „siedziałby w téj pi-

„wnicy tak długo, jak nasz oddział tu stać będzie, żeby go nie naszła chętka, pomszczenia się na WPanu... ale kiedy sam za nim prosisz... to co innego“. Kazałem aresztanta przyprowadzić, i rzekłem do niego w obecności księdza: „Obraziłeś czcigodnego księdza, zgorszyłeś wieś francuzką, naraziłeś sławę narodu naszego na zarzut: bezbożności; zasłużyłeś więc na przykłądną karę... lecz kiedy ten sam kapłan, zanosí za tobą błagania... uwolnię cię, lecz pod tym warunkiem: że tego księdza publicznie przeprosisz, tak, jakżeś go publicznie obraził, i dalszem postępowaniem swoim — zwłaszcza że mówisz po francuzku, i masz wychowanie po temu, naprawisz u tutejszej ludności złe zdanie, jakieby mogła mieć o polskiej moralności“.

Tak się ta sprawa zakończyła, z wielką satysfakcją księdza, a nawet z jego i parafian uwielbieniem. Jakoż to ksiądz był dziwnie przykładny, posuwający ślub ubóstwa, aż do ostateczności, bo żyjąc sam — można mówić — z jałmużny, udzielał wsparcia ubogim, przemawiał za nimi z wymową człowieka ukształconego, a sam był tak skromny i prosty, że się wydawało na pozór, jak gdyby był wieśniakiem bez wychowania; tak się umiał stosować do umysłu swoich parafian; to też był powszechnie kochany i słuchany.

Przebywając w tej wsi, doznaliśmy w okolicy La Réole, ja i oficerowie moi gościnności, którą się odznacza we Francyi: Gaskonia, kraj jeden z najpiękniejszych.

Powiedziałem już, że odmówiwszy gospodarstwu mojemu, zaproszenia na codzienne obiady, przychodziłem do nich wieczorem na pogadankę lub skromną partyjkę biorąc z sobą zwykle którego z oficerów. Zaraz pierwszego dnia, gdy gospodarstwo poczęstowali mnie kolacją, wymknęła mi się z ust, pochwała ostryg tej okolicy, jakich my Polacy używaliśmy w Bordeaux, a która, jako mieszkańcy Kontynentu, niestety oddalonego

od morza, poczytujemy za specyał, bo rzadkość wielką. — Nazajutrz przyszedłszy na wieczór, zastałem kosz ostryg... zawstydziłem się i przepraszałem mocno, za ambaras który moją niedyskrecyą sprawilem gospodarstwu... odrzekli: „że ostrygi u nich ani są drogie, ani daleko jak w Polsce“ i codziennie aż do naszego wymarszu, był zawsze kosz ostryg, ma się rozumieć: bezpłatnie. — Skutkiem tego zaznajomienia, ja i niektórzy oficerowie, co umieli po francuzku, byliśmy proszeni na obiady w okolicy; mianowicie, z powtarzaniem, do pułkownika Menou, weterana jeszcze z królewskich czasów, który zdawał się brać żywy udział w rozmowie ze mną o dawnych i teraźniejszych czasach, Francyi i Polski. Bezwątpienia, był on Burbonistą, ale że mnie widział Bonapartystą, więc rozmowy nasze miały cechę w zajęmną delikatności, bez obłudy. — Nienarzekał on na niekarność naszego pułku polskiego — bo jój nie doznał — ale był tego zdania: że w wojsku francuzkiem, karność się bardzo zmniejszyła, czyli osłabiła.... rozpowiadał mi: jak maszerując raz z swoim pułkiem piechoty od Renu do Paryża, zaszła między innemi, okoliczność: że posiadacz jakiegoś sadu, zaniósł skargę: „że żołnierze maszerujący po pod jego drzewa wiśniowe, sięgali w marszu po wiśnie“ kazałem zaraz — mówił pułkownik Menou — stanąć pułkowi, uszykowałem go, a naruszyście cudzej własności, ukarani zostali z wszelkim obrzędem, fuchtlami pałasza (coups de plat de sabre) — Taki sposób karania żołnierza, nie laską ale pałaszem, uważał szanowny, staroetatowy pułkownik za honorowy: musiała ta opinia być w ówczas i w Polsce, bo ja pamiętam jak w Krakowie w batalionach pułków piechoty Wodzickiego i Czapskiego karano tak honorowo: n. p. podchorążych, podoficerów, fuchtlami pałaszowymi.... słownik Lindego pisze: „fukiel“ ale ja słyszałem zawsze, od braci Moczydłowskich, co byli

podchorążymi w powyższych pułkach pod Raclawicami, nie: „Fukle ale Fuchtle“. — Zaczny pułkownik Menou, rozlubował się w tym rodzaju kary, który miał czas, w pokoju pompatycznie administrować; zdaje się że on podzielał systema ministra wojny St. Germain, który za Ludwika XVI, oburzał wojsko, zaprowadzając kary nadwierzające punkt honoru Francuzów.

Pytałem się pułkownika, czy był krewnym Jenerała Menou, komendanta w Egipcie po Kleberze? ... odpowiedział skwapliwie: że nie, zdaje się: że siebie uważał: za noble (ślachcica) a tamtego za roturier (prostaka).

Podprefekt w mieście La Réole, przesadzał się także w grzeczności dla nas Polaków, i dawał dla nas oficerów obiad wykwinny, obfitujący w produkta krajowe: wina, trufle, oliwki; w tym pięknym kraju, mało co używają powozów. Damy przyjeżdżają na obiady konno lub na mułach. Po dwu tygodniowym pobycie, pożegnałem moich gospodarzów ojca i syna: zapisali sobie moje nazwisko, jakoż wkrótce, odebrałem od nich list, w Hiszpanii, z adresem: à Mr. Jaoulqui.

Maszerując ku Bajonnie, przebywaliśmy okolice piasków, les Landes, w Bazas albo w Dax widziałem mieszkańców z tamtych stron, których tam zowią Baskami — des basques — chodzących na szczudłach takiej wysokości, że się równali z oknami pierwszych piąter domów miejskich; szczudła te, są w tamecznych piaskach powszechnie używane, a za ich pomocą, odbywają z łatwością szybkie i dość dalekie podróże. Baskowie używają ubiorów, wcale odmiennych, od zwykłego Francuzów stroju, odznaczają się nakryciem głowy, okłągłem, płaskim, zwanem: bonnet basque. W roku 1808 miał Murat w Madrycie gwardyę osobistą Basków, dziwnie pięknie umundurowaną w stroju narodowym. — Lubo naród Basków jest jeden, po obu podgórzach Pi-

renejów, i język prawie jeden, dawnych Kantabrow, znalazłem jednak po obu granicach strój wcale odmien-ny; w tem tylko Baskowie Francuzcy i Hiszpańscy mają do siebie wielkie podobieństwo, że lud jest, bardzo pię-ny, zwinny i silny.

W Bajonnie zastaliśmy znowu rozkaz zatrzymania się w marszu, oddział Polaków cały, udał się do mia-
steczka Baskońskiego Ustaritz, pod samemi Pirenejami
leżącego, nad rzeką Nive. Jest to ojczyzna Dominika
Józefa Garat ministra sprawiedliwości w r. 1793 który
Ludwikowi XVI czytał wyrok śmierci; w czasie cesar-
stwa był senatorem, i hrabią państwa, zawsze więc zna-
komitością: tenże opiekował się miejscem swego uro-
dzenia i miał tam pałac; był wszelako i zamek okazał-
szy od domu Garata, ale bądź że trochę pustka, bądź
że bez właściciela, więc Furyer mojej kompanii Więc-
kowski, ulokował mnie w pałacu Garata, a jako gorli-
wie do swego kapitana przywiązany, zajął się, przed
nadejściem mojem, wyprowadzaniem ze stajni, 4ch koni
cugowych obecnej pani hrabiny Garat, chcąc zrobić
miejsce dla moich. Nadjechałem, kiedy o ten postępek
żarliwości mego Furyera, toczył się żywy spór: prze-
raziła mnie ta bezwzględność żołnierska na etykietę, i
połajawszy Furyera za zbytek jego służbistości, kaza-
wszy zaraz, konie hrabiny wprowadzić na swoje miej-
sce, pośpieszyłem do niej; nie łatwo udobruchałem jej
rozdrażnienie: znalazłem damę paryżankę, już nie pier-
wszej młodości, ale elegantkę w tonie pretensjonal-
nym; nie bez trudności wyperswadowałem jej, że pod-
oficer polski nie znał tego uszanowania jakie się jej
stopniowi należało, ale które mnie, jako i całej Europie
jest znane. — Owo zgola, po burzy nastąpiła pogoda...
i doznawałem od tej chwili, od mojej gospodyni pary-
żanki wiele grzeczności — jednakże, nie prosiła pro-
stego kapitana do stołu, tylko kazała mi nosić obiad

do mojej kwatery. Ten ton górny, był dla mnie wygodą, bo się niepotrzebowaliśmy wzajemnie żenować, ale jednego dnia, znowu mnie to nabawiło kłopotu: kiedy moi porucznicy przyszedłszy do mnie w odwiedzin, a zastawszy u mnie *desser-wety* — jakich dawno niewidzieli, i słoiki z konfiturami; wszystko, jak szarańcza tatarska znieśli do szczętu Musiałem znowu wymawiać moich podkomendnych, tem: że oni nie nie mogąc dostać w Ustaritz, korzystali zbyt obcesowo z gościnności pani senatorowej... ale i to było mile przyjęte, co dzień byłem w wyższych łaskach, aż zaproszony do spaceru wodnego na rzece Nive do Bajonny, towarzyszyłem pani hrabinie Garatowej. — Tymczasem nadjechał z Paryża, czyli z Chantilly pocztą kapitan Szeptycki, objął dowództwo oddziału i kwaterę w zamku gdzie nie było ani właściciela ani kuchni. Za kapitanem Szeptyckim przybyły pocztą furgony z pikami i rymarzami. Lance te były więcej kozackie niż ułańskie, to jest za długie, źle okute; z drzewa miękkiego, czerwono malowane, bez chorągiewek. Proporzec ułański różni się od piki kozackiej w ten, że ta ostatnia, jest dowolnie długą, i częstokroć Kozak, oburącz nią niedołącznie kieruje, zaś proporzec ułański, powinien być tyle tylko długi, żeby mógł być zwrócony w prawo w tył bez potrącenia grotem o ziemię. Rymarze musieli się natychmiast zająć opatrzeniem strzemiion tulejkami na tylce lanc, a siodła trokami do przypasowania karabinków, po lewej stronie jeźdźca; ponieważ prawe ramię i cały bok prawy zajmowała kopia czyli lanca. Nie bardzo nam było na rękę ta broń nowa, bo oba szeregi zostały równo opatrzone lancami, nie porzucając karabinków, zachowując prócz tego, po parze pistoletów, a ma się rozumieć i pałasze: nie dawno byliśmy pobili Ułanów przeciwnych, nie mając lanc, tylko pałasze, ale przypomnienia Ussarzów starodawnych i Kopijników Sobieskiego, zapaliły naszą młodzież do broni

którą zwaliśmy im narodową, i jakoś to poszło, żeśmy ją sobie należycie przyswoili.

Zaraz po rozebraniu tych lanc, ruszyliśmy do Hiszpanii, zdaje się nawet że nasz oddział dla tego się zatrzymał pod Bordeaux i pod Bajonną, iż Cesarz chciał żebyśmy do Hiszpanii weszli z proporcami, co też nastąpiło bośmy się i o chorągiewki dwóch barw, czerwonej z białą wkrótce postarali.

Weszliśmy zatem do Hiszpanii, mniej więcej z początkiem r. 1810, staliśmy znowu niejaki czas w Salvatierra w górzystem położeniu na drodze z Vittoryi do Pampeluny, zawsze pod komendą szefa szwadronu Mameluków pułkownika Kirmann. Kapitan Szeptycki, który był dostąpił tego stopnia i dowództwa kompanii 5ej po Stanisławie Gorajskim pod Wiedniem, oznajmił mi że ja istotnie byłem przedstawiony Cesarzowi na kapitana, ale że to przedstawienie wiele nominacyj obejmujące, jeszcze podpisane nie zostało. — Konsystencya nasza w Salvatierra, przedłużyła się, bo istotnie w górach Pirenejskich trudno było o téj porze roku jakie ruchy przedsiębrać. Śniegi zalegały całą przestrzeń naokoło, konie musiały być szeroko rozkwaterowane, bo nie było innych stajen tylko szczupłe po domach pojedynczych, które chociaż po większej części piętrowe i z ciosowego kamienia, nie dostarczały jednak wygody w zimie ani dla koni ani dla ludzi — były to albowiem budynki okazalsze nad zwykłe wiejskie, opatrzone herbami nad wchodowemi drzwiami, ale bez okien, okiennicami tylko zaopatrzone, a jeżeli gdzie niegdzie były okna, to w nich zamiast szkła, szyby z papieru oliwą napuszczanego. Urządzenie takie może być bardzo stósowne w czasie lata, ale w zimie okiennice zawiane śniegiem, bez kominów, tem mniej pieców. dostarczają bardzo niepołącznych kwater; do tego jednak dodać wypada, że w krajach tamtejszych na cały dom, bywa tylko jedno

ognisko, to jest obszerna kuchnia na poziemiu, nad którą wisi kocioł na ciepłą wodę na łańcuchu, ognisko to otoczone jest z trzech stron ławkami, na których cała rodzina z gośćmi przesiaduje naokoło ognia czyli kuchni, przed którą się jakie takie pieczyste na mechanicznem przyrządzeniu różna obraca. Ognisko domowe jest patryarchalnym środkiem zebrania rodziny, nieróżniąc się od prostoty wieśniaków, pomimo herbu i tytułu *hidalgo* (ślachcic), który w północnej Hiszpanii w prowincjach: Asturya, Alava, Guipuscoa, Biskaja, jest niemal powszechny; w czasach albowiem kiedy Maurowie zawojowali większą część Hiszpanii, nie mogli się nigdy dostać w te północne strony, dla tego te prowincye mają swoje właściwe przywileje, i mnóstwo dawnego rycerstwa uślachconego jak u nas w Polsce, tak że niemal nad każdym domem jest herb wyrity.

W Salvatierra staliśmy ciągle pod bezpośredniem dowództwem pułkownika Kirmann, i z tego miejsca mniej więcej z nim jak i bez niego, odbywaliśmy różne wyprawy na poskromienie snujących się coraz więcej po kraju *guerillasów*, których my nazwaliśmy Brygantami. Nim się rozstanę na długo z szefem Kirmannem i z jego Mamelukami, nie mogę pominąć anegdoty którą miałem w jednej expedycyi odbytej pod tym komendantem Alzacczykiem z jego podwładnymi z Oryentu. Przenocowawszy w jakiejś wsi hiszpańskiej wspólnie, gdy zbieraliśmy się do wymarszu, nadbiegło kilku Hiszpanów zdesperowanych do siedzącego już na koniu szefa Kirmanna, żaląc się z płaczem, że zostali od Polaków zrabowani; oficerowie Mameluków, Abdala i Soliman, podburzali swego dowódcę przeciwko szwoleżerom polskim; ten kazał mnie przywołać i pokazując mi skarżących Hiszpanów, rzekł do mnie: „*zest les bulinais foyez pien!*“ — ja na to zapytuję się Hiszpanów: po czem poznają że to Polacy ich zrabowali?... „bo ciągle na-

woływali się: Polaco! Polaco!“ — a jakże byli ubrani? odrzekłem ja — „*tenian calzones muy largos encarnados*“ — mieli szarawary bardzo szerokie czerwone — tu sam Kirmann nie mógł się wstrzymać od śmiechu, i obracając się do swoich Solimana i Abdali, rzekł do nich po swojemu: „*zest les Mamelik foyez pien!*“ a czytelnicy którym tę przygodę z Hiszpanii przekazuję, poznają, że i Turcy i Egipcyanie umieją dyplomatyizować przeciwko Polakom, kiedy im samolubny interes tak każe.

Z początkiem wiosny, to jest kiedy śniegi ustępując uwalniały komunikacye w Pirenejach, oddzieliliśmy się od strzelców konnych i od bezpośredniego dowództwa szefa Mameluków Kirmanna; cały nasz oddział dotąd jak wyżej powiedziałem, nie więcej jak 150 koni wynoszący, udał się pod komendą kapitana Wincentego Szeptyckiego do wsi Grannon (Granion) na drodze z Vittoryi do S. Domingo de la Calzada, tam czekaliśmy na przybycie pułkownika Delaitre, ćwicząc się przez ten czas w manewrach i mustrze z proporcami.

Nie mogę wyraźnie oznaczyć w jakiej liczbie i pod którymi datami oddziały naszego pułku z Francyi przybywały. Kolega Mikułowski podaje mi, że on dopiero z Saint-Quentin wyprawiony był przez marszałka Bessières do Paryża i do Chantilly z rozkazem wyprawienia nowego oddziału naszego do Hiszpanii; ale że Cesarz dopiero 27go kwietnia 1810 udał się z Cesarzową Maryą Ludwiką do Saint-Quentin, a kolega Mikułowski podaje że udał się do Hiszpanii pod komendą kapitana Jerzmanowskiego, i zastał już w Hiszpanii pułkownika Delaitra, więc z tego wszystkiego wynika że pułkownik Delaitre z oddziałem nowym zaraz z wiosny przybył do Hiszpanii, jakoż z tego czasu pamiętam kilka wypraw do których należałem: do Logroño, do S. Domingo de la Calzada, a najdalszą do Calahorra sławnego niegdyś

Calagurris przez zaciętą Rzymianom obronę. W tem więc z dawna patryotycznem mieście zdarzyła mi się scena pocieszna; byłem proszony na tertulią, tak Hiszpanie nazywają wieczorną zabawę, gdzie się rozrywają, rozmową, grą w karty (naypes), muzyką, częstują czekuladą (chocolate), wodą con azucar rosado, to jest z lekkim biszkoktem z cukru, olejkiem różanym zaprawnym itp. Były damy, kawalerów mało, grano na gitarach i śpiewano; koledzy moi i ja, byliśmy z naprzykrzeniem proszeni, żeby śpiewać; wymawialiśmy się że nie śpiewamy, tem mniej gramy na gitarze; gdy to nic nie pomagało, więc ja powiedziałem: „że chyba zaśpiewam co po hiszpańsku“ — ach! jak to dobrze! — całe zgromadzenie nadstawia ucha, a ja zaczynam:

„Puesque sois Españoles valientes — es preciso lo days
a intender

Al infame Opressor del Europa — que sus leyes os quizô
imponer —

A las armas corred patriotas — a lidiar, morir o vencer—
Querra siempre al infame tirano — Odio eterno al impio
Frances.“

Te słowa znaczą po polsku:

Kiedy Hiszpanie jesteście waleczni — trzeba żebyście to
dali poznać

Niegodziwemu ciemńeycy Europy — co swe prawa nam
chciał narzucić —

Do broni spieszcie patryoci — walczyć, umierać lub
zwyciężyć —

Wojna zawsze niegodziwemu tyranowi! nienawiść wie-
czna bezbożnemu Francuzowi! —

Można sobie wystawić, jaki popłoch wszczął się
w zgromadzeniu... niechcieli mi dać dokończyć zwro-

tki... „Ach zkądże to pan takie okropności powzię-
leś?“ i t. p. Ja na to: — Widzicie panie, nie trzeba nas
nieumiejących śpiewać na śpiewanie narażać... zresztą,
co do treści tego śpiewu, i wielu marszów waszych,
jakże chcecie żeby nam były obce, kiedy po tylu dzien-
nikach hiszpańskich je rorzucone czytamy, równie jak
i odezwę do naszego pułku: „Polacy! porzućcie barwy
„wasze, karmazyn i białe, honoru i bez plamy. Wy co
„sami wolności pozbawieni, nachodzicie obcy kraj, ka-
„tolicki jak wasz, żeby go w niewolę pogrążyć“....
„niechże Panie będą spokojne, jest cokolwiek prawdy
„w tej odezwie narodu hiszpańskiego do nas Polaków,
„my nie jesteśmy Francuzi, możecie panie i przy nas
„śpiewać wasze patryotyczne pieśni.“ My zaś ten epi-
zod tu przytaczamy, dla dania poznać czytelnikom na-
szym choć jedną piosnkę patryotyczną, jakiemi się wy-
głaszał duch Hiszpanów przeciwko mocarzowi który się
względem Hiszpanii tak niepojętym sposobem zapo-
mniał.

Calahorra która leży nad Ebrem, jest miejscem naj-
dalszem na południowy wschód Hiszpanii do którego
podjazdy naszego pułku dosięgały; czynności nasze, by-
ły zawsze więcęj ku północno zachodnięj stronie i ku
Portugalii skierowane. Od Calahorry aż w okolice Leo-
nu przechodziliśmy w różnych expedycjach, większych
i mniejszych wiele miejsc których pamięcią objąć nie
mogę, wszędzie wywiadując się o gierylasów i podja-
zdami takowych spędzając, albowiem ta wojna drobna
ze strony Hiszpanów raz wraz się wzmagała i wszelkie
ruchy większe wojsk francuzkich tamowała, najdalszym
w tym samym co Calahorra kierunku był dla nas po-
sterunek Riva-bellose, miejsce pięknie położone nad
Ebrem godne swego nazwiska, w któremieśmy kilka dni
stali, mianowicie z kapitanem Jerzmanowskim, ale któ-
rego na mapie znaleźć nie mogę. — To tylko pamiętam

żeśmy złączeni pod dowództwem pułkownika Delaitre stanęli wkrótce na niejaki czas w miasteczku Bello-rado, które pomimo swego nazwiska położone było nad rzeczką wcale małą.

Tuśmy się połączyli z oddziałami z Francyi przybyłemi kapitana Jerzmanowskiego i szefa szwadronu Stokoskiego, z strzelcami konnymi gwardyi, którymi dowodził najstarszy szef szwadronu Martin i z Mamelukami jak już wiadomo, pod szefem Kirmannem. — Oddział naszego pułku tym sposobem wynosił do 400 koni a cały regiment pochodowy pułkownika Delaitre więcej jak koni 800.

Wypocząwszy i zebrawszy się w Bello rado, gdy już jenerał Dorsenne był objął komendę całego korpusu gwardyi i północnej Hiszpanii w głównej swojej kwaterze w Burgos, cała lekka kawalerya gwardyi pociągnęła do miasteczka Castroxeriz (Kastrocheryz) blisko rzeki Pissnergi, i w tem mieście oraz w okolicy się rozłożyła.

Ten ruch odbywał się w końcu maja lub początkach czerwca 1810 r.

Podtenczas znaczny oddział naszego pułku towarzyszył Napoleonowi i jego nowej małżonce od Paryża przez St. Quentin, Cambrai, Bruxellę, Antwerpię i inne miasta i porty północne; podobne wycieczki dworu powtarzały się przez cały rok 1810

Nim jenerał Dorsenne zajął swoją główną kwaterę miasto Burgos; był w niem i okolicznej prowincyi gubernatorem, jenerał dywizyi Solignac. Nad brzegiem rzeki Arlanzon, w tych samych miejscach gdzie się biliśmy 10go listopada 1808, zastaliśmy nowy spacer, założony przez może zbyt żarliwego czasowego władzę dawniej stolicy Kastylii, który zapominając o nie trwałości rzeczy i spraw ludzkich, wpadł na myśl przeniesienia nad rwisty brzeg rzeki Arlanzon, na upiększenie francuzkiej promenady, zwłok bohaterskich Cyda

i Ximeny (Chimeny), do umyślnie dość gustownie ale tak niestósownie, wymurowanego nagrobku, a to wszystko — jak się zdaje — jedynie dla tego, żeby w trzech językach podać potomności: że generał dywizyi Solignac, kości tak drogie pamięci Hiszpanów, z miejsca gdzie nie dość ozdobnie przechowane były sprowadził etc. etc.

O tę uczynność patryoci hiszpańscy, nietylko pana generała francuzkiego nie prosili, ale boleśnie byli dotknięci tem świętokradztwem którego się dopuścił, na tak drogiej pamiątce bohatera Don Ruiz Dias de Vivar, przezwanego od Maurów: el Cid, a od Hiszpanów: Campeador, co jedno i drugie znaczy zwycięzcę. Mnie samego choć nie jestem Hiszpanem, mocno obeszło to zrozumienie cudzoziemca, który poważne zwłoki dwóch osób narodowi tak drogich jak Cyd i Ximena, od r. 1099 spoczywające razem w świątobliwym miejscu w mieście S. Pedro de Cardena, przeniósł nad brzeg rwiącego potoku i zuchwale naraził może na zniszczenie! Sądzę że Hiszpanie jak tylko się oswobodzili od jarzma francuskiego, z pobożną procesyą znowu zwłoki Cyda i Chimeny, na miejsce dawnego spoczynku odprowadzili.

Korpus gwardyi pod dowództwem generała dywizyi Dorsenne pułkownika grenadyerów pieszych gwardyi wynosił według dzieła p. Thiersa od 15 do 18tu tysięcy, główną jego kwaterą było jak powiedzieliśmy miasto Burgos, ale Napoleon chciał żeby ten korpus gwardyi stał w rezerwie na przypadek jego przybycia a tym czasem żeby utrzymywał spokojność na trasie madryckim, od granic Francyi aż do Valladolid, gdzie była główna kwatera generała dywizyi Kellermanna, syna marszałka sławnego niegdy natarciem jazdy pod Marengo, które się dzielnie do tamecznego zwycięstwa przyczyniło. Oba ci generałowie zajęci byli ciągle poskromieniem, bo więcej powiedzieć nie można. Gierylasów, którycheśmy na próżno przezywali tylko brygantami. Od Bajony do Ma-

drytu, nietylko żaden pojedynczy żołnierz ale żaden mały oddział, nie mógł się przemknąć bez napaści, wystawić sobie można, jak trudną i kosztowną była komunikacya kuryerów, według wyrazów jenerała Kellermanna do jenerała Berthier księcia de Neufchatel majora jenerałego, trzebaby „głowy i ręki Herkulesa“ żeby téj wojnie hiszpańskiej dać radę! To mi przypomina konwersacyą jednego ministra hiszpańskiego z Napoleonem przed r. 1808, gdy mu Napoleon w złym humorze oświadczył: „że w razie doznanych trudności od rządu hiszpańskiego, gotów jest wyprawić do Hiszpanii korpus 30 tysięcy wojska“ — tenże Hiszpan mu odrzekł: „WCM. tak „jesteś poważany przez naród mój, że i jednego żołnierza niepotrzebujesz użyć, dość jest pisma, tłumacza „woli jego, ale przestrzegam W. C. M. że gdybyś chciał „wbrew woli i praw narodu narzucić mu jakie jarzmo, „i 300,000 wojsk jego na to nie wystarczy.“ Były to słowa wieszczce, które Napoleon lekceważył, bo nieznał narodu hiszpańskiego, jakoż prawdę mówiąc, żadnego narodu nieznał, prócz może Francuzów i Włochów. — Owo zgoła, wracając się do stanu Hiszpanii w r. 1810. kraj ten, a mianowicie te okolice w których nasze oddziały konsystowały i były czynne, był bezustannie przebiegany przez dowódców partyzanckich hiszpańskich, jako to: El Pastor, Portier czyli Marquesito, Longa, Marino, Elcura, Amor, Empecinado, Mina, Don Julian i wielu innych. — Raz wraz z naszej strony chodziły oddziały przeciwko tym tak zwanym brygantom, którzy przynajmniej z kawaleryi nie bali się tylko Polaków; tak dalece że ich wcale nie, albo rzadko zaczepiali; dla tego też nie było marszałka lub jenerała starszego, któryby nie chciał mieć przy sobie większego lub mniejszego oddziału ułanów nadwiślańskich, a ci z jenerałów którzy przejeżdżali z Francyi na Valladolid, albo na Valladolid do Francyi wracali, starali się o eskortę

naszego pułku. Jenerał Dorsenne lokując regiment marszowy pułkownika naszego Delaitre w Castroxeriz, miał zamiar zasłonić swoją główną kwaterę Burgos, od strony zachodnio-północnej, od źródeł rzeki Pisnergi, która płynie od Asturyi do Valladolid, jakoż w te strony północne odbywaliśmy najwięcej podjazdów. Ponieważ cały marszowy regiment lekkiej jazdy gwardyi niemógł się zrazu pomieścić w Castroxeriz, więc znaczna część oddziałów z każdej broni, zajęły czasowo wieś Sasamon dość znaczną, ale której nie znajduję na mapie Hiszpanii. — Pułkownik Delaitre założywszy główną kwaterę swoją w Castroxeriz, gdzie także powołaniem jego było zciągać z okolic w jak najobszerniejszym ile możności obszarze podatki i liwerunki, umyślił postanowić komendanta placu, któryby mu w tem zatrudnieniu pomagał; a jako daleko lepszy Francuz, niż gros-major pułku polskiego, powołał na ten niby urząd rodaka swego kapitana od szaserów gwardyi, Caire, wojskowego i oficera, nierównie starszego od nas wszystkich Polaków, ale który zwyczajem Francuzów, nie umiał ani słowa po hiszpańsku. Nie szło to jakoś, i pułkownik Delaitre zamiast oczekiwanej pomocy, miał tylko kłopot i niecierpliwił się. Skończyło się na tem, że mnie zaszczycił swoim zaufaniem tytułem: komendanta placu de Castroxeriz y de Sus Alrededores, to jest miasteczka i jego okolic

Ale ponieważ gierylasy i znaczniejsze nawet siły zbrojne Hiszpanów, to zbliżały się, to zagrażały; więc odebraliśmy rozkaz przemienienia klasztoru, leżącego u stóp pagórka na którym stoi w długiej linii miasto, w koszarzy ufortyfikowane, ile możności; klasztor ten był przez zakonników opuszczony, ale kościół choć podrujnowany, istniał, przedsięwzięto więc z wszelką możliwą przyzwrotnością oswobodzić kościół z ruchomości świątobliwych, jako to: ołtarzów, konfesyonałów, organów i t. p. co lubo nieodbyło się bez trudności i kłopotliwych za-

biegów, to jednak w krótkim ile możności czasie, kościoł i dolne kurytarze klasztoru po większej części po mieścili konie, a cele i kurytarze piątrowe, zamienione zostały w koszary dla ludzi.

Ponieważ w mieście Castroxeriz znajduje się dawny starożytny zamek hrabiów de Castro i wspaniała kolegiata opatrzona kilku kanonikami, więc ta zamiana przybytku poświęconego służbie Bożej, na użytek wojenny, działa się tu z ciągłym udziałem duchowieństwa.

Cały obszar zabudowania klasztornego z kościołem, okolony został częstokołem czyli palisadą, tak, że między kołami były luki czyli naturalne strzelnice, któremi jazda nasza zbrojna w karabinki, mogłaby się w razie napadu bronić, choć do czasu ogniem strzelby. W obrębie tym był dzień i noc oddział konny gotowy do wycieczki. Służbowy kapitan i oficerowie mieli kwatery w celach. Refektarz był zamieniony w izbę dla chorych, a niektóre kurytarze i obszerniejsze stancje, urządzone zostały jako koszary, z naśladowaniem możliwem *ecole militaire* w Paryżu i Chantilly, dla szaserów i naszych, z tą różnicą, że zamiast materaców były sienniki, zamiast dostatku stolicy i Francyi, chędogie ubóstwo wojskowe; kurytarze i izby nosiły według broni napisy imion poległych współtowarzyszów których pamięć była drogą.

Gdy te koszary zostały ukończone, sprowadził pułkownik Delaitre cały pułk swego dowództwa do siebie, i ulokował stósownie, to jest: wszystkie konie ile możności w rzeczonych koszarach, a kwatery oficerów skoncentrowane, ponieważ zaś miasteczko składało się, jakśmy już powiedzieli z jednej długiej ulicy, więc u dwóch końców tejże stały mocne pikiety konne, strzegące we dnie i w nocy od niespodziewanego napadu.

Taki jest obraz naszego kilkomiesięcznego pobytu w Castroxeriz: wyprawy większe z rozporządzenia jenerała Dorsenne, mniejsze z polecenia pułkownika Delaitre,

w miarę dochodzących go wieści o partyzantach hiszpańskich, a w miejscu bezustanne czuwanie, jak to Francuzi mówią: *sur le qui vive*.

Oto jest obrazek tego naszego położenia: blisko płynęła rzeka Pisnerga, sławiona w poezjach hiszpańskich z swego wdzięcznego koryta; gorąca letnie zachęcały do użycia kąpeli, za daleko jednak płynął ten strumień żeby żołnierze szeregowi mogli z niego korzystać, prócz podbradzania koni z należytą eskortą; my zaś oficerowie za opowiedzeniem się starszym, na przemian używaliśmy kąpeli konno, to jest że nasi służący trzymali nam konie u brzegu, żeby w razie napadu choć bez munduru, w stanie Hypocentaurów mogliśmy uchodzić do miasta.

Castroixeriz jest dawną bardzo, w mgłę czasów ginącą pamiątką starożytności; na górze pod którą w wieńiec rozłożone jest miasto, znajduje się płaszczyzna dość obszerna, starymi wałami jeszcze widnymi okopana; twierdzą że tu Juliusz Cezar obozował, że ztąd pochodzi miano: Castroixeriz, jakoby w zepsuciu: *Castrum Caesaris*. W każdym razie jest tu poniżej góry Cezara, ale w miejscu dość podwyższonem, zamek czyli pałac z czasów bliższych, ale w stanie spustoszenia, znacznego rozmiaru i z obszernym dziedzińcem, w obrębie którego odbywały się nasze zaciąganie warty, parady i inne wojskowe zgromadzenia; zamek zaś zamieniliśmy po części w areszt; ponieważ jednym z zatrudnień naszej komendy było ezekwować podatki i liwerunki, przeto można się domyśleć ile ta operacya była trudną, pracowitą dla naszych żołnierzy i koni, a połączoną z wielkim i niepotrzebnym rygorem.

Gdy więc okazało się, że wysyłane na exekucye oddziały, wracały z drobnym pieniężnym okupem, ale bez istotnego uiszczenia podatków i bez liwerunków; więc jedną i drugą salę zamkową urządzono na areszt dla

Hiszpanów znaczniejszych jak się to mówi: honorarios. Gdy zatem z wiosek okolicznych nie wpływały podatki i kontrybucye zboża i furazów, posprowadzaliśmy z każdej wsi: plebana, ślacheica, jeżeli jaki był, alkałdego czyli wójta, corregidora czyli podwójciego, słowem osoby znaczniejsze jakich można było w której wsi dostać, tych osadzano w tych aresztowych celach, gdzie starano się z miasta dostarczać im wygod i wiktuałów, póki ich współsąsiedzi i przyjaciele niezaopatrzyli, a czego im nasze warty nie broniły. Ci tak aresztowani zakładnicy, póty zostawali w tych salach zamku hrabiów de Castro, póki ich wsie nie wykupiły, dostarczeniem należności rozpisanych, z pomnożeniem exekutnego dla oddziałów żołnierzy, tą przykrą dla nas służbą trudniących się.

Z początku poczytywali sobie Hiszpanie, zwłaszcza księża, te militarne aresztowania, za wielki wstyd i nie-szczęście; ale jak się przekonali, że to dopełniano, — prawda z nieprzełomnym rygorem — ale zresztą z obejściem się ludzkim, nawet z pewną grzecznością; gdy pojęli perswazyę: że to się dzieje z konieczności, i że lepiej było ich na krótki czas aresztować, niżeli wsie i dobytki ich na rabunek wojskowych narażać; tak się ci zakładnicy i wsie okoliczne przyzwyczaiły do tego systemu surowej bezstronności... że wszelkie zaległości i bieżące należytości, nietylko zostały pouiszczane, ale za wypuszczeniem zakładników z lekkiego aresztu, oddat regularnie wpływały, tak dalece, że sale z aresztantów wypróżnione, za staraniem znakomitego naszego kolegi porucznika Józefa Hofmana, lwowianina niepospolitej nauki, pełniącego przy pułkowniku Delaitre urząd oficera płatnika i jakoby szefa sztabu; te sale, miejsce aresztów, zamienione zostały... w sale balowe! Nie było tam sprzętów, elegancyi i wygody, ale ławki naokoło murów oczyszczonych, posadzki ceglane wy

gładzone, oświetlenie w zawieszonych improwizowanych pająkach, strojnych w wieńce i kwiaty równie jak i ściany; kapela z trębaczów szaserskich i naszych, między którymi byli i wirtuozy na różnych instrumentach. Otwarcie tych sal balowych, które nie podobnego od wieków niepamiętały był obchód imienin Karola Delaitre pułkownika, transparentem przez czeigodnego Hofinana ozdobiony. Tego dnia był nacisk wielki nie tylko matron i dziewię hiszpańskich ale i obywateli z miasta i okolic, na uczczenie pułkownika komendanta przybyłych, którego rządy polskie, acz surowe, nadto korzystnie odbijały od rządów gdzie indziej przez Hiszpanów doznawanych.

Odtąd kiedy sale były już wolne od aresztantów, a wyczyszczone i odświeżone, bywały częste zabawy tańcowe, niedzielne i świąteczne, na które Hiszpanki zwłaszcza młode, chętnie przybywały, przekładając nad Francuzów Polaków, którzy lepiej pojmowali język hiszpański, i młodszy byli od weteranów gwardyi Napoleona. Pomiędzy gośćmi bywali i księża, jednego muszę tu dla osobliwości wymienić: był to ksiądz ze wsi Sasamon, którego rzemiosłem zdawało się być tanemistrzostwo. Różnił się od współksięży strojem zupełnie świeckim, nosząc frak barwy tabaczkowej; do obu łydek przyczepiał dwa naprzeciw sobie sterczące noże (*cuchillos*) porozkładał jaja w pewnych od siebie rozmiarach, jakby w szachownicę, zawiązał sobie oczy, i tańczył po hiszpańsku z kastanietami (*castanuelas*) dając skoki gwałtowne tak zwane *entrechats*, żadnego jaja nie zgniótł i nieokaleczył się. Był to taniec sztuczny ale bez żadnego wdzięku; tu się przytacza ten szczegół, jako odznaczający duchowieństwo krajów południowych. Tam gdzie jest księży bez liku, muszą być i nadużycia, w naszej Polsce nieważylby się duchowny popisywać takim kuglarstwem skoczka.

Co do tańców hiszpańskich, te lubo mają wiele wdzięku, przypisać to wszakże należy kobietom, b tancerze mężczyźni, zwłaszcza na teatrze, więcej ubiegają się za sztuczością jak za wdziękiem.

Jenerałowie Dorsenne w Burgos, Kellermann w Valladolid, dawali częste bale, zwłaszcza obchodząc różne uroczystości dworskie i polityczne, na które oficerowie nasi według wyboru pułkownika Delaitre jeździli. Nie pamiętam która z dam pełniła obowiązek gospodyni bałów jenerała Kellermann w Valladolid, ale mi się zdaje że hiszpanka margrabina San Felices; zaś w Burgos przyjmowała pani jenerałowa Dorsenne, paryżanka, z dworu cesarskiego, wspaniała i pełna wdzięku osoba, zachęcała ona towarzystwo do wesołości i zabawy, lecz mężczyźni hiszpańscy unikali ile możności od tych bałów, składających się wprawdzie z licznego towarzystwa pań hiszpańskich z córkami, ale tancerze byli prawie wyłącznie wojskowi.

Ponieważ jenerał Dorsenne, o ile pamiętam prócz nas nie miał innéj kawalerji, zatem często, żeby nie powiedzieć bezprzestannie, nakazywał większe i mniejsze wyprawy w różne strony, czasem z piechotą pod dowództwem jakiego jenerała lub wyższego oficera od piechoty, czasem tylko z saméj jazdy. --- Nieraz oddalał się z Castroxeriz na podobne wyprawy sam pułkownik Delaitre, ja nie pamiętam żebym z Castroxeriz był brał udział w takiej wyprawie, jak raz ze szefem szwadronu Stokowskim aż do miasta Palencia, gdzie wszelako żadnego oddziału hiszpańskiego nienatrafiliśmy, bo od naszych proporców z daleka widocznych, Hiszpanie radzi się usuwali. Kiedy pułkownik Delaitre opuszczał Castroxeriz, to ja musiałem zostawać na jego miejscu, bo na mnie polegał zarząd administracyjny tego miasta i jego okręgu.

Miedzy wyprawami które zapamiętam, zaszła bitwa pod tem samem Bello-rado w któremesmy, jak się wy-

żej mówiło, dość znaczny odbyli spoczynek; odznaczył s.ę tam kapitan Szeptycki pod komendą generała piechoty Roguet, i był o tój potyczce artykuł w ówczesnym Monitorze.

W czasie tym różne przychodziły urządzenia króla Józefa, za wcześnie, obrażające zwyczaje narodu; między innemi zakaz chowania zmarłych, w kościelnych grobach i polecenie zakładania cmentarzów w polu. Zdarzyło się, że jakiś obywatel poważniejszy umarł, przyszła deputacya do mnie z prośbą, żeby tę szanowną osobę pozwolono było pochować w kościele, ofiarując za to zapłatę jakiegoby żądano. Ja który nie pojmowałem użyteczności takich reform, niepokojących lud hiszpański, pozwoliłem bez trudności i bez opłaty.... odeszła deputacya uradowana, a gdy się potem ukazał pułkownik Delaitre, idący w niedzielę do kościoła, otoczony swym sztabem, towarzyszyły mu orszaki muzykantów i tańczących z bukietami i kastanietami.

Jednakże nabożeństwa nasze niepodobaly się Hiszpanom starszym, a zwłaszcza kanońnikom, bo do mszy asystował oddział wojska z bronią, i lubo podczas podniesienia prezentowano broń, wszelako żołnierze zachowywali czapki na głowie, a oficer komenderujący paradą kościelną odzywał się głośno po kościele, co było według zwyczajów wojska francuzkiego: prócz tego w korpusie oficerów towarzyszącym pułkownikowi, zasiadającemu w krześle przed wielkim ołtarzem, znajdowali się i Mamelucy; z tych powodów Hiszpanie zwali ten obrząd: *misa politica*.

Miałem więc takie zdarzenie i to z księdzem u którego sam stałem kwaterą, przyszliśmy do kościoła o godzinie naznaczonej, z paradą kościelną i pułkownikiem na czele; nie zastaliśmy księdza. Na zapytanie na kogo kolej mieć mszę? odpowiadają: że kanonik u którego ja stoję -- posyłam do niego, kazał odpowiedzieć: że

chory i leży“. Delaitre się rozgniewał, wyszedł z kościoła z całą paradą kościelną, i polecił mi ten wypadek sprawdzić, a w razie zmyślonej choroby ukarać. — Ja wiedząc i widząc, że ksiądz acz stary jest zdrow, ale nie chce odprawiać nabożeństwa, które uważał tylko za polityczne; kazałem mu w łóżku leżeć 24 godzin, przynajmniej żeby sił nabrał, a dostawiłem mu dwóch żołnierzy coby siedzieli przy nim i pilnowali żeby łóżka nieopuszczał; ci zaś zmieniali się co godzinę, a JMé ksiądz płacił każdemu po pesecie (peceta wartość i pierwszy typ cwancygiera). Po téj kuracyi ksiądz kanonik już nie chorował i mszę ś. odprawiał gdy kolej na niego przychodziła.

Jakkolwiek powszechność hiszpańska była przeciwko Napoleonowi, a w skutku i przeciwko Francuzom uniesiona, miał w tem winę sam mocarz, który jak się tyle razy mówiło, niepotrzebnie i niegodziwie podszedł naród i rząd sąsiedni, nie tylko przyjazny ale podziwiający go... Zdarzali się więc nawet i księża światli, ubolewający bezstronnie nad tem nieszczęściem... a byli i tacy co sprzyjali reformie a tych nazywano Afrancezados. Takim był w Castroxeriz alcałda (wódz czyli burmistrz) nazwiskiem D. Manuel Cobo u którego miał kwaterę pułkownik Delaitre. Ten Cobo rozżalony był na Hiszpanów, że ojca żony jego jak twierdził niewinnie rozstrzelali; do tego zapaleńca, jeszcze raz wrócimy, ale teraz jest na czasie wspomnieć o innym wypadku i onego następnościach.

Jakśmy to już tyle razy powtórzyli, ani obecność króla, ani wielokrotne zwycięstwa niepomagały, gierylasy czyli powstania, we wszystkich okolicach wzmagały się, komunikacye nasze coraz stawały się trudniejszemi. Zrazu posyłaliśmy z Castroxeriz raporta nasze do generała Dorsenne do Burgos, i korespondencye na pocztę przez dwóch konnych żołnierzy. Gdy ci częstokroć dojechać nie mogli, posyłaliśmy brygadiera z 4ma ludźmi;

a gdy i takie małe oddziały nie były dostateczne, musieliśmy dla pojedynczego listu wyprawiać oficera z 25 końmi, co u nas stanowiło pluton, czyli czwartą część szwadronu; była to korespondencya zbyt kosztowna, następujący wypadek spowodował jęj zmianę.

Razu jednego porucznik Maciej Mierzejewski był komenderowany na taką korespondencyą do Burgos, a doktor pułkowy Deplace znękaný słabością i tęsknotą za krajem, otrzymawszy pozwolenie wracać miał do Francyi i w towarzystwie swego służącego miał rozpocząć swoją podróż pod zasłoną plutonu Mierzejewskiego. Ale gdy literat, filozof, dosiadł raz konia, niecierpliwy nie chcąc czekać na zebranie się plutonu, zawoławszy swego służącego także konnego, puścił się w drogę ku Burgos, a oddaliwszy się tak że go eskorta widzieć nie mogła zostali oba zamordowani, a konie ich i wszelkie rzeczy zabrane, ciała zaś obnażone, porzucone. Mierzejewski nadciągnawszy, przysłał zaraz parę ludzi z raportem o tem zdarzeniu, a sam podążył do Burgos upatrując nie przyjaciela po drodze.

Nim do dalszego dochodzenia tego zabójstwa przystąpimy, mamy sobie za obowiązek podać pamięci czytających osobistość Dra medycyny Deplace: był to mąż wysokiej nauki i jako taki, miał udział w wyprawie egipskiej, w której się zaznajomił z pułkownikiem Delaitre, wówczas adjutantem generała Klebera. Deplace był charakteru najślachetniejszego i najslodsze go, od wszystkich powszechnie szacowany i kochany. Wielki przyjaciel narodu naszego a zwłaszcza zdrowej krwi i urodziwości ludu polskiego; twierdził i opisał medycznie: że nigdzie podobnej urody, a mianowicie tak pięknych i zdrowych piersi nie widział jak w Polsce. Dzieło jego w tym przedmiocie wydane drukiem pod tytułem: *Sur l'alaitement maternel* — o karmieniu macierzyńskim —

nosi godło oddające zwięzłe usposobienie autora: „*In-
cipe parve puer, risu cognoscere matrem!*“

Miałbym się za szczęśliwego, gdyby ta krótka wzmianka o doktorze Deplace, i jednym z jego dzieł posłużyła komu z rodaków do pocieszenia rodziny Deplace o którą z żalem naszym, nie mieliśmy nigdy bliższej wiadomości.

Po takim wypadku, gdy nas doszła wieść, że ten mord był popełniony przez bandę 13tu do 14tu ludzi, na koniach czy mułach, która się zjawiała na drodze naszej do Burgos; wyruszyliśmy przededniem we dwa szwadrony polskie; ja prowadziłem jeden szwadron z lewej strony, kapitan Jordan Hermolaus drugi szwadron, z prawej strony, i mieliśmy się w wyznaczonym punkcie zejść. Przetrzęsawszy całą okolicę, ... coś się stało? ... nie nadybaliśmy nic... a gdy oba szwadrony razem wróciły, znużone ogromnym upałem, na który nam zachorował w marszu porucznik Wincenty Mikułowski; upewniali nas niektórzy Hiszpanie, że ta banda ścigana widziała nas przechodzących w odwrocie, ukryta w parowie. ... taka to była wojna hiszpańska: wiele trudu, wiele straty pojedynczej, a skutku mało lub nie. — Po tym wypadku umyśliłem korespondencyę naszą urządzić w sposób coby nieutrudzał wojska, nikogo nienarażał, a był najpewniejszy. Wysyłałem po kolei wszystkich starszych księży z miasta; municypalność dostarczała muła z wygodnem siedzeniem i przewodnika na mule; przywoływałem kanonika lub plebana, i ofiarując mu pieniądze na drogę — jeżeli chciał — doręczałem ekspedycyę do sztabu generała Dorsenne, oświadczając: że za całość i dostateczny pośpiech odpisu, odpowie mi cały majątek ruchomy Jegomości pozostający w Castrojeriz.“ Kolega Mikułowski podaje mi w swych notatkach, że pierwszym z księży których tym sposobem wyprawiałem do Burgos, był jego gospodarz D. Antonio Itero.

Z początku zdawało się to tym duchownym arcy twar-
dem wymaganiem; ale gdy im przedstawiłem: że do tego
jestem zmuszony, przez zdarzające się często przelewa-
nia krwi niewinnęj; że przez tę fatygę którą podejmą
wielebni ojcowie, oszczędzą tych krwawych ofiar nie-
tylko francuzkich ale i hiszpańskich; że wreszcie taki
już jest rozkaz który się zmienić nie może; zgodzili się
ojcowie i sami między sobą kolej ułożyli, bo taka ko-
respondencya odbywała się dwa razy na tydzień.

Oprócz rozkazów jenerała Dorsenne, odbieraliśmy
przez Burgos wiadomości od naszego sztabu pułkowego
z Chantilly, a nawet listy z Polski i gazety różne mia-
nowicie Journal de l' Empire. Wiedzieliśmy o zaślubie-
niu Napoleona z Maryą Ludwiką córką Cesarza Austrii,
i paradach z tego powodu odbytych w Paryżu, na któ-
rych po raz pierwszy wystąpił na czele naszego pułku,
pauker po staropolsku bijący w kotły w stroju narodo-
wym w kontuszu, który niepospolicie zajął widzów pa-
ryzkich. Skutkiem tego aliansu z Austryą, coraz więcej
odbieraliśmy nadziei wojny z Rosyą; razu jednego gdy
expedycyę z Burgos przynosiłem pułkownikowi Delaitre
zapytał mnie, jak zwykle: coby tam było nōwego?..
„Dobre nowiny panie pułkowniku — odpowiedziałem —
„wojna z Rosyą jest niewątpliwą“... — „I to W Pan
„nazywasz dobrą nowiną! — odrzekł pułkownik — dla
„mnie ona jest najgorszą; naród polski bezwątpienia za-
„sługuje na wszelką życzliwość, ale Francya nie może się
„poświęcać samą dla Polski, od czasów Cesarstwa wszy-
„stkie nasze wojny, są niepolityczne, które nas pociągną
„do upadku... czegoż my możemy szukać w pustyniach
„Polski a dopieroż Rosyi?!...“ Takie było po wielkięj
może po większej części usposobienie starszyny fran-
cuzkięj. Panowie ci od młodości prowadzący wojny, ma-
jąc zdrowie nadwreżone ranami i trudami... dostą-
piwszy rang i majątków, wzdychali za odpoczynkiem

i używaniem owocu swoich prac i zasług; insze były życzenia i uczucia nasze, inszy cel naszych poświęceń... dla tego zdania te francuzkie zdawały nam się być po prostu egoizmem... a ztąd i wstręt nasz do wielu Francuzów nami dowodzących... a szczególnie do pułkownika Delaitre który był gorącym patryotą francuzkim i Cesarza nie lubił.

Istotnie Napoleon nadużywał swego szczęścia... za ledwie ukończywszy pół na pół wojnę pruską w Tylży, rozpoczął najblędniej wojnę w Hiszpanii... sprowadził tam Anglików... a zajęty znowu przygotowaniem wojny z Rosyą... nie przybył osobiście wyprzec Wellingtona z półwyspu... nie znał lub nie chciał znać położenia rzeczy i sił obustronnych w Hiszpanii i Portugalii... w miejsce swoje przysłał Massenę... ale go niezaopatrzył w siły dostateczne... a narobiwszy marszałków do zbytku, zaszczerpił niesubordynację w dowódcach... Co z tego wynikło wiadomo światu... może nam wiek nasz podeszły pozwoli jeszcze podać o tem nasze wspomnienia z r. 1812 w którym jako naoczny ciągle świadek, mamy pochlebną nadzieję że ziomkom nie jedno spostrzeżenie przekazać możemy któregośmy jeszcze nigdzie nie czytali. — Tymczasem sprawy wojenne szły najgorzej — można mówić w całej Hiszpanii; jenerał Dorsenne mimo rygoru, a można mówić i zbytnej surowości, dla czego Hiszpanie przezwali go: Pedro el cruel, bo mu było na imie Piotr, a niegdy panował w Hiszpanii tyran tego imienia i przydomku; jenerał Dorsenne, mówię, choć miał korpus wyborowy, bo gwardyi, nie mógł sobie dać rady i nastarczyć wojnie tylko partyzanckiej, bo innej w prowincyach jego wielkorządnictwa nie było. Będąc zajęty różnemi wysyłkami jako to do St. Ander, do Rejnosa, do Villafranca o której wspomina kolega Mikułowski aż na krańcach Galicyi, musiał posiłkować jenerała Bonnet.

Te i tym podobne ciągle ekskursye większych i mniejszych komend naszych na wszystkie strony wielkorządztwa powierzonego jenerałowi Dorsenne, zapaliły mściwy umysł naszego afrancesado alkalda Cobo, o którym już była wzmianka: Jednego razu przypada do mojej kwatery z pośpiechem, i melduje mi, że w pewnej wiosce, niezbyt oddalonej, przebywa dwóch Hiszpanów rannych; a miał pasyę mówienia po francuzku, tę więc liczbę dwóch — *deux* — tak wymawiał z hiszpańska, u których *dos* znaczy *dwa*; że ja nie mogłem zrozumieć: czy dwunastu, czy dwóch jest rannych w owej wsi? Nakoniec p. alcalde za pomocą dwóch palców przekonał mnie, że była mowa o dwóch. — Odzywam się więc do niego: „cóż WPan chcesz żebym ja z tymi dwoma rannymi robił?“ — Żebyś posłał oddział i kazał ich zabić — Ach! panie Cobo, my bezbronnych nie zabijamy, a cóż dopiero rannych — Na to p. Cobo: „Mosu Commendane! Vous ne pas connetre Espagnol, si Vous ne pas le tuer, il Vous du.“ Co znaczy: „Panie komendancie nie znasz Hiszpanów, Hiszpana trzeba zabić, inaczej on cię zabije“ — to nauka nie lada, przyznać trzeba, i dla tego się tu konsygnuje, ale ja jednak z wielkiem zgorszeniem pana alcaldego hiszpańskiego, nie wysłałem nikogo po owych rannych.

Już się zbliżało nam do opuszczenia stanowiska w Castroxeriz, kiedy jednego dnia pod wieczór, stawa przed moją kwaterą oficer od piechoty polskiej 4go pułku, na małym koniku, a za nim służący towarzyszący mu pieszo. Zehodzę rozpoznać tak nadzwyczajnego podróżnego; był to mój pokrewny Adam de Rivière Załuski powracający... z Malagi! gościńcem pocztowym, nie szedł bez eskorty, ale po zabójstwach jakie się codziennie zdarzały na uboczu, byłem radośnie zdziwiony, że mu się nie złego nie stało! Ponieważ wojownik z pod Almonacid, Ocaña i wielu

innych pól bitwy, wracał w stanie garderoby bardzo smutnym, a był się podał do dymisyi, z tęsknoty za krajem, mimo rozkosznych okolic Granady i Malagi z których przybywał; . . . przebrałem go po cywilnemu i w stroju wcale paryzkim, przedstawiłem go pułkownikowi Delaitre, który znawszy w Warszawie jego ojca, pana Jana de Rivière Załuskiego, z którym niegdyś przy formacyi pułku byłem z wizytą u naszego 1go majora, widząc przy tem młodzieńca tłumaczącego się wyborną francuzczyzną, przyjął go nader uprzejmie, i zaprosił go do swego stołu na cały czas pobytu jego w Castroxeriz — jakoż u tego stołu przy którym cały sztab zasiadał, przekonywaliśmy się codziennie więcej, o czytaniu pana Adama, i słuchaliśmy jego opowiadań, o kampanii pruskiej w której się odznaczył, i o wojnie hiszpańskiej podczas naszego pobytu nad Dunajem, między innemi opowiadał nam o czynie szefa batalionu 4go pułku i kolegów swoich pod tegoż dowództwem, w obrobie zamku nadmorskiego Fuengirola, gdzie nasi mieli do czynienia z Anglikami, odparli ich cudownie prawie i generał angielski lord Blayney dowodzący całą ekspedycją, został jeńcem szefa batalionu Młokosiewicza.

Gdy pan Adam Załuski miał już nas pożegnać, dałem mu pismo do pułkownika Krasieńskiego, który go znał osobiście, jakoż mu wyrobił u Cesarza patent porucznika 2ej klasy w swoim pułku. . . . nieprzewidywałem wtenczas że mu toruję drogę do smutnego końca, zginął albowiem tragicznie w r. 1812 w odwrocie na Litwie. O ile pamiętać mogę zajmowała komenda pułkownika Delaitre miasto Castroxeriz blisko ośm miesięcy, opuściliśmy owe koszary nasze, może jedyne tego rodzaju w Hiszpanii, za przybyciem marszałka Bessiera.

Bezwątpienia bytność korpusu 800 do 900 koni wynoszącego, po większej części w tem małym mieście skoncentrowanego, nie mogła się obejść bez uciemiężenia

mieszkańców, ale ci wiadomi co się działo w innych miejscach gdzie nie polskie komendy stały, z żalem patrzyli na nas odchodzących; istotnie żegnali nas z rozczuleniem, pamiętali nieraz później że przebyli znaczny przeciąg czasu pod władzą sprawiedliwą, bezstronną, i która nigdy innego daru nie przyjęła prócz kilku kuropatw żywych, o dzióbkach, oczach i nóżkach koralowych. Lekkokonny pułk polski gwardyi Napoleona umiał sobie zjednać szacunek Hiszpanów w Castroxeriz, tak jak Francuzów w Chantilly.

Już się był zaczął rok 1811 kiedy zapowiedziane nam przybycie marszałka Bessières, przeniosło nasz oddział polskiej gwardyi z Castroxeriz (g, i, j i x przed e wymawiają się jak ch polskie), do Valladolid — wprzód jeszcze nie jeden z komendy pułkownika Delaitre opuścił Hiszpanię, tak z przyczyn słabości zdrowia jak z powodów służby. I tak Napoleon chcąc pomnożyć swoją lekką jazdę a mianowicie ułanów *lanciers*, postanowił stworzyć 8 nr. téj broni w służbie Francyi, ale z samych Polaków złożony; na pułkownika tego korpusu mianował naszego szefa szwadronu Tomasza Łubieńskiego, nie mało naszych oficerów i podoficerów, powołanych czyli awansowanych było do tego pułku — z szasserów czyli raczej Mameluków nadmienimy szefa szwadronu Kirmann który udał się do ich garnizonu w Melun, a kapitan Renno przybył w jego miejsce na dowódcę tego szwadronu, był to syn Wschodu, nie wiem czy z Aleksandryi czy z Syryi, ale który jak się zdaje, otrzymał wychowanie europejskie, doskonale mówił i pisał po francuzku, po włosku, i był tak uzdolniony, jak mało który z oficerów strzelców konnych gwardyi do których Mamelucy należeli. Wkrótce potem gdy pułkownik Konopka dowódzca sławnego pułku ułanów nadwiślańskich noszącego w armii francuzkiej nr. 7 lancyerów, został posunięty na jenerała brygady, nasz szef szwadronu

Ignacy Stokowski przeznaczony został na jego miejsce i odjechał do Sedan gdzie był sztab i zakład tego pułku.

Jak tylko wiadomość nadeszła, że marszałek Bessières ma zjechać do Hiszpanii, żeby zająć miejsce generała Kellermanna w Valladolid z tytułem jeneralnego dowódcy całej północnej Hiszpanii, opuścił cały nasz pułk Castroixeriz, a oddziały strzelców konnych, Mameluków i nasze rozesłane zostały od granie Francyi aż do Valladolid na posterunki dla przeprowadzenia marszałka. Ja sam eskortowałem go między Burgos a Valladolid... zawsze jeden niezmiernie dobry i ludzki, częstował nas — jeżeli się nie mylę — w *Torrequemada* w miejscu wstawionem zwycięstwem generała Lassale w r. 1808 z oddziałem naszego pułku.

Kilku nas oficerów polskich, którzyśmy go w ciągu dnia eskortowali siedzieliśmy u jego stołu, były między innemi potrawami kuropatwy na stole, marszałek wskazując na takowe, mówił do nas: „Widzicie WWPP. ten dobry lud przysłużył mi się kuropatkami — przypomineli mi się ci dobrzy Hiszpanie, trzeba się z niemi obchodzić z pobyżaniem, nie z surowością, trzeba ich sobie ujmować.“ Już w trzecim wspomnieniu mojem w *Dodatku* na miesiąc lipiec 1858 wzmiankowałem o tem usposobieniu marszałka Bessières dla Hiszpanów i względem prowadzenia téj wojny; ale szanowny, czeigodny i waleczny książę Istrii, unosił się przywiązaniem swoim do Cesarza; zapominał że cały naród hiszpański był krwawo i boleśnie obrażony, że sposoby zwyczajne do rządzenia takim krajem były niedostateczne, że tu trzeba było zwycięstwa zupełnego i wypędzenia Anglików, ale nie urządzenia administracyjnego i starania się o ujmowanie rozjątrzonych umysłów. Miętkość rządów marszałka Bessières sprawiła to, że gierylasy wzmogły się po jego przybyciu, tak jak nigdy pierwej; a jak się już

powiedziało, zgoda między dowódcami wojsk francuskich, po większej części marszałkami, coraz więcej słabła, a powaga Anglików i Wellingtona wzrastała. — Gdy m. Bessières założył swoją główną kwaterę w Valladolid, regiment marszowy pułkownika Delaitre opuściwszy Castroxeriz, zebrał się w Valladolid, i przeniósł swoje leże do Rioseco, miejsca miłego marszałkowi przez wspomnienie odniesionego tam przez niego zwycięstwa w d. 14go lipca 1808.

W Valladolid przebywał zawsze jeden szwadron po kolei, z oddziałów strzelców konnych gwardyi i naszego, jako eskorta marszałka, ten zaszczyt trafiał mi się po kilka razy, i zawsze byłem — tak jak wszyscy oficerowie polscy z szczególną życzliwością od niego przyjęty. Następująca okoliczność zwróciła jeszcze więcej może łaskawą uwagę marszałka ku mnie. Siedząc raz u stołu obok niego, sztab marszałka, między którymi generał Guillemintot szef, i różni cywilni panowie do kancelaryi księcia Istrii należące, skarżyli się przed nim, że ich konie a nawet konie marszałka nie mają furażu. . . ale że konie pp. Polaków obfitują. . . Nie była rozmowa przyjemną m. Bessièrowi, a gdy się pytał, dla czego jest ten niedostatek? odpowiedziano, że kraj cały zaraz za bramami miasta jest tak okryty gieryllasami czyli brygantami, że nikt zboża ani paszy dostarczyć nie może — A jakże wy robicie Polacy? obraca się marszałek do mnie — Staramy się mości książę i mamy — a jeżeli W. Ks. Mé pozwolisz, to ja jutro pójdę z szwadronem i zboża z paszą dostarczę — to przez pp. Francuzów było przyjęte za cześć fanfaronadę. . . i z urąganiem przemawiali: da się to widzieć, prosimy, zobaczymy. — Marszałek zaś po prostu upoważnił mnie do zrobienia téj ekskursyi. — Opowiedziawszy szwadron o rannym marszu, wyszedłem do dnia, biorąc kierunek w okolicę chlebną ku Palencyi, a przyszedłszy do wsi sporéj gdzie bytności

wojsk śladu nie było, zastałem znaczne zapasy zboża i słomy, które zarekwirowałem i na wozy ładować kazałem. Ale w tem zdarza się okoliczność, że pies miał imię Napoleona... gniew i zawziętość straszna. Żołnierze moi chcą wieść palić, ledwie im wyperswadowałem, że gdy zabili psa, więc zgorszenie pomszczone, starszeństwu zaś wsi, dałem groźną naukę, tak że się skwapliwie zajęli dostarczeniem wszelkiego rodzaju wiktuałów i mieli się za szczęśliwych, że mściwości naszego żołnierza nie doznali, za płochosć którego swojego mieszkańca. Wróciłem więc do Valladolid z szeregiem wozów znacznym, naładowanych różnymi zapasami, co wielce ubawiło Marszałka, a w zadziwienie i zazdrość wprowadziło jego Camarillę.

Po tym niedołężnym kierunku administracji w samej bliskości Naczelnika kraju, można miarkować jak szła sprawa ta na większe rozmiary, a mianowicie w celu dostarczania Marszałkowi Massenie, zasobów i posiłków różnego rodzaju, których on z wojskiem swoim domagał się i potrzebował usilnie. Biedny ten zwycięzca w tylu wojnach nie mógł dać rady ani miłości własnej Marszałka Neya i Djuka d' Abrantes Junota, którym się obu chciało dowodzić ale nie zostawać w drugim rzędzie pod komendą — ani wątpliwemu bardzo współdziałaniu kolegi M. Soult'a... udawał się Massena ustawicznie pismem i wysłaniami do Napoleona, o pomoc wszelkiego rodzaju, ale bezskutecznie o tyle tylko wyjednał, że Napoleon posłał Bessiera do Hiszpanii, i polecił mu posiłkować Massenę. Ale pp. Jenerałowie Francuzcy przyzwyczajeni wojować we Włoszech i w Niemczech, gdzie miasta i wsie bogate, zapaśne, drogi doskonałe, cywilizacya a zatem zmiękczenie upowszechnione: tam szpitale, zapasy, pomoce wszelkiego rodzaju były nie tylko na zawołaniu, ale przez magistraty i gminy przysposobione: inaczej to szło w Hiszpanii, jak

czytelnicy już z naszych uwag powziąć mogli; tu, trzeba było o głodzie i niezdolnych trudach, wszystkiego się krwawo dobijać, a o wygodzie dla rannych i chorych, ani myśleć... więc książę Istrii wszystko obiecywał, i szczerze się starał, nie był w stanie dostarczyć Massenie, tego, czego sam nie posiadał... skutkiem tych przeróżnych przeszkód M. Massena: zamiast wyprzeć Anglików z Portugalii; po niezdolnych stratach, ludzi, koni i materiałów wojennych, musiał się z Portugalii cofać. Odbierał atoli raz wraz rozkazy z Paryża wyparcia na morze tej garstki Anglików, z dołączeniem dość uszczypliwych wyrazów, dla samego księcia d' Essling i wojsk (jakoby tak licznych) pod jego dowództwem zostających; z tego wszystkiego wynikło, że Massena postanowił uderzyć znowu na Anglików zwłaszcza że Wellington był się oddalił osobiście ku Badajoz (Badachoz).

Marszałek Bessières zbierał się więc osobiście posilkować Massenę z całą Jazdą i częścią Artylerji swojej, nie mogąc krain rozległych zostawić bez załóg piechoty. W ciągu miesiąca kwietnia opuściliśmy Valladolid i Rioseco. Przytoczymy tu kilka słów z notat kolegi pułkownika Mikułowskiego: „Kiedy M. Massena cofnąwszy się „z pod Lisbony aż pod Almeidę, zażądał pomocy, Bessières zabrawszy Gwardyę (konne) poszedł na: Toro „i Salamankę do Ciudad-Rodrigo. Przytoczę tu małą „okoliczność na dowód, jaką już wówczas Bessières „miał opinię o naszym pułku. Po dniowym spoczynku „pod Ciudad-Rodrigo, cały korpus Bessiera przeszedł „za fortecę, i rzeczkę małą której nazwiska nie pamiętam (Agneda) i postępował dla połączenia się z Masseną ku Fuentes de Onoro. Bessières zaś opatrywał „fortecę, zostawiwszy tylko oddział nasz z dwóch plutonów którymi dowodziłem. Przegląd fortecy zabawił „dość długo, tak dalece że Jenerałowie odprowadzający

„Marszałka, aż za rzeczkę, i ujrzawsy tak nieliczną eskortę upraszali go najusilniej, aby dobrał dla bezpieczeństwa batalion piechoty, gdyż wiedzą dobrze że Partyzant Don Julian, w 700 koni, krąży w okolicy. Wten czas Bessières, podziękowawszy Jenerałom za ich troskliwość, wskazał im ręką na mój oddział, i z anielską uśmiechając się dobrocią, powiedział słowa (które do śmierci tkwić będą w méj pamięci) avec 50 Gaillards comme ceux là je passerai partout. Z takimi 50 zuchami jak ci, przebiję się wszędzie.— Żołnierzom, którym wytłómaczyłem, co powiedział Marszałek, zaskrzyły się oczy, i pewno w potrzebie, chybaby po ostatnim ich trupie, nieprzyjaciół dostałby się do osoby ukochanego wodza.— Szczęśliwie też doszliśmy do korpusu, i na drugi czy 3ci dzień, połączyliśmy się z Masseną, którego waleczna armia, lecz znękana trudami i niedostatkami, przyjęła nas, jak otuchę zwycięstwa“— dalej pisze Mikułowski: „Drugi podobny poprzedniemu, spotkał nas zaszczyt od Marszałka Masseny w wilią bitwy pod Fuentes de Onoro. Wieczorem, piechota armii Portugalskiej, kusila się z Anglikami o wzięcie pozycji. Nasza piechota zwycięzko odpierała ataki. Mar. Bessières narażając się, jak zwykle, za nadto, wśród gęstego ognia dawał rozkazy, choć ta piechota co walczyła nie należała do jego korpusu; co widząc Massena, przysłał do niego z prośbą: aby raczył się mniej wystawiać na niebezpieczeństwo. Wtem okazał się od strony nieprzyjaciela parlamentarz. Był to pułkownik Lord Gordon adjutant Wellingtona. Gdy go przedstawiono Massenie, ten z nim rozmawiając jedną razą obrócił się, i pokazując na mnie, wyrzekł: *«de-main Vous aurez à faire à ceux-là»* — jutro będziecie mieli do czynienia z temi oto — Lord Gordon, wówczas zapytał pułkownika *Briquevilla* adjutanta Masseny: *«quelle est cette troupe?»* co to za wojsko? — Gdy Bri-

„queville odpowiedział, że to mundur ułanów polskich gwardyi Napoleona: Lord Gordon odrzekł: „Nous connaissons leurs compatriotes, ils sont braves, mais par trop téméraires.— Znamy ich współrodaków są waleczni, ale zbyt zapamiętali. Była to mowa o 7m pułku ułanów, słynącego na ówczas w armii południowej. Na-
zajutrz w bitwie pod Fuentes de Onoro, manewrowaliśmy ciągle, i już byliśmy gotowi do szarży, gdy przez jakieś nieporozumienie Bessiera z Masseną, kano nam się wstrzymać. Cała armia żałowała tego wypadku, bo spodziewała się, świetnego skutku szarży tak dzielnej kawaleryi gwardyi. Straciliśmy jednak od kul armatnich kilku żołnierzy“.— Bardzo nam jest na rękę, zastąpić nasze opowiadanie o bitwie pod Fuentes de Onoro, notatą kolegi Mikułowskiego, albowiem, niestety! nie wiele więcej da się powiedzieć, o tym tak szumnie, a tak mozolnie, przedsięwziętym ruchu Marszałka Bessières, w pomoc Massenie.

Szliśmy mniej więcej 60 mil geograficznych, z wielkim trudem, przez kraj powiększłej części i to im dalej, tem bardziej, zniszczony, opuszczony, lubośmy w znacznej części zjadali, szczupłe dla Masseny przeznaczone zapasy, doznawaliśmy sami głodu, a konie nasze ustawały — słońce wypaliło skaliste, suche okolice, wody był niedostatek, a baraki nasze przepełnione różnym gadem i jaszczurami nieznanej nam wielkości; ja sam kapitan dowódzca kompanii doznałem głodu, podobnego, do tego o którym opowiedziałem w wspomnieniu o Wyspie Lobau na Dunaju.

Prawda jest, co pisze Mikułowski, żeśmy byli gotowi do szarży my i strzelce konni i Mamelucy... ale Marszałek Bessières nie dał nam popierać natarcia kawaleryi przez Jenerała Montbrun, na któreśmy się patrzyli z bliska, a na czele jednego z tych ataków, stracił nogę *Septenis* świetny i ulubiony Adjutant Marszałka Berthier

Duc de Neufchatel, świeżo z Paryża przybyły. Dwie przyczyny mogły powodować Mar: Bessières, że nam nie kazał nacierać: raz że wiedział jak konie nasze są znużone marszem od Valladolid bez wypoczynku i bez dostatecznej żywności; drugi raz, że Partyzant D. Julian kręcił się po za frontem i po bokach naszej armii, a M. Bessières chciał ją zasłaniać kawaleryą lekką swoją. Owo zgola tyle mieliśmy w zysku my Polacy, żeśmy przez trzy dni przypatrywali się bojowi dwóch pierwszych Narodów, Francuzów których znaliśmy, i Anglików, których w takiej bitwie — bataille rengée — jeszcze nam widzieć nie zdarzyło się: z resztą nie był to bój ladażaki i łatwy... cała tam okolica poprzerzynana jest okopami z kamieni, chcę mówić, że każdy ogród, każde pólko, opasane jest płotem kamiennym, jak murem — za takim schronieniem, piechota ma niemal bezpieczne stanowisko trudne i mordercze do zdobycia, a cóż dopiero mówić o nacieraniach konnicy? dla tego — jak sądzę — Bessières niechciał narażać, bezowocnie, swojej kawaleryi gwardyi a miał jęj może 700 do 800 tylko. Wtęj bitwie Anglików jednak, gdy nasze czapki polskie poznali zdaleka, przybiegło do nas 4 żołnierzy polaków — i mówili żeby ich przeszło więcej gdybyśmy się zbliżyli: powiadali że w armii Angielskiej jest batalion niegdyś francuzkim zwany, w którym teraz wszyscy żołnierze są Polacy a oficerowie tylko Francuzi pozostali — jak się zdaje — z Emigracyi. — Tych 4 żołnierzy, którzy byli z Lubelskiego, opatrzyliśmy, obuwiem, paszportami i pieniędzmi i odesłali... do Warszawy.

Ale wracając się do pola bitwy, gdy M. Massena formalnego zwycięstwa odnieść nie spodziewał się, a z Almeida się porozumiał — zaczęliśmy odwrót, spokojny i zaszczepny, bo Francuzi byli wtęj batalii górą. — Ja zaś z mocną placówką kilkudziesiąt koni, stałem gdzieś

na uboczu, strażą: jak się domyślam, od napaści owego D. Juliana — noc była ciemna i głucho wszędzie, o północy, robi się huk niesłychany i jakby trzęsienie ziemi! placówka siada na koń i nie mogąc pojąć co to znaczy, czekamy rozkazów z podwojoną bacznością, nakońiec przybywa adjutant, z poleceniem wracanie do tylnéj straży kolumny, i oznajmuje że to fortyfikacye Almeidy wysadzono w powietrze; istotnie Jenerał Brenier dowódca twierdzy, wypełniając rozkaz Masseny, wysadził fortyfikacye i cudownie prawie przebił się z garnizonem przez armię Angielską, czyn to był z jego strony bohaterki. . . ależ jakiż owoc tylu strat, tylu trudów sławnego Marszałka księcia d'Essling? opuszczenie Portugalii i cofanie się do Salamanki. Tymczasem Francuzi obwiniają Bessiera że był tego tak zawiedzionego skutku przyczyną, nie że nam nie dał nacierać, ale że amucyci nie był dostarczył i że dla tego Massena musiał się ograniczać na pozbawieniu Anglików fortcey Almeidy.

Wrócił więc Marszałek Bessières do Valladolid i my z nim do Rioseco, a służba odbywała się przy Marszałku jak wyżej powiedziano.

Nim przystąpię do kilku wspomnień o Valladolid i o Hiszpanii, nie mogę nie oddać hołdu pamięci, urodzin Napoleona II. Wiadomo jest że ten syn którego Napoleon tak pragnął, urodził się d. 20 marca 1811... byłem właśnie w Valladolid kiedy armaty zaczęły ogłaszać tę pomyślną wiadomość i rachowaliśmy z natężoną uwagą 101 strzałów, zwiastujących radość Francyi i całego wojska w Hiszpanii będącego.

Marszałek Bessières obchodził tę uroczystość z wszelką jak mógł świetnością a prócz: Nabożeństwa, Rewii, Obiadów i Balów, było także i ulubione widowisko hiszpańskie: de los Toros, to jest walki byków. Nie było to igrzysko na skalę tych jakie się odbywają w Madrycie, Seville i innych wielkich miastach Hiszpanii, ale odzna-

czało się w Valladolid tą osobliwością: że zamiast matadora była kobieta matadorką! widziałem więc na swoje oczy, jak młoda Hiszpanka szczupła ale zwinna, jednem uderzeniem noża (*cuchillo*) zwała pod swe nogi była rozhukanego. Krytykarze Europejscy, ganią zwyczaj ten igrzysk byków, jako barbarzyński, jakoby czynący ujmę sercu Hiszpanów... ci co tak piszą, pewnie nie mieli matek coby walczyły z bykami, ale też ani takich, co by broniły Saragossy tak zapamiętale, jak nam to opisał Jenerał Mroziński. Dowiódł naród hiszpański, Kartagińczykom, Rzymianom, Maurom i Francuzom, że łatwiej wniknąć do Hiszpanii, jak wycofać się z niej; a brzmia dotąd w ludzie hiszpańskim, pieśni o: *Viriato guerrero*, który z pasterza owiec, wzniosłszy się aż do naczelnego dowództwa wojsk, 14 zwycięstw odniósł nad Rzymianami. — Wspomnąwszy o Owczarzu, i pisząc o Hiszpanii, nie godzi się nie wspomnieć Ziomkom o *Mescie*. Mesta, jest to urządzenie któreśmy jeszcze w Hiszpanii zastali, że właściciele owiec z cienką wełną, łączali je na pasze wspólne całoroczne: to jest, przez pół roku ciepłe, w górach północnej Hiszpanii, a w czasie zimy, w Estramadurze. To chodowanie owiec z cienką wełną, było znamieniem bogactwem Hiszpanii, której podniebie i dawny obyczaj, dozwalały takowego chodowania owiec, w ilości kilku milionowej, a z wełną, jakiej wówczas nigdzie nie było. Przemysł ten, uważany za narodowy, zostawał zawsze pod kierunkiem którego z ministrów państwa, pod którego prezydenteyą była Junta, (*chunta*) to jest rada, zgromadzenie, mające tytuł: *El honrado Consejo de la Mesta*. Nazwanie *mesty*, pochodzi ztąd: że *mestal*, znaczy pustynię nieuprawną, na pastwisko tylko użyteczną. Instytucya ta musiała niezmiernie ucierpieć przez wojnę, toczącą się przeciągiem lat sześciu, bo zapewne wojska angielskie, nie więcej szanowały merynosy, od Francuzów; ztąd

niewiadomo nam jest, czy jeszcze utrzymuje się mesta, to jest: zwyczaj wspólnej paszy merynosów? — Cesarz Napoleon, kazał z tych stad, wybrać najprzedniejsze, i przeprowadzić do Rambouillet, ekonomii Rządowej, nie daleko Paryża, gdzie odtąd kwitnie gospodarstwo wełny. Marszałek Bessières od chwili objęcia zarządu w Valladolid, starał się pozyskać miłość i zaufanie mieszkańców tego miasta, utrzymywać surową karność między wojskami francuzkiemi, i wymierzać sprawiedliwość Hiszpanom, w każdym przypadku; jednym słowem usiłował uzyskać ten naród dla swego Cesarza i dla jego brata króla Józefa — szczególnież zwracał uwagę i staranie swoje na szpitale, chorych i ubogich — Na tem polu niesienia ulgi cierpiącej ludzkości, zjawił się rodak nasz Lekarz 4go pułku Legii Nadwiślańskiej, nowo uformowanego w Augsburgu przez Jenerała Bronikowskiego, Doktor medycyny i chirurgii *Lewkowicz*, wychowaniec Akademii Wileńskiej Operator i Okulista znakomity, ten pod protekcyą i kosztem Marszałka odbył w Valladolid kilka operacyj szczęśliwych, zdejmując katarakty z oczu osobom podeszłego wieku i między innemi z wyższego duchowieństwa: ten Doktor był później profesorem i operatorem w akademii Jagiellońskiej w Krakowie.

Przy tych szpitalach, bardzo znacznych, tak wojskowych jako i cywilnych, starannie urządzonych pod opieką Marszałka, odznaczali się także naszego pułku Lekarze pp. *Gadowski* i *Kuszański* oba Krakowianie i uczniowie Akademii Krakowskiej. — Wątpliwości nie podpada że książę Istrii Bessières, zostawił nawet w Hiszpanii pamięć oddającą mu sprawiedliwość, ale ciągłe zmiany w jego powołaniu, nie dały mu długo wywierać tego wpływu na umysły i urządzenie prowincyj północnych Hiszpanii.

Nie mogę oznaczyć chwili w której Marszałek Bessières opuścił znowu Hiszpanię; czy już był powołany na obrząd Chrztu króla Rzymskiego który się odbył 9go Czerwca 1811 roku — czy później powrócił do Francyi. Tyle tylko pamiętam, że po oddaleniu się Masseny, kiedy Jenerał Voison dowodził interymalnie ostatkami armii Portugalskiej, a Marszałek Marmont nadeiagał do niej, uczestniczyłem wyprawie jak się zdaje całego naszego oddziału, atoli szczegółów nie pamiętam.

Jeszcze później pułkownik Delaitre zrobił wyprawę z całą swoją komendą przeciwko Anglikom, w której ja, złożony na ten czas chorobą w Valladolid, nie znajdowałem się, kolega Mikułowski który do niej należał, nazywa ją wyprawą aż do Alfnatis — tego miejsca ja na mapie nie znajduję, tem więcéj zatem przytaczam wyrazy szanownego kolegi:

„Poszliśmy za Anglikami aż pod Alfnatis, w tym to „pochodzie — gdy kapitanowie: *Trzcíński* i *Szeptycki* „zostali raunymi, Jankowski i ja, wzięliśmy po nich do- „wództwa szwadronów, i mieliśmy obydwá szczęście „zyskania pochwały i wzmiankę, za odpędzenie dra- „gonów angielskich, którzy wciągnąwszy w zasadzkę „pułk ułanów W. Xcia de Berg i pobiwszy ich na głowę, „blisicy już byli zabrania naszych armat. W tych dniach „straciliśmy także kilku ludzi, a co pamiętam, dwóch „z mego szwadronu, *Loberta* i *Żylicza* obu Warszawia- „nów. Towarzyszył nam w téj wyprawie pod Alfnatis, „pułk 4ty Legii Nadwiślańskiej uformowany w 1809 r., „w którym miałem brata mego ciotecznego *Jagmińskiego*, „kapitanem, a który był u nas dawniej podoficerem i „za bitwę pod Rioseco otrzymał krzyż Legii honorowój „razem z podoficerem *Starzyńskim*. Po tem wkroczeniu „naszem w granice Portugalii, i cofnieniu się Welling- „tona, powróciliśmy do Rioseco“.

Podczas tój wyprawy naszego oddziału ja z kapitanem *Hermolausem Jordanem*, oba chorzy, zostawaliśmy w Valladolid, i będąc już konwalescentami uważaliśmy codziennie wieczorami na placu starożytnój katedry kometę sławnego r. 1811.

Po powrocie pułkownika Delaitre z całą swoją komendą do Rioseco, odbyłem ostatnią moją wyprawę z Jenerałem piechoty *Roguet*, któremu dodany zostałem z jednym szwadronem złożonym w połowie z naszych, a w połowie ze strzelców konnych gwardyi. Ekspedycya ta wyruszyła przez *Villaloa* ku górą na Partyzanta osławionego pod przezwaniem: *el provedor*, co by znaczyło mnieha gospodarza klasztoru, atoli ja widziałem w potyczce, człowieka ubranego od stóp do głów w axamicie koloru jasno czerwonego, który dowodził Hiszpanami. Potyczka ta była za wsią nazwiskiem *Melgar*, których jest wiele, atoli ja tego Melgar nie znajduję na mapie.

Podczas gdy Jenerał *Roguet* zdobywał tę wieś, ja ze szwadronem starałem się odciąć *Provedorowi* rejtęradę, to jednak w części tylko się powiodło, *Provedor*, czyli dowódzca pąsowy, uszedł straciwszy kilku ludzi. Kolega *Mikułowski* podaje mi że był w wyprawie tój pod Jenerałem *Roguet* ze mną, ja zaś pamiętam: że porucznik mojej kompanii *Zawadzki* — podobno *Stanisław* — odznaczył się w tój potyczce, z której, przyjaciel Polaków Jenerał *Roguet* był bardzo zadowolniony.

Powróciwszy do Rioseco, otrzymałem w krótkce rozkaz od Jenerała *Krasińskiego* z pismem Marszałka *Duc d'Istrie* z Paryża z d. 14 września 1811 własnoręcznie przez *Napoleona* parafowanem (którą relikwię cudownym sposobem jeszcze posiadam, widać że jój nie miałem z sobą w wyprawie na Moskwę r. 1812) skutkiem powyższego rozkazu, ja kapitan, wróciłem do Francyi z 10ma porucznikami pułku, między którymi byli: *Jankowski*,

Mikułowski, Dobiecki Wincenty, Mierzejewski Maciej, Łęski, Gotartowski Floryan i kilku innych których już, łącznie z Mikułowskim nie pamiętamy.

Do Bajonny maszerowaliśmy razem, ztąd koledzy udali się do Chantilly, a ja z porucznikiem mojej kompanii Jankowskim Antonim, pojechaliśmy o swoim koszeie dylizansami pocztowymi i wodnymi: przez Pau, Tarbes, Toulouse, Carcassone, Cette, Montpellier, Nismes, Avignon, Lyon, Macon, do Paryża

Opuściliśmy wszyscy Hiszpanię z radością, pewni że nim koledzy zdążą za nami z Rioseco, my niezawodnie będziemy brać udział w pożądaną przez nas tak gorąco wojnie za Niemnem i Bugiem.

Spędziliśmy trzy lata naszej młodości, *na nauce wojny* w Hiszpanii, 1808, 10, 11, wkroczyliśmy do tego kraju pełni zaufania w potęgę i szczęście naszego wskrzesiciela, opuszczaliśmy Hiszpanię dużo rozczarowani. Cóż się pozostało Francyi z zamierzonego podboju Hiszpanii? dym i popiół, te godła znikomości. . . . chcę mówić: Cigarry! Do roku 1808 nie znał kontynent Europy tej namiętności Hiszpańskiej, od tej chwili dopiero, ta zdobycz Francyi rozeszła się po całej Europie.

Pisałem w Jasienicy w miesiącu październiku 1859.

JÓZEF ZAŁUSKI.

HALSZKA Z OSTROGA.

DRAMAT HISTORYCZNY.

Osoby dramatu:

Król Zygmunt August.

Uchański, prymas.

Zebrzydowski, biskup krakowski.

Marcin Zborowski, kasztelan kaliski.

Kniaź Wasyl Ostrogski, brat zmarłego Ilji.

Kniaź Dymitr Sanguszko.

Kniaź Siemion.

Łukasz Górka, później wda sandomirski.

Czarnkowski, obrońca i dworzanin księżny Beaty.

Odachowski, obrońca i dworzanin kniazia Dymitra.

Astrolabus, astrolog na dworze księżnej Beaty.

Beata z Kościeleckich Ostrogska, wdowa po Ilji z Ostroga.

Halszka z Ostroga, jej córka.

Kunegunda, panna dworska Halszki.

Dworzanie — rycerze — służba.

Rzecz się dzieje w 1szym i 2gim akcie w Ostrogu — w 3cim na sądach królewskich w Knyszynie w 4tym w Nimburgu w Czechach — w 5tym w Ostrogu i na zamku kniaz'a Sanguszki;— roku 1553.

AKT PIERWSZY.

Ogród przy zamku Ostrogskim.

Dymitr, Odachowski.

DYMITR.

Mój Odachusiu, toć dziś się rozstrzygnie
Los naszych długich a ciężkich zalotów.
Caesar aut nihil — mąż księżnej Elżbiety,
Albo w grochowym wieńcu biedne książę.

ODACHOWSKI.

Chroń Panie Boże!

DYMITR.

Ha! nierzec dwa razy:
Jéjmość kniahini przeciwna mnie wielce,
Krezus niewiasta — chciwa i przebiegła
Musi znać dobrze moją pustą kieszeń —
I wszystkie dziury w dachu mego zamku.
Za lepszych czasów, gdy mi chętną była
Nieraz kazała jak ksiądz na ambonie
O oszczędności i srogiemi słowy
Ganiła moje młode gospodarstwo. —

ODACHOWSKI.

I miała rację pono, miły książę:
W skarbnicy ojca, daj mu niebo Panie
Dno świeci jasno, jak słońce w jeziorze.

DYMITR.

Ale animusz rycerski niegaśnie...
Skąpić nieumiem, jeśli się ożenię
To będę rządzny jak książę nieboszczyk.

ODACHOWSKI.

Wielki czas na to. Znam ja co krew młoda
I wiem, że poszły na harcè rycerskie
Zasoby domu, na turniej wyprawy
Przeciw Tatarom Bóg daj, by ta pani
Jeżli kniahinią naszą wkrótce będzie,
Wniosła nam szczęście a spokój do domu.

DYMITR.

Idzie w odł.

No! stary gdéro! Książ opiekun za mną
I panna za mną — panna jak królewna,
Gdy ją dostanę, na nią cześć rycerską
Wypędzę z zamku całą przeszłość moją
Stoły biesiadne wyrzucę oknami
Puhary nasze pijackie rozbiję
I będzie czysto — jasno jak w kościele;
Aż się rozchmurzysz stary, rozpogodzisz
I dawne czasy powitasz na starość.

ODACHOWSKI.

Djże to Panie!

DYMITR.

Książ Wasyl nadchodzi —

Idziem do księżnej.

ODACHOWSKI.

Szczęście wam kniaziau miły.

(Odachowski odchodzi. Książ Wasyl wchodzi).

Kniaź Wasyl i Dymitr.

WASYL.

A! witam! witam! cóż tam kniaziu młody
Serce koface?

DYMITR.

Kiedy was oglądam
Bije nadzieją!

WASYL.

Tak Bogiem a prawdą
Mało nadziei. Książkini bratowa,
Niechaj Bóg broni od takich bratowych,
Twarda a wielce przemądra niewiasta
Wiem, że odmówi — lecz to ze mną sprawa
Jako opiekun chcę — i na tem dosyć.
Waszmościa kocham jak syna, choć waszmość
Masz swoje sztuczki i wybryki młode —
Wezmiem cię w ryzę, młodość się wyszumi
A jeden dzielny człowiek nam przybędzie.
Halszka pocziwe dziecko — nieszczęśliwe
Trzeba by szczęścia i życia użyła.
Panna dorosła — czas myśleć o mężu,
A jeśli jejmość sama go obmyśli
Wątpię, by z niego pociecha urosła,
Koroniaszów tu nie chcę — jakim Rusin!
Nie! w ręce obce niepójdzie gród stary
Kędy Konstantyn, wielki człek siadywał!

DYMITR.

Jestem spokojny.

WASYL.

A Jejmość mi pono

Tuż za plecyma dziwne rzeczy snuje,
Do króla pana lecą posły gęste
A pana Górki częste nawiedzania
Nie bez kozery. Póki Wasyl żyje
Pan Górka z Halszką mieszkać tu niebędzie.
Musim się trzymać, boby nam niedługo
Przerosły głowę pany Koroniasze:
Podole wzięli, Wołyn i kęs Rusi
A kiedy unii żądamy — to milczą!...
Pójdźmy Dymitrze!

(odchodzą).

Beata i Halszka z towarzyszką, Doktor Astrolab.

BEATA.

Niesforne dziecko. Darmo w gwiazdach czytam
Że z ciebie żadnej nie będzie pociechy.
Doktor Astrolab skarży się na ciebie,
Że nieuważną jesteś i niepilną,
Uciekasz z lekcyi i figle mu płatasz,
A nie korzystasz z nauk podawanych.
Mów sam Doktorze — czyli w teologii
Lub innej jakiej nauce najmniejszy
Postęp choć czyni.

ASTROLAB.

Powiem cum moerore
Że principissa Elisabeth valde
Negligens — wielce odrodna od matki
Virilis paene doctrinae muliere.
Proh dolor! nawet prawdy teologii
Niechcą się czepiać umysłu księżniczki
A gdym jęj kiedyś multo cum sudore
„De gratia” księgę łacińską tłumaczył,
Wtedy puszczała, infandum powiedzieć

Do doktorskiego mojego beretu
Owady, chrząszczem które lud nazywa
A lingua docta scarabaci dicti.

BEATA.

Niezbożne dziecko! toć cześć dla religii
Toć jest staranie o wieczne zbawienie?

HALSZKA.

Matko o pani moja! Pan Bóg widzi
Że ja nie jestem wcale niepobożną,
Modłę się rano i wieczór, jak trzeba,
Za duszę ojca i za wasze zdrowie,
Do Panny świętej koronkę odmawiam
A me świętości od Czerńców z Kijowa
Które mi ojeiec przywiózł ukochany
Szanuję święcie i wieczór i rano
Całuję szczerze. Lecz cóżem ja winna
Że nierozumiem pana Astrolaba,
A kiedy w zapal dowodzenia wpadnie
A ja nie mogę nic pojąć z dowodu:
To myślę o czem innem.

ASTROLAB.

Tak! widocznie

De aliis rebus myśli principissa. —
Wieczór, gdy gwiazd jej tłumaczę circula
I influentiam na życie człowieka
Respicit astra — ale gdy się spytam,
O repetycyą — obmutescit plane.

HALSZKA.

Bo astrologii nierozumiem także
A i nie lubię — wszakże matka pani

Mówi, że moja gwiazda nieszczęśliwa,
I tylko troski na ten świat przyniesie,
Więc ja już niechcę badać tych tajemnic
Bo gdy się ziszczą dość będzie kłopotu.
A kiedy patrzę na gwiazdziste niebo,
Na białe chmurki, co go koronkami
Słonią i nikną za wiatru powiewem:
To mi się niechce wierzyć, by te gwiazdy
Po nad któremi Bóg i Matka Boża
Nieprzyjaznemi być dla człeka miały,
One się patrzą na mnie tak przyjaźnie,
Jak gdyby drogich umarłych żrenice.

ASTROLAB.

Ecce — otóż to — ecce superstitio —
Quoties mówiłem, że chmury te blade
Są tylko ziemi zwilżonej vapores —
Że non probatum est in Theologia
Aby in coelo, które my widzimy
Angeli społem z świętymi mieszkali...

HAŁSZKA.

Ale już mówię, że nie nerozumiem
Z tych wszystkich nauk! Wy tam matko pani
Nauką w całej słyniecie Koronie
Mnie tego daru widać Bóg odmówił!
Łacińskich książek sens mi jest ukryty
Słabym rozumem ująć go niezdolałam —
Księgi mnie mierzą!..

ASTROLAB.

Quod pejus! alumna
Nieprawdę mówi. Sprenens źródła wiedzy
Które jej z morza nauki podaje

Clam książki inne, zgubne dla młodzieży
Avide legit i właśnie dziś rano
Znalazłem.

(Szuka po kieszeniach — wyciąga z kieszeni książkę i podaje księżnie).

BEATA.

Cóż to? (czyta) Thomae Aquinatis —
Przecież nie złego.

(Halszka parska śmiechem z towarzyszką).

ASTROLAB (w gniewie).

Rozumiem — rozumiem!
Delictum novum! Niosłem księżnie pani
Ariosta, dzieło, włoskiego poety
Pełne dziwacznych a niesfornych fabuł
Niegodnych umysł zaprzętać niewiasty.
Dziś rano w rękach go Halszki zdybałem.
Widać że furtim wyszedł z méj kieszeni
A dolo mało wszedł tam święty Tomasz.

BEATA.

Więc tak?

HALSZKA.

Niemiejcie, pani matko sromu!
Prawda czytałam Orlanda, którego
Pan Kochanowski czytać mi zalecił
Ale niewidzę, co tam złego przecie.
Rycerze dzielni, co niewinność bronią
I bohaterki co się mieczem mierzą
A wszystko jakoś tak jasne i złote
Jako w pogodny dzień, gdy słońce świeci.
Ale gdy pani matka zakazuje
Niebędę czytać.

(Oddaje książkę).

BEATA.

Dość tego kłopotu —

Uczyć się więcej niebędziesz, masz widać
Nieociosaną ojcowską naturę.
Teraz pocałuj w rękę Astrolaba
I za fatygi podziękuj daremne.

HALSZKA.

Dziękuję szczerze — ale niewiem matko
Za co mam w rękę doktora całować —
Czy za to że się niecierpliwił na mnie
I skargi wieczne nosił na niewinną,
Że mnie łagodnem nieprzywabił słowem
Ale odstręczał obliczem ponurym?

BEATA.

Każę. —

ASTROLAB (podaje rękę).

Ex jussu!

HALSZKA.

(Bierze za chudą rękę Astrolaba. ścisną gwałtownie — a potem całuje — Astrolab krzyczy).

Całuję z rozkazu!

BEATA.

Złośnica! Odejdź, szanowny doktorze
Odtąd już wolny, będziesz mógł twym studiom
Żyć niezależnie. — Wieczór cię odwiedzę
Aby z badań gwiazdarskich korzystać.

(Astrolab odchodzi).

Ty nieposłuszna i niesforna córo!
Do poważniejszych gotuj się przedsięwzięć

A myśli lekkie oddał sobie z głowy,
Rycerzy włoskich i panny Arjosta.
Wiedz, że twe losy bliskie rozstrzygnięcia
Że z kawalerów, co gród odwiedzają
Wybrałam tobie męża, sobie zięcia.

HALSZKA.

Ja mam pójść za męża, matko. Niemyślałam
O tem. —

BEATA.

Tem lepiej. —

HALSZKA.

I za kogoż Matko?

Jeżeli się spytać można. Od zameścia
Jak mówią, przyszły cały los zależy
Szczęście lub smutek całego żywota.
Więc trzeba wiedzieć, kto ten los podzieli. —

BEATA.

O tem rodzice stanowią jedynie
Córce posłuszną być ich świętej woli.
Lecz zkądże takie myśli wytrawione
U mojej Halszki — czy także z Aryosta?
Czy może z innąd? Słuchaj mnie dziewczyno,
Grzeszysz jeżeli co kryjesz przedemną. —

HALSZKA.

Ja nie niekryję — chociaż pani matko
Nigdyście serca mi nieokazali
Ani ufności obudzać niechcieli
Lecz nie niekryję.

BEATA.

Nieprawda Sanguszeko

Zajrzał ci w serce.

HALSZKA.

Nierozumiem matki

Książ Dymitr z wszystkich co tutaj bywają
Najlepiej mi się podoba — ni słowa —
Był to rówieśnik mój i jako dzieci
Nieraz się tutaj bawiłem w ogrodzie
A teraz chętnie mówię z nim wesoło
A gdy mu matka złe oko pokaże!
Smutno mi bardzo i radabym, żeby
Nieprzyszł wicęć, a kiedy przychodzi
Tom zła na niego. Nic wicęć —

BEATA.

Ja myślę

Że wkrótce wicęć przychodzić niebędzie.
Wydam cię za mąż.

HALSZKA.

Matko, matko pani

Strzeżcie się wielce, aby te gwiazd wróżby
Się niespełniły — bo gdy mnie wydacie
Gdzie moje serce nieprzyłgnie od razu:
To nieszczęśliwy ten, który mnie weźmie.
Będę złością, szatanem wcielonym
I zgubię duszę moją i zbawienie.
Wiecie, że jestem zła, mówicie nieraz
Astrolab mówi — o jeźli kochacie
Tego człowieka, strzeżcie go odemnie!

BEATA.

Poradzi na to ten, który cię weźmie.
(Ochodzą).

HALSZKA.

Więc już Astrolab niebędzie mnie uczył
Ani „de gratia“ ani astrologii.
(z namysłem).

I pójde za mąż.

(do towarzyszek).

Słyszysz pójde za mąż
Za kogo pójde? Zróbmy przegląd wszystkich
Kontytorów.

KUNEGUNDA.

Pierwszy podług wieku
Książ Siemion.

HALSZKA.

Ma lat sześćdziesiąt i siedem,
I siwą brodę i kocha mnie bardzo —
Piastował niegdyś — Poważny na ojca
Ale na męża — co myślisz Kondusiu!

KUNEGUNDA.

Nie — nie na męża. Potem książ Zaslowski!

HALSZKA.

Ach nie! to niedźwiedź — zawłókłby mnie jeszcze
Gdzieś na straszliwy zamek pograniczny
I na tatarskie kazał patrzeć harce
Niemówi słowa — a patrzy jak jastrząb,
Ja nie gołąbka ale się go boję.

KUNEGUNDA.

Pan Piotr Zborowski.

HALSZKA.

A! sensat paskudny

Niech sobie siedzi w senatorskiem krześle,

Niech się z statutem nie z kobietą żeni.

KUNEGUNDA.

Pan Łukasz Górka.

HALSZKA.

Niechcę ani słyszeć

O panu Górcie.

KUNEGUNDA.

Dla czego? — przystojny

Młody i grzeczny i wielki kawaler,

Czczony od króla, bogaty i szumny

A w takiej świecie rycerskiej przybywa.

HALSZKA.

Niechcę go —

KUNEGUNDA.

Pono Książkowi i prawdę

Rzekła, że Dymitr do serca jej przypadł

A że na Górkę przyzwolić niechcecie

To książę Sangusko jeno jest przyczyną.

HALSZKA.

Dla czego?

KUNEGUNDA.

Bo pan Łukasz Górka pono
Aplauz kniabini otrzymał jedynie!

HALSZKA.

Ja mam za niego iść? Nigdy — Kondusiu!

KUNEGUNDA.

Pan Górka długie miał z matką rozmowy
Ostatnią razą — a dzisiaj dwór cały
Już się gotuje na jego przyjęcie;
Czekać wesela tylko!

HALSZKA.

Co ty mówisz!

Ja za niego niepójde! nie! niepójde —
Ja go niecierpię. — Nie! nigdy niepójde. —
Matka mnie nieprzymusi — o nie może!
Jabym umarła z bólu i rozpacz
Jabym umarła, nimbym rękę dała!
Czemu mam tracić moją złotą wolność
Ja chcę być tutaj, z tobą, tu w Ostrogu,
Chodzić po polach — rwać kwiaty i śpiewać —
A wieczór słuchać dumek i powieści.
Mnie mąż nie w głowie.

KUNEGUNDA.

Lecz za mąż iść trzeba!

HALSZKA.

Trzeba! To potem za rok, za dwa lata
Za trzy — gdy kto mi się będzie podobał,
Kiedy przybędzie taki...

KUNEGUNDA.

Taki Dymitr!

HALSZKA.

Jeszcze nie Dymitr. — Nie! jeszcze nie Dymitr —
 Dymitra lubię, gdy grzmi na Tatary
 Jedzie na turniej — ale gdy tu przyjdzie
 To go nie lubię — poco on tu chodzi
 Kiedy na niego krzywo matka patrzy —?
 Nie, nie, nie Dymitr — inny — rycerz jakiś
 Z kruczemi włosy pod złotą przyłbicą
 Z marsem na czole — uśmiechem na ustach
 A taki wolny, rzutny, jak ptak nieba. . .
 Głupia'm dziewczyna; śmiejesz się Kondusiu
 Takiego niema — tylko w Aryoście
 I naszych skazkach. . . No! to już przepało —
 Ale ja nie chcę iść za mąż Kondusiu!
 A gdy już trzeba koniecznie, to nie chcę
 Tego pysznego koroniasza Górki
 Wolę biednego mojego Dymitra!

KUNEGUNDA.

Biednego kniazia — z dziurami w kieszeni. . .

HALSZKA.

Lubię go za to. Hojnym był, rozrzućnym
 Majątek sierał na tatarskie harce
 Turnieje świetne! Niecierpię bogatych
 A odkąd matkę widziałam liczącą
 W skrzyniach łakomem okiem złota grzywny,
 To się już patrzeć niemogę na złoto.
 Górka bogaty — nie chcę — nie chcę — nie chcę!
 Dymitr pomocy może potrzebuje
 Biedne on dziecko — często smutny bywa —

Wolę Dymitra i kochać go będę
Będzie szczęśliwy on i ja szczęśliwa.

Wasył z Dymitrem (wchodzą)

WASYŁ.

A ty tu o czym tak Halszko rozprawiasz.

HALSZKA.

Stryjaszek!

(Rzuca się mu na szyję).

WASYŁ.

Ja — ja — i nie sam jak widzisz.

HALSZKA.

Kniaź Dymitr! —

WASYŁ.

Tak — tak i z ważnemi sprawy
Tu przybywamy. — Szukamy twój matki.

HALSZKA.

Właśnie na zamek poszła z Astrolabem.

WASYŁ.

Nie to nieszkodzi — żeśmy cię spotkali
Kochane dziecko, bo właśnie i z tobą
Mamy pomówić.

HALSZKA.

A jabym stryjowi
Także tysiączne rzeczy donieść miała.

A najpierw: Już mnie nieuczy Astrolab!
Kniahini matka pogniwana na mnie,
Że niekorzystam nie z tej astrologii
I teologii, kazała mu przestać.

WASYL.

A ty? tyś rada temu?

HALSZKA.

Czy ja rada?

O bardzo rada! Ale drugiej rzeczy
Trudno powiedzieć.

WASYL.

Ale wiedzieć łatwo;
Matka cię za mąż chce wydać, za pana
Łukasza Górkę.

HALSZKA.

Za Łukasza Górkę...

Ale stryjaszek na to niepozwoli —
Nie — niepozwoli. — Ja pana Łukasza
Górki niecierpię...

WASYL.

Nie — nie — niepozwolę. —

HALSZKA.

Dziękuję, bardzo stryjowi dziękuję. —
(Całuje go w rękę).

WASYL.

Ale by ciebie od Górki wybawić
Innego, jako dziewczosłąb prowadzę,

Znanego z dawna, z poczeiwego domu
A rowiennika twoich lat dziecinnych,
Kocha cię dawno — gdy pójdziesz za niego
To z rodzinnego niewydrze cię koła
A stary Wasyl, co kocha oboje,
Będzie się cieszył waszem spólnem szczęściem
(Bierze Dymitra za rękę — Dymitr klęka).

HALSZKA.

Panie Dymitrze — proszę wstać! Mój stryju
Czyliż koniecznie mam być żoną kniazia
By nie być Górki Łukasza małżonką?
Pan Bóg i serce własne mi powiada,
Że chcąc być żoną, trzeba kochać męża
Trzeba szanować go i służebnicą
Być w jego domu, w maleńkości własnej
Patrzyć na niego i widzieć w nim razem
Ojca i matkę i pana swój duszy.
Jać mam przychylność do kniazia Dymitra
A szczerą przyjaźń a po was i matce
Nikomu może tak dobrze nie życzę.
Kiedy on smutny i ja się zasmucam
Kiedy wesoly, chętnie patrzę na to
Ale sumienie mówi mi tam w duszy,
Żebym go jako męża niekochala,
Nieszanowała, jak to czynić trzeba,
Więc nie — niemogę być Dymitra żoną.

WASYL.

Kiedy go kochasz trzeciego z kolei,
Gdy mężem będzie, oddasz mu pierwszeństwo.
Górka lub Dymitr — wybór ci otwarty.
Matka już z Górką zrobiła układy
Sam król Jegomość był mu dzie wosłębem.

HALSZKA.

Więc matka moja przeciwną kniaziowi
A ja méj matce przeciwną niebędę.
Za Górkę iść niemyślę — nie! bo niechcę
Nieszczęście komu gotować miast szczęścia.
Ale wbrew matki niewejdę też w śluby
Bo tego święte posłuszeństwo broni.

DYMITR.

Kniahini Halszka tak widać niepomna
Serdecznój naszój przyjaźni od dziecka,
A choć życzliwą Dmitrowi się mieni
Na jego przyszłość bolesną nie baczy
Gdy to, co było mu nadzieją życia
Zgaśnie, lub w inne ręce się dostanie.

HALSZKA.

Będę się modlić, byście mężem byli.
Ja będę cierpieć, wy znosić umiejcie!

WASYL.

Rycerskie dziecko, widać krew ojcowską,
Lecz słuchaj Halszko. Znasz matkę kniahinę
Nieprzełamaną siłę duszy panią,
Gdy ona zechce a ja cię opuszczę
Nikt cię od pana Górki nieuchroni.
Wiem, że kniaź Dymitr dobrym będzie mężem
I chcę, by Ostróg nieszedł w obce ręce!
Moje i jego szczęście w twoich rękach
Idąc za niego przyniesiesz ojczyźnie
W Dymitrze Polsce dzielnego obrońcę
A filar silny Rusi ukochanej.
Rycerskie dziecię, Konstantyna wnuka

Gdzie indziej szczęścia dla siebie nie szuka.
Bądź mu chętna Elżbieto!

HALSZKA (podając rękę Dymitrowi).

Jestem chętna.
Chciałabym szczęścia dla niego i dla was!
Jeżeli matka ma sprzeczną niebędzie
Pójdę za niego.

WASYL.

A no! mój Dymitrze
Pocaluj rączkę — pójdźmy w imie Boże

KSIEŻNA BEATA.

(z listem w ręku wchodzi).

Kniaź szwagier — i kniaź Dymitr! Halszko moja
Możesz oddalić się.

WASYL.

Za jój łaską —
Niechaj' zostanie chwilę — jest to sprawa
Która wymaga obecności Halszki. —

BEATA.

Cóż to za sprawa może jój wymagać —?

WASYL.

Nietajna pewno jójmości bratowej
Przyczyna częstych a pilnych odwiedzin
Kniazia Dymitra Sanguszki. Wiadome
Niemniej układy obu nieboszczyków
Kniazia Sanguszki i brata mojego
Względem małżeństwa dzieci ich jedynych
A połączenia dwóch domów przesławnych!

Ja sam opiekun z nieboszczyka woli
Kniazia Dymitra wiodłem tu na zamek
A o przychylność jego dobrym chęciom
Prosiłem księżnę. Dziś czas spełnić wolę
Książęcia Ilji — więc starym zwyczajem
Kniazia Dymitra jako swat prowadzę,
Starania jego mam wspierając wolą,
A prosząc z duszy, aby Wasza Miłość
Wierna zmarłego ostatecznej woli,
Pamięcią jego rozkazów wiedzioną
Inne przeciwne porzuciła myśli
A córką swoją starym matek torem
Litewski dom ten uszczęśliwić chciała,
Jako ja wielce sobie tego życzę,
A młoda księżna przeciwną niebędzie.

BEATA.

Wielce mi cenny afekt kniazia Dmitra
A pamięć woli męża mego święta.
Ale dla tego właśnie, że tą wolą
Było, by dziecko szczęśliwem uczynić
A dziś ten związek szczęścia mu niewróży;
Matka troskliwa przyzwolić nie mogę.
Chcąc przykrość mojej odmowy oszczędzić
Księciu Sanguszcze, starałam się pilnie
O odwrócenie jego oświadczenia
Odkąd ujrzałam związku niestósowność,
Książ Dymitr niechciał widzieć.

WASYL.

Owszem widział —

I gdyby nie ja — niebyłby się pewnie
Na kwaśne księżny przyjęcie narażał.

BEATA.

Zresztą Elżbieta jest już przyrzeczoną
Jegomość panu Łukaszowi Górcie. . .

WASYL.

Co mówisz księżno! Elżbieta jest wolną —
Ja o tem niewiem i wiedzieć nie niechcę,
Ni opiekunem malowanym będę! . . .
Czy księżna zapominasz — toć przypomnę
Ale nic wtedy woli méj niezłamię.

BEATA.

Myślę, kniaź szwagier będzie za rozsądnym
By się sprzeciwić małżeństwu, którego
Sam król jest swatem.

(Podaje mu list).

WASYL.

Ho! ho! mości księżno
Będę na tyle wolnym synem Polski
By się sprzeciwić. Pisma widzieć niechcę
Król czyli papież — to mi wszystko jedno
Jam głową rodu i ojcem Elżbiety.
A co tam wasza miłość ułożyłaś
Choćby z wszystkimi królami chrześcijaństwa
I pieczęciami mądrze opatrzyłaś
To nic, gdzie mojej niezłożę pieczęci.
Jeżeli kniaź Dymitr ma odejść z koszykiem
Niech go i Górka z swoim swatem nosi.

BEATA.

Więc niełękacie się gniewów królewskich.

WASYL.

Będę się lękał, gdy mnie sejm osądzi.

BEATA.

Zobaczym kniaziu!

WASYL.

Zobaczym kniabini!

Póki się podnieść może siwa głowa
Koroniasz w zamku ostrogskim niesiedzie.

(Do Halszki)

Ty moje dziecię — nie troszcz się zbytecznie,
Bo Łukasz Górka mężem twym niebędzie.

(Halszka całuje w rękę stryja i płacze).

Patrz na to dziecię. — Ty patrzysz jęj szczęścia
Dumna kobieto — czy te łzy to szczęście?
Nie na to Ilji, brata mego córą
Pókim żyw jeszcze!

BEATA.

Tu do mnie Elźbieto
Matka ci każe. Żegnam moich kniaziów!

(Odechodzi z Halszką).

WASYL.

No miły kniaziu! teraz Halszka twoja.
Jakem Ostrogski! masz mą rękę na to!

(Kurtyna spada).

AKT DRUGI.

Na zamku Ostrogskim.

Komnata księżny Beaty.

Astrolabus, księżna Beata.

ASTROLABUS.

Terque, quaterque felix dies ista
Jak zapisano w księdze gwiazd niebieskich.

BEATA.

Dobrze doktorze. A mój córki gwiazda.

ASTROLABUS.

Felicissima. —

BEATA.

Chwała Panu Bogu

Konstellacye zmienione.

ASTROLABUS.

Ad leonem

Zbliża się. —

BEATA.

Bo też i „Leon“ się zbliża.

Idź mój doktorze!

(Astr. odchodzi).

Pan Górka dziś wieczór
Obiecał przyjazd. — Rzecz bliska skończenia.
Ale ogłędnie trzeba ją prowadzić
Bo księżę Wasyl gotowy na wszystko.

(Klaszcze w rękę. — marszałek wchodzi).

BEATA.

Straż ustawiona?

MARSZAŁEK.

Na rozkaz kniahini

BEATA.

Przy bramach straż podwoić i armatek
Dwie poustawiać przy każdej na blankach
Niech tam straż z wieży opatrzone ma oko
Nikogo nieprzypuszczać aż za hasłem,
Gdy powie hasło, mnie przynieść i dalszych
Czekać rozkazów.

MARSZAŁEK.

Rozumiem kniahini. (n s.)
Inne my hasło znamy mościa księżno.

(Ochodzi).

BEATA (patrzając na zegar ścienny).

Tak późno. Górka nieprzyjeżdża jeszcze
Chowaj Boże nieszczęścia. Miał tu przybyć
Z brzaskiem wieczora — teraz północ blisko
A nieprzybywa. — Książ Wasyl oddawna
Z swoim Sanguszką żarłocznie spogląda
Na moje kufry napelnione złotem.
Halszko!

HALSZKA (wchodząc).

Co każe mi pani a matka?

BEATA.

Byłaś ty u spowiedzi?

HALSZKA.

Byłam, matko
I w Bogu ufność pokładam, że odtąd
Będę wam dobrą i posłuszną córką.

BEATA.

Ubieraj się Elżbieto!

HALSZKA.

Matko — pani?

BEATA.

Wdzięj białą suknię, co ma ślubną była,
W dziesiątej szafie na lewo — na kartce
Napis przeczytasz, że to moja ślubna,
I tobie ona dziś na ślub posłuży.

HALSZKA.

Ślub! pani matko!

BEATA.

Cicho! żadnych fochów

Fochy po ślubie dla męża zachować —
Idź się ubierać — niech ci przypną wieniec,
Panny cię dworskie do ślubu powiodą.
Pan Górka w krótkim przybędzie momencie.

HALSZKA.

Matko?!

BEATA.

Ni słowa! Nieczas tu na lament —
Wszystko gotowe — pośpiech nam potrzebny
Bo niebezpieczna każdej zwłoki chwila.
Chcę — bądź posłuszną! Ubieraj się Halszko!

HALSZKA.

Nie! ja niepójdę — nieruszę się z miejsca
Matko! niepójdę — niepójdę do ślubu!
Niezabijajcie mnie! Błagam na wszystko
Na cienie ojca, na niebo i Boga,
Jeżeli w sobie serce Matki macie.
Muszę być nieposłuszną — muszę — muszę —
Bo nienawidzę tego Pana Górki
Niech do rozpaczy mnie matka niewiedzie,
Bo moja dusza na waszej zacięży.

BEATA.

(Klaszcze w ręce — Kunegunda z kilkoma pannami wchodzi).

Z szafy dziesiątej na lewo tam — szatny
Ślubną wam suknię wyda. W nią ubierzcie
Kniahinię Halszkę.

HALSZKA.

Matko, czy ty myślisz —
Że ja „tak“ powiem przy ślubie. Ha! ha! ha!
Suknię weselną wtłoczą na mnie sługi
Ale któż słowo z ust wydrzeć potrafi?
Nikt mi niewydrze! nie! bo w głębi duszy
Czuję, że prawo mam, by się sprzeciwić
I niedać wepchnąć w nieszczęście na wieki.
Nie! przed ołtarzem ja zęby zacisnę
A piersi moje będą milczeć wiecznie!
Lecz ten na krzyżu, co patrzy z ołtarza

A wielką boleść mej duszy widzi
Ten nas rozsądzi!
(Odechodzi — i wraca).

HALSZKA.

Matko! matko — moja!
Zgrzeszyłam bardzo! Uniosłam się wielce,
Bo bardzo, bardzo mnie serce bolało —
Podniosłam głos na siwą waszą głowę...
Dziś w dzień spowiedzi. Wielka moja wina!
Lecz ja was kocham, matko, kocham szczerze!
I na kolanach błagam was! litości!
Niechciejcie mej zguby i nieszczęścia
Tego człowieka! Nieciągnijcie w przepaść
Biednej Elżbiety! Ja tak zła niejestem,
Ja czuję w sercu, że mam skrzydeł dwoje
Które ku światu i ku niebu biją —
Ale wy nigdy mnie niedali ująć
Temi skrzydłami tego, com powinna
Kochać na ziemi... O niechciejcie teraz
By pękło serce, co was kocha w głębi —
Nieodpychajcie Halszki matko pani!

BEATA.

Gołębiech gruchań słuchać niemam czasu.
Córka — posłuszną bądź rodziców woli.
Idź się ubierać.

HALSZKA.

Tak... Pójdę więc matko!
Ale co mówić zakaze sumienie
Tego niepowiem. Pójdę do ołtarza,
Ale powrócę tą samą, co jestem
A kto niezważy na moje milczenie
Ten świętokradzkim splami duszę czynem.

BEATA.

Mniejsza o ceremoniał — moja Halszko!

(Halszka odchodzi).

BEATA.

(Idzie ku oknu — za którym raca błyska).

Jadą.

(Kunegunda z pannami przechodzą).

Ubierać kniahinię co prędzěj —
I wy w świetalne ubierzcie się szaty.

MARSZAŁEK.

Podług rozkazu wpuszczono rycerzy.

BEATA.

Ale ich hasło? hasło?

MARSZAŁEK.

Ruś i Litwa!

BEATA.

Co to ma znaczyć? Ha! zdrajco!

MARSZAŁEK.

Ruś, Litwa!

(Wychodzi).

BEATA.

Tentent koni słychać.

(Beata biegnie ku oknu).

Ha! nieznajomy jakiś poczt. Pan Górka
Miał przyjechać samoczwart.

KUNEGUNDA (z kobietami dworu).

Księżno pani!

Gwałt, rozbój, napad. Cały zamek w ruchu!

Powiadają, że czambuł Tatarów —

O mój Boże!

BEATA.

Gorzéj niż Tatarzy

To książę Wasyl —!

(Upada na krzesło).

HALSZKA (wbiegając).

Matko! matko! matko!

Panie! ratuj!

BEATA.

Precz żmijo odemnie!

Zabiłaś mnie!

HALSZKA.

Ratujcie! Ratujcie!

Mówi od rzeczy! Zawołać doktora!

BEATA.

Precz odemnie! Zabiłaś twą matkę!

O zabiłaś — zabiłaś na wieki!

Żmijo! — odejdz mi ztąd żmijo!

Nieprzytulaj się do mnie!

HALSZKA.

Matko! — Matko!

To ja córka wasza, pani Matko!

Wasze dziecko! co was kocha bardzo!

O ja biedna...

BEATA.

Przeklinam cię! przeklinam! przeklinam!
Gdzie są ludzie? Ha! wszyscy zdradzili
Nawet córka mnie własna zdradziła —
Ale po mym trupie — po mym trupie! ...

HALSZKA.

Matko! matko! czego chcesz odemnie?

BEATA.

Ty się pytasz? bezwstydną.

HALSZKA.

Bezwstydną!

O ratujcie ona jest w malignie!

BEATA.

Precz! precz! zmijo! Znosić się na matkę
Rozbójników wołać na swą matkę — !

(Słychać tętnienie kroków na wschodach).

HALSZKA.

Ha! rozumiem! Więc matka o córce
Mogła myśl tak przypuścić straszliwą!
Matko! matko! na dziewietwo moje
(klęka i wznosi rękę do przysięgi)
Na grób ojca, na pradziadów kości,
Na zbawienie méj duszy po śmierci
Na Najświętszą klnę się Maryą Pannę
I na Boga i Trójcę jedyną
To nieprawda! przeklnij mnie inaczej!

Wasył i Dymitr (ze światą wchodzą).

HALSZKA.

Precz ztąd! Jój Mość matka moja chora
 Niezamącać ciszy jój komnaty!
 I to stryj mój i to kniaź Sanguszko!
 Jako zbójce wjeżdżają na zamek
 Gwałcąc strażę i niesfornym tłumem
 Napelniając stary gród Ostroga!
 Precz ztąd mówię, matka moja chora!

WASYŁ.

Łatwo twoim przebaczanym słowem
 A miłości poczeiwěj ku matce.
 W wrogięj tutaj nieprzychodzim myśli
 Jenó srogą zmuszeni potrzebą
 Wojennego użyłim fortelu.
 Kiedy w zamku wjeżdżaliśmy bramy
 Łukasz Górka nadjeżdżał samoczwart
 W ciszy nocnej, by pod jój zasłoną
 Księżnej Pani dokonać zamiarów —
 Wzięty dzisiaj, jutro puszezón będzie.
 Ale słowo dał Wasył Ostrogski
 Że się księżnej zamiary niespełnią
 I dotrzymał. Teraz, raz ostatni
 Jako zwyczaj starodawny każe.
 Prosim księżny o jój zezwolenie,
 Żaden opór tutaj niepomóże.
 Więc błogosław i pójdziem do ślubu.

BEATA.

Błogosławić będę memu dziecku
 I przepraszać, żem go posadziła
 O ohydne sprzymierzenie z wami.
 Pójdź ma Halszko! błogosławię tobie

Serce złote masz, i nieugięte.
Ale temu zbójcy i bandycie
Co pogwałcił gościnności prawa
Ręka moja krzyża niepołoży
Na zbrodniczem i wszetecznem czole.
Wy moc macie, róbcie, co możecie.
Bóg i sędzia widzi wszystko z góry
A na ziemi namiestnicy pańscy
Winnych kary dosięgną piorunem!

WASYL.

Gorszy pono, co winę wywołał
Lecz sumienie niech każdego sędzi.
Wy kniahini, chcieliście gwałt zadać
Córce waszój, mojej, ojca woli.
Więc też gwałtem gwałt wasz odpieramy
Nieuczenni we włoskich fortelach,
I nieznając sztuk królowej Bony,
Wjechaliśmy z rycerską drużyną
Gwałtu w grodzie nieczyniąc nikomu.
Bo przyjazna nam zamku załoga.
Wjechaliśmy we świetalnych szatach
Bo wesele, jak widać gotowe:
Panna ślubną ma suknię na sobie
A kaplica od światel się jarzy.
Błogosławcie, kniahini Beato
Bo daremne opory i gniewy.

BEATA.

Kończcie gwałtem, gdyście gwałt zaczęli,
Kończcie gwałtem, by pioruny niebios
I przekleństwo uciśnionój matki
Więcej skutku i siłyabrały!
Ja niepójdę i ona niepójdzie —

Więc nas weźcie rycerską prawicą
I ponieście jak zmarłe do grobu.

WASYL,

Nie, niesłucha Bóg złośliwej mowy
A człek prawy z przekleństwa się śmieje:
Kto raz w życiu dobrą niebył matką
Niema prawa użyć téj godności.
Niechcecie błogosławić, mniejsza o to
Moja ręka przychylna i stara
Nowożeńcom niech pobłogosławi.
Pójdźmy teraz. — Halszko! podaj rękę...

HALSZKA.

Nie! kniaź Dymitr dzisiaj zbójcą został
I potérał siwą matki głowę —
Wstyd mój zdeptał nogami jak zbrodniarz,
Więc też gardzę nim jako zbrodniarzem.
A Ostrogska, Konstantyna wnuka
Z nim przed ślubnym niestanie ółtarzem.

WASYL.

Ho! ma Halszko! myślisz, że kniaź Wasyl
Niewieściami się miękczy gniewami,
A gdzie z poczem po pannę zajędzie
Tam bez panuy, jak zmyty powraca.
Chcę i każę.

(Bierze ją za rękę i daje Dymitrowi).

DYMITR.

Halszko! Halszko moja!
Pójdźmy, pójdźmy!

HALSZKA. (Wyrывая rękę).

Gardzę wami kniaziu.

Nieba wzywam, jako gwałt czynicie
Mojój woli!

DYMISTR (chwytając ją za rękę)

Później pomówim o wzgardzie
Lub o miłości — mój piękny sokole!
Żelazna ręka rycerska cię trzyma
Pójdź do kaplicy.

(Bierze ją w pół i prowadzi ku kaplicy).

BEATA (zatrzymując ich).

Stójcie! jeszcze chwilę!
Słaba niewiasta niebędę walczyła
Z gwałtem. Niechaj was wielki Pan Bóg sędzi!
Niech świat osądzi, jak bez czei i wiary
Przyjechaliście, jak horda tatarska
I moje dziecko wleczenie jak brankę.
Niech dzieje Polski ten przykład haniebny
Podadzą wiekom, jak rycerz, książę Litwy
Z prastarój władców litewskich rodziny
Jako rozbójnik napadł gród niewieści
I z niewiastami wojował ohydnie.
Niech dzieje sądzą, mnie patrzeć i milczeć
Lecz, matka, prawa mam tyle do córki
By jój powiedzieć słowo przed tym krokiem
Który rozstrzygnie cały los jój życia —
Na całą wieczność bierzecie mi dziecko
Dozwólcie chwilę ująć z téj wieczności —
Niech ją pożegnam.

WASYL.

Żegnajcie, kniahini.

Jeżeli na długo żegnać jój niechcecie
To złamcie upór wasz i waszą zawiść.

BEATA.

Moją nienawiść poniosę do grobu.

(Bierze Halszkę za rękę — i prowadząc ją do ołtarzyka stojącego po lewej stronie sceny — mówi przytłumiono i cicho:)

A moja Halszka także ją do grobu
Poniesie z sobą. Nieprawdaż? Ma córka
Pamiętna będzie hańby swój i gwałtu
Pamiętna siwych włosów swój macierzy
Zesromoconych ręką świętokradzką!
Moja Elżbieta będzie tą niezłomną
Nieprzeblaganą, nieujętą niczem
Jaką się w chwili strasznój pokazała
Kiedy jój matkę nogami zdeptano.
Będzie tych wielkich błogosławieństw godną,
Które nań zlewam! Córko! córko moja!
Ty będziesz taką — ?!

HALSZKA.

Będę, będę, będę!

BEATA

Przysięgnij na tę Matkę wszęj boleści
Na rozpiętego Chrystusa na krzyżu.
Że się nieugniesz niczem, będziesz wierna
Pamięci mojej i twojej sromoty,
Że nienawidzić go będziesz jak godzien!
Że twoje serce niezadrży litością
Gdy go grom kary u twych stóp powali;
Bo gdybyś drgnęła miłością, współzuciem.
To ci ten siwy włos rzucę w twe oczy
Przekleństwo matki na głowę ci rzucę —
A Matka Boska odejdzie od ciebie
A Bóg nad tobą laskę sądu złamie —
Przysięgnij, Halszko!

HALSZKA.

Przysięgam!

BEATA.

Idź teraz!

(Ochodzą wszyscy — Beata rzuca się w krzesło).

ASTROLAB.

(Wchodzi i podaje jej elixiry do ocucenia).

Nefanda dies!

BEATA.

To ty Astrolabie.

Oszukałeś mnie strasznie!

KONIEC IIgo AKTU.

AKT TRZECI.

W zamku księcia Dymitra.

Halszka siedzi na przodzie sceny zaczytana w księdze pobożnej —
Dymitr w tyle sceny.

DYMITR.

Dziś trzy miesiące po ślubie — Elżbieto.....
O tyś niezgięta, kamienna niewiasta!
W moich ramionach gorących jak piekło
Lodowem zimnem mroziłaś pierś moją,
Że mi opadły bezsilnie, z przestachem,
Jakbym mogiły świętości naruszał.
Stoję jak dzieciuch, ha! ha! ha! jak dzieciuch,
Jak zwierz wstrzymany spojrzeniem człowieka;
Pókiż tak będzie? — Elżbieto! Elżbieto!
Pókiż tak będzie? Rozgryzłaś mi duszę
Rozbiłaś mężki hart i wolę męża,
Dosyć zwycięstwa — niewytrzymam dłużej!
Spojrz się inaczej — raz przemów inaczej
Życie i duszę za jedno spojrzenie!
Życie i duszę! Stary we mnie człowiek
Szyderczo śmieje się ze mnie i woła,
Żem ja oszalał... O pewniem oszalał,
Zgłupiałem, mózg mój zagniółł się na głowie,
I pierś się moja rycerska zapadła.....
O tyś mnie zmogła — a zmogła na wieki!
Niepoznaję się więcej..... ja nie Dymitr:
Hulaszczy Dymitr — wrę gniewem na siebie
Lecz gdybyś chciała o! tobym przed tobą

Splakał złe wszystko, co na duszy ciąży
Jak małe dziecko i ja byłbym czysty
Jak małe dziecko.

Czego chcesz odemnie!

O ja zły byłem brzydki i swawolnik,
Kobieta brudna, była dla mnie chucią,
I ty, ty nawet — Patrzałem na ciebie
Jak jastrząb na gołębia — Ale teraz
Ja czuję, że dziś jaśniutki Archanioł
Wylata z piersi, by się ująć w skrzydła...
Tylko mi niemilez i spójrz się inaczej...

Nieodpowiadasz! Halszko! Halszko moja
Pan Bóg tak zrządził, żeś moja; że gwałtem
Że grzechem moim, to prawda — Lecz Halszko,
Ja gwałt gołębią nagrodzę słodyczą
Grzech mój odkłęczę i łzami zaleję
Chociażby płonął strasznie, jako piekło!
Ja będę dobry — dobry i łagodny
Anieli w niebie ucieszą się ze mnie
A ty na ziemi. Czuję, że potrafię
Miłością moją stać się takim silnym
Jak inni ludzie silni są wielkością —
Czuję, że niebem twoich świętych oczu,
Jeśli się ku mnie przyjaźnie rozchyłą
Polecę w niebo i gwiazdy zdobędę...
Ale ty Halszko miej litość nademną!
Nieodpowiadasz?

HALSZKA.

Wielkie sądy Boże,
Co nas złączyły, by nas ukarały,
Tę jedną tylko mogę dać odpowiedź.

DYMITR.

W twojej jest mocy przebłagać te sądy,
Niebo otworzyć Dmitrowi i sobie!
Zbawić człowieka duszę i w spokoju
Stróżem Aniołem stać mu się na zawsze
W twojej jest mocy zbawienie człowieka
I ty się wachasz?

HALSZKA.

Przysięgłam na własne,
Że podług czynów waszych wam odpłacę,
Jam karą niebios tylko — nie zbawieniem.

DYMITR.

Czyż mogła tyle zmienić jedna chwila?
Wszakże ten sam ja jestem, com był przód
Przyjaciół domu, rówieśnik twój młody —
Tylko cię kocham bardziej, stokroć bardziej!
Czarności mojej niemogę dopatrzeć
Od owej chwili — owszem, lepszy jestem —
A skruchy czuć niemogę, bo dziś jeszcze
Gdyby mi przemoc ciebie odebrała
Jabym znów poszedł zdobyć cię przemocą.

HALSZKA.

Wszystko zmieniła jedna gwałtu chwila.
Pomiędzy wami i mną — przepaść głucha,
Samiście przepaść tę straszną otwarli
I w jej ciemności rzucili twarz matki
I ojca widmo i cześć mą dziewiczą.
Jam jest shańbiona, ja czysta i dumna
Niewieścią cnotą, jak pannie przystoi...
I wy niewiecie, jaka wasza zbrodnia!
Serce me dla was zamilkło na wieki,

Krew młoda w jednej zatrula się chwili,
Na naszą przeszłość padł kir niepamięci
I znam was tylko od czasu méj hańby.
Idźcie Dymitrze — idźcie z oczu moich
Boleć mnie tylko i płakać na wieki.

DYMITR.

Płakać na wieki — gdy szczęście tak blisko
Gdy te ramiona moje, czuję dobrze
Nieba przychylić mogą ku twój skroni,
A w mojej piersi tyle życzeń dobrych
Ile w ojcowskiéj chyba, co zastygła!
Kiedy w méj duszy czuję, że raj nieba
Nieumną ręką umiałbym otworzyć,
I takim światłem cześci cię spromienié
Jak świętą pańską! Chcesz płakać na wieki!
O Szatan mieszkał w duszy twojéj.....

HALSZKA

Kniaziu!

Niech święte słowo z ust waszych niewyjdzie!
Świat mego szczęścia runął mi na wieki.
Jedna go chwila zniszczyła do szczętu:
Prawda przedemną twarz swą odsłoniła.
Jedna jest tylko droga na tym świecie
Powinność tylko! Biada mi, żem może
Niezawsze świętój strzegła powinności
A mojej matce krnąbrną była córką:
Teraz mi srodze pokutować za to,
Cierpieć i milczeć. Wy kniaziu Dymitrze
Ugnijcie karku przed sądy Bożemi
I bądźcie mężem w znoszeniu boleści.

DYMITR.

Nie! ja chcę szczęścia — chcę miłości waszój,
Ja ją mieć muszę, choćby duszę stracić
Tyś moja, moja! ty musisz być moja!
Czy piekło, czyli niebo ma pomagać.
(Porywa ją w ramiona).

HALSZKA.

Wyście mężczyzna — siłę w dłoniach macie,
A jam bezsilna, złamana i smutna
Łatwe zwycięstwo.

DYMITR (puszcza ją).

Niechcę takich zwycięstw.
Nie! nie! Przebaczenie szalonemu człeku
Co taki niski i mały przed wami.
Idźcie, Elźbieto — a módlcie się za mnie...

HALSZKA.

Będę się modlić — Spokój z wami kniaziau!
(Odechodzi).

DYMITR.

Ze mną spokój — Człowiek zezarowany
Niema spokoju — błąka się jak upiór
W komnatach zamku, czyli niedosłyszany
Szelestu sukni — albo gdzie przez okno
Cienia postaci niedojrzy z daleka.....
Ja niewiem — niewiem — co się dzieje ze mną,
W Dymitrze niema dawnego człowieka:
Tamten zginął gdzieś w stepach za Tatarem,
W kielichu na biesiadzie się utopił,
Lub u dziewczęcej gdzieś kosy zawisnął —
Niema go. Jam się urodził na nowo,
Zaczął chłopięce lata i postarzał

I schylił głowę od wielkiego trudu.....
Czasem się dawny człowiek we mnie ruszy
Tobym ja wtedy miecz porwał ze ściany
I zabił tę kobietę, aby widzieć
Jakie czary są w jej sercu krwawem —
A potem szalał — szalał gdzieś po ziemi —
Ażbym w stepowym gdzie usnął kurhanie...

ODACHOWSKI (wchodzi).

Kniaziu!

DYMITR.

Każ mi konia dać — najdzikszego
Konia z méj stajni.

ODACHOWSKI.

Panie, panie miły!

DYMITR.

Słyszysz — ja konia chcę — konia! powietrza!
Ten dach się wali na mnie — w piersi ciasno —
Konia! Marszałku!

ODACHOWSKI.

Nieszczęsna godzina.
Gdy nowa pani weszła w zamku mury.

DYMITR.

Milcz stary! kilka razy już słyszałem
Jakoś narzekał na nią. Milcz mi stary!
Czołem twem siwem przed nią. Konia! konia!

(Odchodzi).

W Knyszynie.

Zygmunt - August — Uchański biskup — Zebrzydowski biskup — Marcin Zborowski kasztelan Kaliski — Łukasz Górka Wda Poznański i kilku innych Senatorów.

ZYGMUNT AUGUST (do Łukasza Górki).

W grochowym wieńcu zostaliśmy oba
Panie Łukaszu.

GÓRKA.

Mniejsza już o wieniec
Królu a panie. Mnie to serce boli
Że taki srogi gwałt uczynion pannie
Wielkiego rodu i pięknej jak gdyby
Helena grecka.

ZYGMUNT AUGUST.

Toć trzeba nam dzisiaj
Grecką wyprawę na Parysa czynić
A kniaziom moim prawa poczuć ciężar.
O unią krzyk powszechny od dwu wieków
A kiedy wiązać chce ludy braterskie
Król małżeństwami to nieszczerstwia jeno
Na nowożeńców młode głowy leca!
Boże się pożał. Jedni godni drugich
W wścieklój zazdrości, w nienawiści dzikiój
W niechrześcijańskim gniewie i sprośnościach.
Aleć król Zygmunt nieustąpi kroku
I co ma dopiąć, co mu Bóg rozkazał
To musi dopiąć. Cierpiał on, niech inni

Cierpią — bez cierpień niema unii świecie,
 Chyba w wieczności gdzieś... gdzie cierpień niema.
 Obiecałem Jój Mości nieboszczce
 Daj jój niebo wiekuisty Panie,
 Że połączę dwa bratnie narody:
 I co siły dotrzymam jój słowa —
 Kiedy umrę bezdzietny i smutny
 Bezpotomny Jagiełłów następca,
 Niech nad moim i Barbary grobem
 Krew bratymczych plemion się nieleje.
 Ale jako Bóg nas niegdyś złączył
 Na złączenia dwóch ludów przeobraz,
 Tak niech Litwa z Polską się połączy
 W jedno wielkie chrześcijańskie ciało
 Kościelnemi powiązana śluby,
 A to, co mnie bólem życia było
 Niechaj stanie się szczęściem téj ziemi.

MARCIN ZBOROWSKI.

Amen, królu. Bóg daj by tak było!
 Aleć bracia nasi, pany Litwy
 Już dziedziczną ku nam tchną zawiścią.
 Jako nowy tego dowód mamy.

ZYGMUNT AUGUST.

Bijcie w piersi dłonią, koloniasze
 I wam niebrak dumy i zawiści
 A dziedziczne obie nienawiści.

MARCIN ZBOROWSKI.

Starsza siostra w Chrystusa kościele
 Służebnica Pańska od lat wiele
 Słusznie w bożej hierarchii ludów
 Po przed Litwą miejsca się domaga
 A pierwszeństwa w Chrześcijaństwie żąda.

ZYGMUNT AUGUST.

Kędy miłość, tam niema pierwszeństwa.

MARCIN ZBOROWSKI.

Kędy miłość, tam nieczuć pierwszeństwa.

ZYGMUNT AUGUST.

Macie słuszość, Kasztelanie miły
I uważcie, czyli wasza mowa
Tak miłosna, że nieczuć pierwszeństwa —
Niechaj strony przed tronem się stawiają.

JEDEN z HALEBARDNIKÓW.

Jej Mość Księżna na Ostrogu sama
Z mowcą swoim Panem na Czarnkowie!

DRUGI HALEBARDNIK.

Jegomość Książę Wasyli z Ostroga
Z Odachowskim obrońcą przybywa.

(Księżna Beata z jedną — Książę Wasyl z drugiej strony wchodzi —
Księżna Beata w żałobnych sukniach).

ZYGMUNT AUGUST.

Cześć niechaj będzie matczynój boleści.
Księżno Beato — proszę się — Mąż, ojciec
Na senatorskich zasiadali krzesłach,
Czemuż by miejsca ich córka i żona
Strapiona wielce nie miała zasiadać.

BEATA.

Nie! Na kolanach przed tronem jest miejsce
Strapionój, srodze uciśnionój matki
A pokrzywdzonój w swym skarbie jedynym
W swego drogiego dziecięcia osobie.

Tu na kolanach klęczeć będę, królu
Siwe me włosy do stóp wam rozścielę,
I stopy wasze rękami oplotę
Póki niestanie się zadość mój krzywdzie,
Póki głos matki niewywoła zemsty
Na zbrodniczego domu gwałciciela,
Póki grom kary, co w waszój drży ręce
Promieniem winnej niedosięgnie głowy.

ZYGMUNT AUGUST.

Księżno Beato! otrzyjcie łzy wasze
I uspokójcie gwałt waszego bólu,
Król o serdecznem ręczy wam współczuciu,
A dziecię Ilji, daj mu niebo Panie!
Bliskie mu serca, jako własne dziecię —
Toć sprawiedliwość pełna się dokona,
A kara winnych dosięże niebawem.
Siadajcie Księżno.

WASYL.

Jeżlić Król Jegomość
Przed sprawą taką odzywa się mową;
To niepotrzebna pono i obrona.
Alem ja ufny, że jakie tam kolwiek
Związki was łączą z niosącą żalobę
To one waszój prawości niezmieniają.
Nieznanych widzę senatorów wprowadzić
Głowy — koronnych samych widzę braci
Alem ja ufny, że, gdy unia bliska
A utęskniona dla obu narodów
To oni nowym potwierdzą dowodem
Wielkie sąsiednich ludów pobratymstwo:
Gdy niepotwierdzą - no! to nowa próba
Że Polska Litwie siostrzycą niebędzie.

MARCIN ZBOROWSKI.

Kniaziu Ostrogski, nie łatwo z przypadku
Losy narodów obójga wyciągać,
Z prywaty rzeczy publiczne uczynić
A nienawiścią, z prywaty wyssaną
Zarażać Polskę, spólną macierz naszą:
Jeźliście człowiek poważny a prawy
Niekładźcie Polski do prywatnej sprawy!

ZYGMUNT AUGUST.

Niechaj wystąpi aktor i obrońca.

(Występuje z strony Księżny Czarnkowski — z strony Księcia
Wasyla Odachowski).

CZARNKOWSKI.

Gdyby nie wielkość krzywdy wyrządzonej
Przytomnej tutaj Księżnie na Ostrogu
Wdowie po świętej a sławnej pamięci
Książęciu Ilji, gdyby nie konieczność
Bronienia krzywdy wielkiej a żalosnej
Starożytnemu zrządzonej domowi
Nigdybymć pewnie, ja nieuczny prawa
Trudnego na się niebrał obowiązku
By nieść żalobę Księżnej przed Majestat.
Lecz szlachcie wolny a enoty obrońca
Jako w harc chętnie za nią bym wyjechał
Tak ci i słowa mego nieposkapię
A miast wymowy niech za mną się wstawia
Słuszna ma sprawa u stóp Majestatu.
Wiadomoć królu i koronne pany
Czem dom Ostrogskich bywał téj ojezyźnie
Czem kniaź Konstantyn bywał a kniaź Ilja
Nieszczęsnej pani téj małżonek zmarły.
Jeżelić drogą pamięć ich ojezyźnie

Toć jako dobra macierz serce tkliwe
 I dla nieszczęsnej córki nieść powinna
 Wątlęj gałązki wspaniałego szczepu.
 Wiadomo Polsce co się z tą ostatnią
 Szczepu Ostrogskich latoroślą stało.
 Gwałtem niezbożnym w cudze ręce padła
 Na wieczną własną i matki swój boleść
 A na szkaradny potomności przykład.
 Węzły rodziny zdarł Dymitr Sanguszko
 Tu obecnego kniazia zmocniou siłą,
 Przemocą, w poczie uzbrojonych ludzi
 Najechał wielkich bojarzy grodzisko
 Wdowie komnaty żołnierstwem napełnił
 Przemocą pisklę wydarł z matki łona
 I niósł na hańbę do pańskich ołtarzy,
 Tam, gdy pamiętna hańby i zniewagi
 Niechciała ślubnej odmówić przysięgi
 Bohaterskiego Konstantyna wnuka,
 Książ Wasyl za nią świętokradzkim słowem
 Przymuszonemu odpowiadał księdzu!
 I w tymże poczie, strzeżona jak zbrodniarz
 Wśród gołych szablach miał ślubnych pochodni.
 Wśród szczęku broni, miał muzyki dźwięków
 Omdłona panna jechała na zamek
 Gdzie rozbójniczy z nią książ przemieszkuję.
 Poco słów więcej — kiedy zbrodni tyle!
 Nieszczęsne dziecko zmarłego Eliasza
 W łzach i boleści — matka opuszczona
 Po dwakroć wdowa, leżąca w żałobie.
 U stóp twych królu — prawo pogwałcone
 Najświętsze związki rodów potargane —
 Najokropniejsza przyszłość, co nas czeka
 Jeżeli swawoli i zbrodni rość damy,
 Niech mówią za mnie Najjaśniejszy Panie!
 Cnota niech mówi, wstyd, godziwość stara,

I Pan Bóg gromy gotujący w górze —
Jeżeli ta zbrodnia bezkarnie mu ujdzie,
To pomsta Boża nieśpi tam w niebiosach,
Ale już wtedy bodaj nie nas wszystkich,
Nie samą głowę winnego trafiła! . . .

(Beata klęka przed królem).

ZYGMUNT AUGUST.

Wstań księżno pani i spocznij w boleści —
Prawo nam każe obrońcy wysłuchać.

ODACHOWSKI.

Wiele lamentu, najjaśniejszy panie
A skarg niewieścich i zawodzeń głosy
W świątnicy prawa, gdzie mężowie sądzą
Obżalowanym niemiałą są wróżbą.
Dla tego starzy ano zakazali
By takie głosy niemąciły ciszy,
Gdzie sprawiedliwość świętą wagę trzyma.
Aleć gdy król je miłościwy znosi
Nam niewyrzekać, prosić tylko trzeba
By drugiej strony niegłuszyły głosu.
Co pan Czarnkowski usłuznym językiem
W usługach księżny powiedział uczenie,
Na to ja prostym odpowiem rozumem,
Nie prawnik żaden ni orator mocny
Lecz jako człowiek co zna rzecz i ludzi.
Sztuk ja wymowy nieznam ni sposobów
Jak ręce łamać lub do łez poruszać;
Aleć ja księżnę Beatę znam dobrze
I księcia Ilię nieboszczyka znałem,
Księcia Dymitra dziecko, piastowałem;
A co ja mówię, mówi Ruś i Litwa.
Więc na Dymitra coś kniazia powiedział

To kłamliwemi, wszetecznemi usty
 Rzekłeś, znać panów nieczując litewskich
 By ci zamknęli obelżywe usta.
 Panię to dobre a wielkiego rodu
 A gdy ród jego w królewskim obliczu,
 Coć dziwno człeku, wagi nieobudza,
 To niech go czyny rycerskie zalecą,
 Tatarskie harce i wielkie usługi,
 Które na kresach republiki nosił,
 Niech go zaleci ta hojność książęca
 Co mu niedała zamknąć młodej dłoni
 Gdy republika pomocy żądała!
 Lecz dosyć o tem. Nasz kniaź nie rozbójnik!
 A że za stryja opiekuna wolał
 A podług kniazia zmarłego układu
 Spokojnie niemógł dojść do swego celu,
 Gdzie afekt serca i myśl ojca wiodły,
 Że przeciw księżnej przytomnej knowaniom
 (Których, że tutaj niespomnę, powaga
 Mnie królewskiego broni majestatu),
 Zbrojnego hufu użył swych rycerzy
 Z umiarkowaniem atoli i względem
 Jak na dobrego rycerza przystało:
 Toć nie kto inny jeno księżna winna!
 Obyć ją Polska jako Litwa znała!
 Tę panię dumną, co męża niepomna,
 Wodze puszczając pysze i łakomstwu
 Chciała potargać układ starodawny,
 I sławę domu Ostrogskich zaprzedać.
 Nie! oratora skarg jój obyczajem
 Litości tutaj niebędę ja żądał,
 Ani niewieściem jękiem wywoływał
 Echa przyjazne w judicium królewskim:
 Lecz kto knowaniem się tajemnem brzydzi,
 Kto woli zmarłych winną cześć oddaje,

Kto czuje boleść obrażonej dumy,
Kto swe klejnoty umie cześć domowe,
Komu zasługa cenna i ród ojców;
Kto się podstępem i łakomstwem brzydzi
A woli prostą a otwartą drogę;
Ten kniazia czyny pochwali w swej duszy,
A własne serce dopowie mu reszty,
Czego, człek prosty, powiedzieć niemogę.

ZYGMUNT AUGUST.

Kniaziu Wasylu! zuchwała to mowa,
Obrażająca cną książęcą panią
Obelżywemi, niegodnemi słowy
Chroń was sam Pan Bóg by uszy królewskie
Drugi raz takiej niesłyszały mowy.

WASYL.

Koronne pany, senatory wielkie
Coście słyszeli, jako pan Czarukowski
Kniazia Dymitra darzył zbójcy mianem
Koronne pany, siwe Polski głowy,
I was chroń Boże, by z was może który
Niestął się wkrótce celem takiej mowy!
Niebawieć mnie tu dłużej królu panie,
Kędy prywata do sądu się wkradła
Tam jak przed widmem sprawiedliwość niknie
I wagi łamiąc do nieba ucieka.
Ale na Boga i najświętszą Pannę,
Co po nad Rusią święte berło trzyma
Jeżeli ma takie być ludów złączenie,
Przekłęta chwila, gdy się trzy narody
Pod Jagiellonów połączyły berłem.
Jeżeli wy wielecy koronni panowie
Takiemi chcecie braćmi być naszymi;
Przekłęta chwila, gdy nieprzyjaźń padła

Co oddzielała nas od polskiej ziemi!
Teraz niebawie mi dłużej, mój królu
Sądźcie i radźcie, nam czekać wyroku —
Jaki on będzie — przewidzieć nietrudno,
Gdzie płacz niewieści za ustawę stoi:
Aleć go będziem czekać w spokojności,
Kto wierny sobie — kary się nieboi —.“

(Odchodzi z Odachowskim).

ZYGMUNT AUGUST.

Racście głosować zebrani sędziowie
A choć słowami kniazia oburzony;
Radzę i proszę, by w sąd wasz nieweszła
Prywata albo nienawiść narodów
Łączyć nie drażnić, kochać nie potępiać,
Sądzić bez gniewu i karać bez złości
Otoć jest ludu chrześcijańskiego cnotą
A godłem naszej ojczyzny i domu
Więc na bok rzućcie srom wasz i zawiści
A słowo nasze niech będzie miłosnem.

MARCIN ZBOROWSKI.

I w karze słusznój jest miłość pokoleń,
Gromi jednego — plemiona ratuje —
Dziś przedewszystkiem gdy gwałty i zbrodnio
A wszystkich świętych węzłów pokalanie
Ostatnią grozi ojczyźnie zagładą
Gdzie w dom ojczysty wśliźnie się ohyda
A bezwstyd świętość rodzin podkopuje,
Gdy dumny nierząd głowę żmij wznosi
I gmach ojczysty trzyma brudnem ciałem,
(Bogdaj nierunał w tym strasznym ucisku),
Dziś ręka mądra, co gadziny tępi,
Co drzewo państwa z pasożytów czyści,

Co w progach domów, przy domów świętościach
Z płomiennym mieczem archaniola stoi
Ręka to święta — ręka dobroczynna —
Będą jój późne błogosławić wieki.
Jeźlić przesławni państwa luminarze
Wodze maluczkich i niskich sterniki
Gwałcą najświętszą rzecz, bo wstyd kobiecy,
Matki pokoleń płochością zatrują,
Zbeszczeszczą przeszłość i przyszłość znieważą.
Jeźli bezkarnie świętości domowe
Poteźny przybysz, niesłychaną zbrodnią
Skala i czystość rodziny zatruje:
Toć jako z góry wysokiej na pola
Ojczyste jady zepsucia pocieką,
A kiedy wślizną się w każdy zakątek
I każdą ciszę domową zamącą,
Przepadło wszystko, boć z domów świętości
Wielkość rodzinnej wyrosła nam ziemi —
Gdy ta skalana, anioł stróż narodu
W niebo powróci skrzydłami białemi!
Więc kto najpierwszy tę świętość pogwałcił
Niech padnie królu, i niech jego głowa
Od gwałcicieli nas innych zachowa,
Niechaj podpadnie wyrokowi infamii,
A świętej ziemi kędy cnota rosła
Niech dłoń wszeteczna i brudna nieplami!

ZYGMUNT AUGUST.

Znam waszą prawość — Marcinie Zborowski
A wiem że mąż z was ukuty z granitu,
Aleć napomnę. Rachujcie się dobrze
Nimli miecz prawa zdejmiecie ze ściały.
Bo biada temu, który go najpierw
Ze świętej litości pochew wydobędzie.

Raz wydobyty może ostrzem krwawym
Na karku jego potomków usiedzie.

M. ZBOROWSKI.

Biorę miecz prawa — a niedrży mi ręka :
Boć mi tak rozum a sumienie każe
A pókim żywy, pierwszy zawsze będę
Stać w nieugiętym wypełnianiu ustaw
A moja ręka niezadrży, gdy Bóg da
Nawet nad syna rodzonego głową!
Straszliwe czasy — pewnej trzeba ręki!

ZYGMUNT AUGUST.

A wasze vota, cni senatorowie?

PRYMAS.

Ideę za radą pana kaliskiego
I dla przykładu pierwszego w Kownie
Śmierć i infamią wotuję.

BISKUP UCHAŃSKI.

Ja moje
Wotum dodaję. Kniazia Ostrogskiego
Mowa mnie kloni.

INNY SENATOR.

Ja radzę zlagodzić
Wyrok na samą bannicyą. —

INNY.

Bannicyą?
Aby kniaz Gliński urosł nam powtórnie.
Ideę za zdaniem pana kaliskiego.

INNI.

I my idziemy.

ZYGMUNT AUGUST.

Ja ręce umyвам —
Bóg was niech sądzi, panowie koronni.
Aleó zaklinam raz jeszcze, jeżeli
Nienawiść jeno wiedzie was do sądu,
To wasze dzieci odpowiedzą za to.

MARCIN ZBOROWSKI.

Niechże krew jego na me dzieci spada.
Czystym i w sercu prywaty nienoszę.
Aleć w téj naszej ojczyźnie swawolnej
Jeżeli prawo żelaznym niebędzie
To się zamieni w trok, co nas powiąże.
Dla tego, skoro wyrok zapadnięty
Większością głosów, ja sam go wykonam.
Jeżeli go sądy nieznajdą ojcyste,
Boć nie czas wtedy pożar wodą gasić
Gdy dom sąsiada dach mego zapali —
Piorun co runął dziś na brata głowę
Jest wieszczem tego, który mnie obali.

ZYGMUNT AUGUST (wstając).

Obyście sobie wróżby niewyrzekli —

(Ochodzi — za nim inni).

ZMIANA DEKORACYI.

Na zamku księcia Dymitra.

Halszka, Kunegunda.

(Halszka siedzi nieruchoma, w osłupieniu głębokim, milczy).

KUNEGUNDA.

Kniahini! — Droga kniahini! — Elżbieto!
Halszko!

(Halszka milczy).

Boże, żal się lat jój młodych,
Że tak w boleściach i trosce mijają.
Kniahini Halszko, toć raz dajcie pokój
Niewieścim płaczom i gniewom niewieścim.
Książ Dymitr wielce was kocha, z miłości
I z rozpaczania chwycił się tych środków.
Nie samo niebo było w zamku matki,
A gdyby Dymitr nieporwał was z grodu
Już pana Górki bylibyście żoną.

HALSZKA.

Nie! ja nieplaczę — patrz — suche mam oczy,
Niewieścim łkaniem niedrżą piersi moje,
Jestem spokojna — patrzę się w mą hańbę
Jak sokół w słońce i oka niepuszczam.
Powinnam patrzeć — pozostaw mnie dziewczę...

KUNEGUNDA.

Żal się młodości waszój, panie Boże
Macie wzrok dziwny — szklannego połysku,

Choroba wewnętrzna wypiekła wam usta
I wypaliła pieczęć na jagodach.
Ogień nurtuje wam, nie krew po żyłach,
A i pan Dymitr blady jako ściana,
Marszczki mu czoło porały młode,
Grzech to, tak Bożej sprzeciwiać się woli.

HALSZKA.

Precz ztąd odemnie. Niechcę takich radezyń,
Halszka kniaziowi wiary nieprzysięgła
A więc mu nigdy powolną niebędzie.

KUNEGUNDA.

Zgubicie siebie i jego zgubicie!
Nieszczęsna matka, co wam życie struła,
Co z was przysięgę tę straszną wymogła
Przeciw krwi młodej i duszy tęsknocie,
Przeciwno szczęściu, które miłość daje;
Wiem, ksiązę Dymitr niewstrętnym jest dla was,
A teraz, kiedy tak smutny i blady
To serce w głębi bolem się wam ściska
A wasza dusza pęka wśród cierpienia
A wasze usta klamią duszy waszój.
Wy macie litość i miłość dla niego.
Lecz was przysięga jako wąż obwiła
I struła żywot obojga na wieki.

HALSZKA.

Nie! Ja niecierpię go, ja nienawidzę —
Ja go przeklinam! żadnam jego kary —
Ja — ja niebędę spokojna — aż piorun
Prawa w zbrodniczą jego skroń uderzy
Aż siwa głowa matki mój się pomści
I stara grodu ostrońskiego chwała.
Aż — aż!

KUNEGUNDA.

Kłamiecie duszy waszój, księżno!
Sercu kłamiecie!

HALSZKA.

Idź — idź — idź odemnie
Ja chce być samą!

KUNEGUNDA.

Biedne! biedne dziecię!
(Odechodzi.)

HALSZKA (pada przed obrazem Maryi.

Królowo nieba, obrońco bolesnych
Matko boleści, Ty mnie nieopuszczaj —
O! Ty mnie ratuj — Ty niedaj zapomnieć
Jaka mnie sroga spotkała sromota
Niedaj zapomnieć słów mojej przysięgi
I Twojej twarzy w obrazie w Ostrogu
Co się na straszny jego czyn patrzała.
Niedaj zapomnieć gdy on będzie blady,
Smutny, gdy będzie oczy płonącemi
Patrzył i mówił — To dla ciebie było!
Kiedy mnie porwie w gwałtowne ramiona
I słyszę bicie jego serca głośne
Potwierdzające jego straszną mowę...
Ty mnie nieopuszczaj — O! daj mi w tej chwili
Kamienną głowę i głowę nieczułość
Pozwól by ręka wtedy miała siłę
Odebrać ranę i zaszarpać w sercu
Które się goi pod jego spojrzeniem!
Pozwól je zdzierać i krwawić bez końca
Jakem powinna, jak mi ślub mój każe.
O niewypuszczaj mnie, Dziewico łaski,

Liljo czystości, ucieczko strapionych
Orędowniczko pragnących ratunku!
O nieopuszczaj mnie, biednej niewiasty!

(Słychać kroki).

Krok jego słyszę — krok cichy, ponury...
I drzę. O czemu kusiciel go odział
Najokropniejszym z wszystkich wdzięków, smutkiem?
Póki był dziki — gwałtowny — szalony —
To miałam puklerz wzgardy i jak skała
Stałam w uporze. Dziś się w bluszczy zamienił
I koło piersi moich się pierścieni
Dziecinna duszą — dziś rycerska duma
Zgasła, swawola zniknęła rycerska,
Pokorny ugiął wysokiego czoła
I mówi: kocham! i patrzy mi w oczy
Czyli współczucia iskry niewywoła...
O czemuż wtedy jako śnieg przed słońcem
Wina topnieje, a z lodów uścisku
Kwiaty i wonie pełne upojenia
Lecą do duszy.

(Kroki zbliżają się ku drzwiom).

Ha! idzie. Żelaznem

Bądź serce moje!

DYMITR (z listem w rękę).

Kniahini Elżbieto!

Z ucieszoną do was przybywam nowiną —
A chociaż gromkiej dla mnie ona treści
Bogdaj bym chociaż nią dzisiaj zasłużył
Na przyjaźniejsze raz w życiu spojrzenie.
Chęci wasze spełnione. Król jegomość
Wymierzył karę — Oto list Wasyla!

HALSZKA (biorąc list).

Śmierć i infamia! ha!

DYMITR.

Śmierć i infamia.

Dopięła księżna celu swojej zemsty
I mój tęsknocie stało się zadosyc.

HALSZKA.

Śmierć i infamia! Niechcę waszój śmierci
Kniaziu Dymitrze — niechcę waszój śmierci!
Spieszcie z ucieczką do granicznej ziemi,
Choćbyście więcéj zrobili mi złego,
To przecię waszój niechciałabym śmierci,
Bóg tego niechce i wiara niekaże.
Ratujcie się mój kniaziu — zaraz — zaraz
Wyjedźcie — niema chwili do stracenia. —
Miecz kary wisi wam nad młodą głową.
Ja do stóp króla rzucę się pokorna.
Przebłagam matkę, by was uratować —
Niewstanę z kolan, aż mi król przyrzecze,
Że i włos z waszój nieupadnie głowy.
Jedźcie! na Boga! jedźcie, kniaziu miły!

DYMITR.

Więc wy doprawdy nieradzi nowinie
Księżno Elżbieto!

HALSZKA.

Jedźcie! niepytajcie!

Ja niechcę waszój śmierci — wielki Boże!
Ja niechcę śmierci!

DYMITR.

Niechcesz mojej śmierci

O, to ja żyję — żyć będę na wieki!
Bo każda chwila będzie wiekiem szczęścia!

Halszko! ty pójdziesz ze mną, pójdziesz ze mną
W przepaście piekła, a ja razem z tobą
W otchłań wygnania, ale razem z tobą!
Ja ciebie złamię, jako skałę twardą,
I z piersi wydrę ten serca dyament
Choćby nałożyć głową, choć żywotem!
On mój, mój będzie, ty mnie kochać będziesz,
Ty niechcesz mojej śmierci, w twojem oku
Zabłysła bojaźń, jak niebieska gwiazda,
Jutrznia miłości. Ty mnie kochać będziesz
Bo mnie nie nienawidzisz, moja Halszko!
Prawda, ja byłem złym i lekkomyślnym,
Rozrzutnym, dzikim, szalonym młodzieńcem,
Lecz teraz czuję, jak miłość ku tobie,
By archanielskich dwoje skrzydeł białych
Rośnie mi z piersi i wznosi ramiona
Ku tobie Halszko, która płyniesz ku mnie
Jak biały anioł nadziei i cnoty!
Ja cię niepuszczę! o! trzymać cię będę
Póki ta miłość, co mnie duszę pali
Spólnym oboje obejmie płomieniem
Boś mnie ty niebem, szczęściem i zbawieniem!

HALSZKA.

Litości kniaziu! Puśćcie mnie!

DYMITR.

Niepuszczę!

Tyś moja, moja! Ty mnie nieopuścisz!
Ty będziesz moja! Ty niechcesz mej śmierci!
Tyś drżała, kiedyś list kniazia podawał
A potem rzekła mnie: Niechcę twój śmierci!
Żem w głosie twoim słyszał chóry nieba
I jasny promień słonecznej radości
Pierwszy raz przedarł się w ponurą duszę.
Patrz jako dzieciuch klęczę tu przed tobą

I dawny rycerz śmieje się z dzieciucha,
Kłęczę i słucham jeszcze twego głosu:
Niechcę twój śmierci. O w proch mnie ugniotłaś
Moja dziewczyna — ale cała siła
Spotęgowana leci mi w ramiona
Aby cię objąć i niepuścić więcej!
O! ja niepuszczę!

HALSZKA

Litości! litości!

Na miłość boską zebrzę was litości
Nademną litość miejcie i nad sobą!
Wszędzie was mściwa dłoń matki dosięgnie.
Wszędzie grot prawa trafi nieuchronny.
Ja go zatrzymam, ja zbawię was kniaziu!
Powiem królowi, żem ja waszą żoną,
Żem nią być chciała, powiem, że was kocham
Jako się godzi żonie! o kolana
Króla oplotę ramiona błagalne
I płaczem zmiękczę serce króla pana!
Król nas połączy — będziemy szczęśliwi,
Elżbieta będzie wam żoną do śmierci.
Puście mnie, błagam, błagam was na Boga.
Na prochy ojców!

DYMITR.

O moja gołąbko!
Świta gotowa! do Czech pojedziemy!

HALSZKA.

O jeżeli mnie kochacie, jak mówicie,
Jeżeli ta miłość was uszlachetniła
Jeżeli podniosła — błagam na tę miłość —
Puście mnie — puście — ja wrócę do matki!
Inaczéj śmierć was czeka. — Na kolanach
Błagam was kniaziu, jeżeli moją miłość

Posiadać chcecie — będziecie ją mieli
Wielką, potężną; pierwszą i ostatnią
Jaka w Elżbiety duszy mieszkać może!
Będę was kochać, jako wierna żona
Jak prawa żona — jako zbeszczeszczona
Kochać niemogę, bo mnie Pan Bóg broni!
Na miłość Boską! puście mnie Dymitrze!

DYMITR.

Nie! nie! mój ptaszku, nie! ptaszku mój rajski!
Szczęście raz pierwszy śmieje mi się w życiu
Więc jak białozór łapię w lot to szczęście.
Niechcę przyszłości — bo przyszłość daleka.
Wygnanie śmieje się ku mnie nadzieją
Piękniej niż nieba ojczystego błękit!
Bo mnie ty kochasz.

HALSZKA.

: Kto mówił że kocham?

Nieumiem kochać tam, gdzie niepowinna.
O! próżną marą niełudźcie się kniaziu!
Bo nieszczęśliwi będziemy oboje.

DYMITR.

Oboje Halszko! oboje! Pójdź ze mną!
Nie mnie niewstrzyma. Jedziem na wygnanie.

HALSZKA.

A więc ponawiam raz daną przysięgę
Bogu i matce: Serca mego skarbu
Nigdy kniaź Dymitr z piersi nieodobędzie!
Przysięgam Bogu i Bogarodzicy.

DYMITR.

Pójdź Halszko moja! Żegnaj zamku stary.

(Odchodzi).

Zasłona spada.

AKT CZWARTY.

W Nimbargu — w Czechach.

Komnata kniazia Dymitra.

(Dymitr na pół ubrany — leży na łożu — przy nim Odachowski).

ODACHOWSKI.

Panie mój miły — co wam?

DYMITR.

Będę chory

I bardzo chory. Umrę może — umrę —
Umrę i będę spokojny. Tylko mnie tu
Źle będzie leżeć w Czechach w obcej ziemi,
Więc mnie zawieź do domu — pogrzeb w kniei
Albo gdzie w szczerym stepie — nie w kościele —
Bo ja infamis jestem — nie w kościele
Bo wszyscy święci z nią tylko trzymają
A Matka Boska najbardziej. Ale w stepie
Mnie gdzie pochowaj — każ kurhan usypać,
Na kurhan przyjdą cztery świata wiatry
I będą szumieć w trawiskach kurhanu
Albo husarze wylecą na kurhan
Patrząc za szlakiem i wieczny spoczynek
Powiedzą twemu umarłemu panu.

ODACHOWSKI.

O! tak pomarnieć dla jednej niewiasty!
Schnąć na wygnaniu, chorzeć i umierać!

Niemówcie panie, że chcecie umierać
Bo stary sługa wasz jak dziecko płacze
On co nieumie płakać...

DYMITR.

Płacz mój stary —
Przecież ktoś płacze za mną. O! chcę umrzeć
I niechcę znowu. Strach mnie grobu wielki
I Pana Boga i żal mi umierać,
Bo mi żal świata. Chciałbym jako wydrzeć
To serce moje z piersi, by umarło
A ja żył jeszcze... Chciałbym się położyć
I spać — spać długo — a potem się zbudzić
Niepomnając mego wczora — gdzieś na koniu
Na moim Djabie karym, czy pamiętasz
Mego karego?

ODACHOWSKI.

Pamiętam! koń dobry —
Najlepszy ze stada.

DYMITR.

Otóż na mym Djabie
Chciałbym się zbudzić z kordem ojca w ręku,
Z hufem rycerzy — step by woniał rano —
A światło słońca płynęło po rosie.
Wtedybym sztandar rozwinął na wiatry
I leciał naprzód, naprzód na południe —
Aby raz uciec od Halszki z Ostroga
I od jej grodu — leciałbym na przelaj
Aż ku Czarnemu morzu!

ODACHOWSKI.

O! nieszczęsna
Halszko z Ostroga!

DYMITR.

Niemów mi nic na nią —
 To święta Pańska — a jam nie jest święty —
 Ja potępiony — dla tego to od niej
 Chciałbym uciekać na mym karym Diable —
 W step, w step daleko! Niemów mi nic na nią!
 Ona niewinna — ona sprawiedliwa —
 Anioł jój strzeże. Słuchaj, ja niedawno
 Tu na wygnaniu już nad nią widziałem
 Tego groźnego mściciela anioła...
 Jak mnie odpychał od niej. Ona święta,
 Ona się modli ciągle, jak się modli
 To taką siłę ma, że moja siła
 Ginie jak szatan u krzyżowój drogi.
 Ona mi kiedyś rzekła: Jam przysięgła,
 Niechciejcie abym złamała przysięgę!
 I założyła dwie ręce na piersi
 I patrzała się ku mnie tak niebiesko
 Że ja poszedłem i choruję odtąd...
 I umrę sobie już, aby spokojna
 Była przedemną.

ODACHOWSKI.

Ależ panie miły!
 Ona zgubiła waszą jasną młodość,
 Zatrula żywot i zdrowie zatrula.
 O niedaruję ja jój niedaruję.
 Czyż trzeba było, aby Dymitr młody
 Tak życie tracił dla jednéj niewiasty,
 Schnął na wygnaniu i nie miał w nagrodę
 Nawet niewieściej miłości i pieszczot
 Coby mu ciężkie tułactwo słodziły.
 Pan mój, co godzien był królewskiej córy,
 Litewskich książąt potomek przesławny,
 Aby nie ginął i więdnął tak marnie...

DYMITR.

O! marnie — marnie — prawda Odachowski...
Toż srom mam do niej i żal i płakałbym
Że mnie tak prędko mężki hart odbieżał
Gdyby lzy moje niebyły słabością.
O tak oszaleć — tak zgłupieć jak dzieciuch
Odbiedź wszystkiego, zapomnieć o wszystkim
Jak staruch jaki, co wziął żonę młodą...
Mnie — mnie — młodemu, silnemu jak olbrzym.
(Zrywa się).

Mnie, com kopije łamał, jako pręty
I najsilniejszych miotał w piach wé szrankach!
O dość mi tego! Gdyby można wrócić
To życie dałbym za stary rysztynek
A postawiłbym duszę za mój oszczep...

ODACHOWSKI.

Bądźcie spokojni, panie. Doktor kazał...

DYMITR.

Doktor — ha doktor! Teraz mnie doktory
Kują do łóżka! Niewytrzymam w łóżu.
Niejestem stary dziad...

(Wstaje i upada na półko).

ale dziad młody!

Taczam się jak pijany...

(Wstaje znowu).

Chcę powietrza

Chociaż w obczyźnie — daj mi rękę stary
Może od Litwy jaki wiatr zawieje
Co Białowieskie przelatywał knieje —
Daj rękę stary. —

(Odechodzi z Odachowskim).

Mieszkanie księcia Dymitra Sanguszki.

Komnata Halszki.

HALSZKA (sama — wieczór).

Cieężko mnie, ciężko bardzo — o za wielki
Krzyż Pan niebiosów na me barki włożył.
Póki był silny, możny, dumny, wielki
Łatwo mnie było rzucić go od siebie.
Ale wygnańca, co biedny i chory,
Opuszczonego od wszystkich na świecie,
W proch ugiętego — a z miłości dla mnie —
Trudno niecierpieć i jak lwa co kona
Nieczułą nogą pchnąć w wybladłe czoło.
Nie — to za wiele. O biednam niewiasta,
Ptakby nademną upłakał powietrzny!
Lecz jako widmo gdzieś z tamtego świata
Przysięga moja stoi między nami,
A gdy już wzniosę ku niemu ramiona
To mnie mroźnemi odepchnie dłońami
I w proch mnie rzuci, zrywając zawiązki
Z ran mojej hańby, co nigdy niezasechną. —
(Idzie ku drzwiom i mówi z cicha).
Kondeczko! Kondziu!

KUNEGUNDA.

Cicho! książ spoczywa...

HALSZKA.

Pójdź tu na chwilę — powiedz co tam chory?

KUNEGUNDA.

Zda się, że lepiej. —

HALSZKA.

Chwała, chwała Bogu!
I spokojniejszy. —

KUNEGUNDA.

Powiedział że wstanie.

HALSZKA.

I już niemówi od rzeczy?

KUNEGUNDA.

Niemówi...

HALSZKA.

A mnie niepragnie widzieć. —

KUNEGUNDA.

Nie nie mówi —
Mówił że widział, kiedy był chor bardzo
Jakoście stali nad łóżem, jak anioł
I mówi, że was tak kiedyś zobaczy —
Lecz teraz niechce widzieć. —

HALSZKA.

Lecz tyś przecie
Mu niemówiła, że to ja tam byłam,
Nie anioł żaden.

KUNEGUNDA.

Nie! nie niemówiłam.

HALSZKA.

To dobrze. — Tutaj masz zioła i leki,
Przygotowałam jako doktor kazał
Ciepło go kazał trzymać — miejcież pieczę
By było ciepło w komnacie, gdzie leży,

A ten szkaplerzyk, czyś mu przewiesiła
Przez piersi?

KUNEGUNDA.

Zdjął go, przypatrzył się długo
I pocałował — ale go niewłożył.

HALSZKA.

Niewłożył?

KUNEGUNDA.

Łzy mu tylko ciekły duże,
Po bladej twarzy, że żal patrzeć było.

HALSZKA.

Smutno mi że niewłożył — ale niedziw
Bo w nieprzyjaznych rękach go widywał.
Idź moja Kondziu i miej o nim pieczę
A kiedy mocno uśnie, to mnie wołaj —
Chcę go zobaczyć. —

(Kunegunda odchodzi).

Biedny — biedny człowiek
I o mnie jedną, mnie bląhą dziewczynę
Tyle niedoli! O czemu klasztorna
Brama mnie raczej nieodgraniczyła
Od wszystkich burzy i zabiegów świata!
Znać ja niegodnam byłam spokojności,
Zuchwała zawsze, dzika, nieposłuszna,
A niepowolna rozkazom méj matki.
Toż na mnie sroga upadła sromota,
A siły niemam, żeby znieść ją godnie —
Nie — niemam siły.

(Upada przed obrazem i modli się).

MARCIN ZBOROWSKI (wchodzi — przybliża się do niej i staje).

Modli się — modlitwy

Przerywać niechcę. —

HALSZKA.

Słyszałam dźwięk mowy
Miałbyż być chorszy? Ha!

MARCIN ZBOROWSKI.

Halszko z Ostroga
Przyjaciół jestem — nowiny ci niosę
Z domu. —

HALSZKA.

Od matki! Z Ostroga!

MARCIN ZBOROWSKI.

Od matki!

Zborowski jestem. —

HALSZKA.

Witam was jak ojca
Gdy mnie nowiny od matki niesiecie
Siadajcie, mówcie, zdrowa macierz moja,
Zdrowa po tylu nieszczęsnych wypadkach?

MARCIN ZBOROWSKI.

Pan Bóg ją krzepi i krzepi nadzieją
Że was zobaczy...

HALSZKA.

O! Matkę zobaczyć!
Byłam złą dla niej, niepowolną córką,
Skarżyła nieraz się na mnie kniahini!
Teraz me winy odpłakuję srodze
By jeno Pan Bóg dał mi ją oglądać —
Siadajcie panie! mówcie — niemasz listu
Od pani matki — tu w obcej krainie

Tak rzadko wieści ojczystej posłyszeć
Więc stokroć witam was panie Zborowski —

MARCIN ZBOROWSKI.

Dziecię pocziwe — oto list od matki —
Z niego się dowiesz — pocom tu przyjechał,
Czytaj, bądź mężną. —

(Halszka bierze list od matki i czyta — przeczytawszy stoi niema,
osłupiała, drżąca)

MARCIN ZBOROWSKI.

Przyjechałam tutaj,
Znaleść i ująć zbiegłego przed prawem —
Krzywdę twą pomścić. Elżbieto z Ostroga
A z tobą święte polskich niewiast plemię,
Publiczna sprawa, Republiki sprawa
Kazała starcu gonić wszetecznika,
Aby na przyszłość od nich świat uchronić.
Aleć pomniący na twój ród szlachetny
Na wielką boleść i losy nieszczęsne,
(I jać mam córkę, taką jak ty Halszko)
Pierw cię uprzedzić chciałem i napomnieć
Byś pomna hańby twojej, gwałtu twego,
Nieslychanego w dziejach naszych rodów,
Mężną i serca była szlachetnego
Gdy twego zbójcę kary grom uderzy
Bo tak przystoi Konstancyja wnuce —
Matka twa biała przyciśniona smutkiem
Ojczyzna twoja, drżąca przed swawolą,
Rodzinny Ostróg zaklina przezemnie,
Co widział chwałę dziadów a twą hańbę!
Bądź mężną Halszko, cokolwiek się stanie

(Halszka milczy i stoi osłupiałą).

Pomnij przysięgi, którąś w chwili gwałtu
Przed utrapioną złożyła macierzą.

HALSZKA.

Ha!... (Po długiej chwili — głucho).
Więc ty niesiesz śmierć? —

MARCIN ZBOROWSKI.

Wyrok wykonam. —

HALSZKA.

Człowiecze! ja go — kocham.

MARCIN ZBOROWSKI.

Wiarołomna.

Cudzołożnico!

HALSZKA.

Ja!

MARCIN ZBOROWSKI.

Krzywoprzysiężna!

HALSZKA.

Widziałeś go — nie! tyś go niewidział —
Tybyś kamień był, nie człek; nie starzec,
Co ma żonę, ma synów i córki.
Widziałeś go, jak tam leży blady
Rozgryziony bólem i męczarnią,
Rozłamany tułactwa tęsknotą.
Strasznie blady — trupio blady leży.

MARCIN ZBOROWSKI.

Bóg go karze!

HALSZKA.

Niech ludzie niekarzą...
Kiedy Pan Bóg grom wziął w swoje ręce.

MARCIN ZBOROWSKI.

Jezli chory, szanować go będę
I do Polski odwiozę z staraniem.

HALSZKA.

By go zabić...

MARCIN ZBOROWSKI.

By sądu dokonać.

HALSZKA.

Starcze, starcze, ty niewiesz! On z mojej
Chory przyczyny, ja mu życie strula,
Ja go zabijam, ja kroplę po kropli
Jadu wlewałam w jego młodą duszę...
Aby dotrzymać téj strasznej przysięgi.
Byłam żelazna, starcze, nieugięta
Litości biały anioł mnie odleciał,
A kiedy przyszedł tom go odegnąła
Pamięcią przysięg, jak krzyżem szatana.
Dnie — noce całe błagałam Dziewicy
By mi niedała upaść — nieupadłam...
Na co morderców innych — ja nim była!
Ja nieupadłam, choć mi głos sumienia
Mówił: źle robisz — dwa miałam sumienia
Swoje i matki —. O! com wycierpiała...
Ale ty niechciej o! błagam na wszystko
Na Boga błagam, na żonę i dzieci
Litości starcze...

MARCIN ZBOROWSKI.

Precz hańbo Ostrogskich!

HALSZKA.

Raz jeszcze błagam — błagam was na wszystko...
Ja kocham Dmitra — wbrew światu całemu —
Wbrew matce, w pełnym sejmie powiem: kocham!
Niemacie prawa brać męża małżonce!
Niemacie serca. Blisko wam do grobu,
Niechciejcie duszy łądować na siebie,
By was trapiła w godzinie konania!
O! miejcie litość nad nim i nademną!

MARCIN ZBOROWSKI.

Niewieścim płaczom nieprzyszedłem tutaj
Folgi pozwalać — ani wiarołomnych
Szukać zaklęciów.

HALSZKA.

Tyś nieubłagany...
O tyś żelazny — jak ja była, człeku...
Ale żelazną będę i w ratunku.

(Rzuca się do drzwi i chce je zamknąć).

Służba!

MARCIN ZBOROWSKI (odpychając Halszkę).

Przekleństwo matki — waszój duszy!
Hańba pokoleń czołu twemu! Precz ztąd!
Zborowski nieda się złapać na potrzask. —

(Wychodzi).

HALSZKA (upada na ziemię — zrywa się i leci ku komnacie męża).

Dymitrze drogi! Dymitrze! Dymitrze!

DYMITR (wychodzi powoli z komnaty).

Bliskim znać śmierci, gdy głos taki słyszę
Od księżnej Halszki!

HALSZKA.

Ratuj się Dymitrze,
Uciekaj! Marcin Zborowski.

DYMITR.

Był tutaj—

A no! to słowa moje niesklamaly,
Przyszedł wykonać wyrok. Księżno Halszko,
Daj kord mój z ściany!

HALSZKA.

Dymitrze! Dymitrze!
Uciekaj! klnę się na świętości wszystkie!
Ratuj się! ratuj! Dymitrze, na moją
Miłość! Ja ciebie kocham, mój Dymitrze!
Ratuj się dla mnie — dla mnie — będę twoją,
Ciałem i duszą — cała, cała twoją!

DYMITR.

Trochę za późno!

HALSZKA.

O rany Chrystusa!
Matko! siedmioma przeszyta boleściami
Idą — uciekaj. —

DYMITR (kord biorąc).

Drogo życie sprzedam!

(Marcin Zborowski pokazuje się we drzwiach z ludźmi — Halszka
krzyżuje się na progu.)

HALSZKA.

Po moim trupie —

MARCIN ZBOROWSKI.

Z drogi mi! wyrodna...

(Halszka rzuca się na Dymitra i obejmuje go ramiony).
W imieniu ustaw chwytam cię jak zbiega
Kniazia Dymitrze!

DYMITR.

Piecz Halszko odemnie!
Zapóźna miłość! Przez wiecz do mnie droga!
Broń się Zborowski!

(Naciera).

MARCIN ZBOROWSKI.

Giń mi! gwałcicielu!

DYMITR (pada trafiony).

Ha! dobrześ trafił. — Przeklętaś Elżbieto!...

(Umiera).

HALSZKA.

Ha! ha! przekłętam — przekłeta — przekłeta. —

(Mdleje).

MARCIN ZBOROWSKI.

Trupa przystojnie pogrześć na cmentarzu
A księżnę Halszkę ocucić. — Wraz z świtem
Wrócim do Polski. — Wyrok dopełniony.

Zasłona spada.

AKT PIĄTY.

W Ostrogu.

Komnata ~~Księżny~~ Beaty.

Księżna Beata, Astrolab.

BEATA.

Odpisz mi na list Króla Jegomości
Żeć oczekuję jego wielkiej łaski
W Ostrogu moim — i radość mą wyraż
Że go dom wdowi przyjmie. Piśz, że Halszka
Powraca dzisiaj wolna i pomszczona
A temu, który względy jego wielkie,
Jako najpierwsze z zaleceń posiada
Droga otwarta — ja za nim, król za nim,
A Halszka, losu doświadczywszy złego
Chętnie w objęciu pana Górki spocznie. —

ASTROLAB.

Secundum wszelkich reguł list napiszę,
Humilitatem jungens gravitati —
Benevolentiam captans et clementiam
Suum cuique oddając honorem.

BEATA.

Potem do Górki napisz i usilnie
Proś by królewski chciał przyspieszyć przyjazd
A do wesela gotował się prędko.

ASTROLAB.

Materia nimis plena ubertatis —
Są zaprosiny na nuptiae — na gody —
Pokażę w liście próbę ingenii
Który zabłyśnie omni cum splendore
W epithalamium, sermone legato
Na ślub złożonym principissy młoděj.

BEATA.

Dobrze doktorze! będziem go podziwiać
Kiedy czas przyjdzie. — Teraz gotuj listy.

(Astrolab odchodzi).

MARSZAŁEK (wchodząc).

Jėj Mość Księżna Elżbieta z Ostroga!

BEATA (z wykrzykiem).

Moja córka!

(Halszka w żałobie — blada — wchodzi powoli z świtą).

Biedne dziecko moje!

Taka blada — zmieniona! Ma Halszko!

Moje biedne, me jedyne dziecko!

Cóż to? Słowa niemówisz do matki!

Moje dziecko.

HALSZKA (głucho).

Witam pańi matko!

BEATA.

Pójdź odetchnąć z cierpień i podróży
Własna matka ci twoja usłuży,
Spocznij — usiądź — mów do mnie ma Halszko
Chwała Bogu, ty znowu w Ostrogu,

Szczęście przyszło ból twój ci odplaci
Już się wszystko skończyło —

HALSZKA.

Skończyło.

BEATA.

Zkąd ta mowa tobie córko miła
Zkąd żałoba na szacie i twarzy,
Zkąd to zimno dla matki, radosnej
Że cię widzi i żeś już pomszczona.
Halszko moja ty chora być musisz,
Astrolaba zawołam do ciebie...

HALSZKA.

Jestem zdrowa matko i spokojna,
Wasza wola spełniona do skutku,
Wszystko przeszło — wszystko wraz z nim w grobie
Poco więcej się pytać, kniabinie?

BEATA.

Lecz ty smutna, ty chora, Elżbieto!
Ty dla matki serca nie masz, widać —
Niepoznaję cię.

HALSZKA.

Któżby się o serce
Moje pytał — o serce kobiety!
Niechaj pęknie — tego nikt niesłyszysz,
Serce niewiast do sprawy niewchodzi —
Bić zaczyna i umiera w ciszy.
Pani matko — zkąd pytać o serce —?
Jestem tutaj — myśl wasza spełniona,
Krwawą raną w czarnej trumnie leży;

Niepytajcie co potrzeba było
By ją przewieść i przywieść do skutku
Bo przywrzały całun mego smutku
Jako chmura gromem w was uderzył!

BEATA.

Córko moja miałażbyś wyrodna
Gwałciciela kochać i bannitę,
Infamisa żałować upadku
I nad czynem, co ją świata wrócił
Kazirodzcą zawodzić żalobę?

HALSZKA.

Nie, Elżbieta Ostrogska nieplacze —
Bo ten piorun, co ją w pierś uderzył
Rozgruchotał urnę łez w jej piersi
By w ponurą pustyni jej duszy
W mękach żadnej ochłody nie miała!

BEATA.

Córko, córko! dziecię moje biedne!
Wiem jak krwawy czyn cię ten przeraził,
Zniosłaś wiele — Pan Bóg ci nadgrodzi
I ta Matka Boska ci wymodli
Za twych świętych przysiąg dotrzymanie
Szczęście w życiu, twojej duszy godne,
Które zatrze przykrych chwil wspomnienie.

HALSZKA.

Dla mnie szczęście? szczęście pani matko!
A nagroda za przysiąg trzymanie?
Patrzenie, patrzenie, jak Pani bez zmazy
Jak Dziewica anielskiej miłości
Na was — na mnie — o — na mnie spoziera!

Z piekła wyszła myśl waszój przysięgi
A ukryty szatan za obrazem
Słuchał słów tych zawiści piekielnój!
A w niebiosach anioł stróż mój duszy
Pozasłaniał oczy swe skrzydłami
I odleciał mnie precz — precz w niebiosy!
Aż gdy leżał przedemną zabity,
On zabity po dwakroć — to wtedy
Anioł, duszę na sąd biorąc wieczny
Z płomienistym spłynął ku mnie mieczem
I pokazał mi, com ja zrobiła
Niemilosną, szaloną przysięgą!
Biada! biada! kto światy miłości
Nienawistną śmie zawzywać duszą!
O niemówmy więcej pani matko!

(Słychać marsz pogrzebowy i śpiew księży: De profundis.

BEATA.

Co to? Kogo ten karawan wiezie
Mimo grodu?

HALSZKA.

To kniazia Dymitra
Zwłoki z mego rozkazu prowadzą;
W familijnych swoich spocznie grobach.

BEATA.

Wszak go Marcin Zborowski pochować
Na nimburskim rozkazał cmentarzu?
Jako banaite grzebać należało.
Niemiał wrócić do Polski za życia
Niepowinno powracać i ciało.

HALSZKA.

Ja kazałam. O! czyż po za grobem
Nawet zawiść kniahini go ściga?
Trup nie szkodzi więcej — a na Sądzie
Kiedy wstanie z pękniętego grobu,
To wynajdzie nas w oteblani duchów
Choć oddalon.

BEATA.

· Dziwięć się niemało
Że pozwolił na to pan Zborowski.

HALSZKA.

Nie! przeszkodzić niemógł pan Zborowski,
Gdyśmy z ciałem książęcia ruszyli
W austryackiem już siedział więzieniu
Jako prawa wygnańców gwałciciel.

BEATA.

To twa sprawa.

HALSZKA.

Ma — kniahini matko!

BEATA.

Wieczna boleści moja i nieszczęście
Przekłęte dziecko!

HALSZKA.

Przekleństwo spełnione
Gorszego się nieboję pani Matko.

BEATA.

(Na głos trąb odzywających się z wieży i dwóch wystrzałów).

Ha! Król Jegomość! Boże! Król Jegomość *)
Halszko! na siwą twojej Matki głowę
Bądź - mi rozsądną.

HALSZKA.

Nierozumiem Matki!

BEATA.

Król tu przyjeżdża, jako swat Łukasza
Górki.

HALSZKA.

Kogoż to Księżna Matka swatasz — ?

BEATA.

Na Boga, bądź rozsądną —

HALSZKA.

Pogrzeb czeka

Przed kościołem w Ostrogu — ja za chwilę
Pójdę za trumną.

BEATA.

Tybyś miała niszczyć

Wszystkie marzenia moje od lat tylu!

Niesforna córko, wyrodku natury!

Pójdź przeciw króla ze mną — Dziś wieczorem

Z Łukaszem Górką klękiesz u ołtarza!

*) Niespodziewany przyjazd króla pana.

HALSZKA.

Żart pani Matko! Idę za pogrzebem
Kniazia Dymitra.

BEATA.

Zostań — ani kroku!

(Wychodzi).

(Halszka klęka przed oknem — z którego słychać żałobny śpiew kościelny — i modli się; — jednocześnie odzywa się dźwięk trąb i kotłów; wchodzi na scenę po chwili:)

Zygmunt August — Łukasz Górka — Ks. Beata.

(Halszka niewstaje i zostaje odwrócona ku oknu).

BEATA.

Witam wielkiego króla w moich progach,
Szczęśliwa chwila która go przyniosła.

ZYGMUNT AUGUST.

Szczęśliwą i ja nazwę, gdyście dziecko
Wasze wydarte odzyskali znowu
Choć sposób dla mnie przykry i bolesny.
Kędyż to biedne dziecię — wzdyć by Bóg dał
Aby go drugie ukoili szluby.
Aleć żalobną muzykę ja słyszę
Miałaby strata spotkać was bolesna.

BEATA.

Orszak pogrzebu Książęcia Sanguszki
Idzie pomimo. Dziw dla mnie niemaly,

Żeć ciało jego, bannity, powraca.
Mimo królewskiej się znać woli stało —

ZYGMUNT AUGUST.

Niechajże wraca w spokoju, kniabini
Ojczystej ziemi wart rycerz ojczysty
Do zabitego nietrzeba mieć sromu.

BEATA.

Smutno mi, że ten orszak na początku
Wesołość króla a gością zamącił,
Widać, książę Dymitr plaga ma za życia
W śmierci mnie jeszcze chciał trapić upornie —

ZYGMUNT AUGUST.

Spoczynek zmarłym — Kędyż Księżna Halszka!

BEATA.

Choć za winnego tyle, przecież, widzę
W głębokiej modle za nim zatopiona.
Pocziwe dziecko. Halszko, dziecię moje
Wstań, Król Jegomość przybył w nasze progi.

HALSZKA.

Król — Pani Matko — Witam Króla Pana.

ZYGMUNT AUGUST.

Halszko z Ostroga, ból wasz nas obchodzi
Jako ból dziecka — ojca rodzzonego —
Z biednym młodzieńcem grzech idzie do grobu,
Odżyjcie światu, matce i krajowi.
Bóg daj mu niebo — wam spokój i szczęście.

HALSZKA.

Tak Król Pan mówi — spokoju mu życzy
I niebios — Dobry Król Pan i łaskawy
Ja dzięki mu czynię. Pogrzeb z miejsca rusza
Muszę Książęcia prowadzić do grobu,
Jakom za życia do grobu go wiodła.
Za dobre słowo dzięki królewski Panie!

BEATA.

Halszko zostaniesz!

ZYGMUNT AUGUST.

Zostańcie przy Matce
Halszko z Ostroga. On zmarł — winą jego
Już odpłacona — wy życie dla matki.

BEATA.

Halszko! króleski zaszczyca się rozkaz.

HALSZKA.

Król Pan nie mnie nie każe. Ja królowi
Wdzięczna iż jego prochom nieprzeklina,
Że się lituje po nad jego śmiercią,
Że lepszy widzieć, niż my obie były,
Cośmy mu życie zatrąły do śmierci,
Że podług jego woli znać młodego
Takaby sroga nietrafiła kara!
Wdzięcznam królowi panu, jak innemu
Byłabym wdzięczną, biednemu człekowi.

BEATA.

Halszko!

ZYGMUNT AUGUST.

Niech mówi!

HALSZKA.

Bo dla mnie — cóż dla mnie
Nazwy te świata — Co król? Król go niemógł
Wyrwać od śmierci — król go niezratował!
Więc król u mnie nie niejest.

BEATA.

Ha! szalona!

ZYGMUNT AUGUST.

Hamujcie się kniahini!

HALSZKA.

Nie! nie niejest —
Dla mnie nie niema — tylko tam — tam wszystko —
Tam tam — i tutaj.

(Pokazuje na piersi).

Tutaj piekło moje —
Słuchajcie — dzwon mnie tam do trumny woła —
Żegnaj mi królu — żegnaj matko moja!...

BEATA.

Ani kroku! Halszko!

ZYGMUNT AUGUST.

(Zatrzymując Beatę).

Niechaj idzie w spokoju.

(Halszka wychodzi).

Okłamaliście mnie strasznie kniahini!
I wszystko wścieklój poświęcili zemście.
Róbcie co chcecie dalej — córka wasza —
Król, do niej niemam prawa. Lecz Sąd Boży

Was czeka Księżno, jeśli ją do reszty
Zgubicie waszem niemiłośnem sercem.
Chciałem by Łukasz Górka ją szczęśliwą
Uczynił. Niechaj stara się, gdy zeche,
Wielka zasługa, kto to serce zleczy,
Ale pomocy méj więcej nie dozna
Sumieniu tylko ją matki oddaje —
A Panu Bogu — Żegnam was kniahini!

(Odechodzi).

BEATA.

O dniu nieszczęścia!

(Odechodzi za królem).

ZMIANA DEKORACYI.

Zamek Księcia Sanguszkii.

Kniaź Wasyl — Odachowski.

WASYL.

No! wszystko skończone
Mój Odachowski. Nie mu już nietrzeba —
Chyba pacierzy.

ODACHOWSKI.

Żeby to jeszcze na Tatarskim tańcu,
Żeby go dzik był rozplatał na puszczy
Ale tak — niecnem niewieściem knowaniem —
Ginać młodemu — wnukowi Lubarta,

Z prastarėj książąt litewskich rodziny!
Toć gdym zobaczył, jako szła za trumną
Taka mnie boleść zdjęła i nienawiść
Żebym był rzucił ją precz — precz od trumny
Niewarta była postępować za nią.

WASYL.

Więcej tam matka winna niżli ona,
Mój Odachowski. Bogdaj, czy nie dwoje
Zgubiła razem.....

(Kunegunda prowadząc Halszkę).

KUNEGUNDA.

Wasza Mość Książęca
Raczy mieć litość nad mą biedną panią —
Ledwie od grobu kniazia oderwalim
Księżniczkę Halszkę.

ODACHOWSKI.

Późny żal zaprawdę.

HALSZKA.

Późny za późny! — Byłam w téj komnacie
Przed rokiem — on żył — lubię tę komnatę —
I ten zamek — pozwólcie mi zostać
Na tym zamku.....

WASYL.

Dwoje ich zabiła
Księżna Matka. Halszko — biedne dziecię,
Gniew i zawiść miałem ja ku tobie
Ale teraz już niemam, Bóg widzi —
Kocham ciebie, jak pierwój kochałem —
I jak mego kochałem Dymitra.
Co się stało — zapomnę — bo widzę

Że choć wielce sprzeczną mu za życia
Toś w żałobie po jego skonaniu.
A i czyny twoje ja słyszałem,
Jakoś gwałt ten bezprawny pomściła
I do Polski powróciła z ciałem
By go obca niegmiotła mogiła.

HALSZKA.

To stryj Wasyl tak przemawia do mnie!
Czy niewiecie jakam ja dlań była!

WASYL.

Dziecko Ilji! szatan cię omamił
W ciele Matki — wiem coś wycierpiała
Ja już nie mam żalu k'tobie, Halszko
I on w niebie bez gniewu na ciebie.....

(Słychać dźwięk trąby i tentent koni).

WASYL.

Co to znaczy.

MARSZAŁEK ZAMKU.

Pan Górka to z pocztem
A niemalym w koło gród obkoczył
I przez posła żąda, by w imieniu
Księżnej Ostrogskiej wydana mu była
Wdowa Księcia nieboszczyka Pana.

HALSZKA.

O! ratujcie mnie kniaziu Wasylu!
Niewydajcie mnie Matce i Górcie
Ja tu zostać chcę kniaziu Wasylu!

WASYL.

O bezwstydzcie niewstrzymany niczem,
Nawet trumną i kirem żałoby!

Wasył Górcę rękawicę rzuca
W twarz haniebną, a Księżnie Beacie
Wzgardę swoją rzuca w czoło z stali!
Księżna wdowa w zamku pozostanie —
Chce ją dostać — niech przód zamek zwali!

(Marszałek odchodzi).

WASYŁ.

Do obrony gotować się trzeba!
Odachowski!

ODACHOWSKI.

Krótką będzie walka —
Gród bezbronny.

WASYŁ.

Więc krwawa niech będzie!
(Odchodzi z Odachowskim).

HALSZKA.

Kondziu! Kondziu i mnie miecz daj w rękę!
Niedostanie mnie żywą pan Górka.
(Odchodzi).

ZMIANA DEMORACTI.

Część muru zamkowego.

HALSZKA.

(Spotyka się z Odachowskim).

Próżno bronić pono! Dziś wieczorem
Padnie zamek.

ODACHOWSKI.

Dziurawy jak sito!

HALSZKA.

Ludzi mało.

ODACHOWSKI.

Zginęła połowa.

HALSZKA.

Szlij więc kogo panie Odachowski
Do bliskiego grodu z tem pisanem.

(Daje mu list).

Niech Książ Siemion przybywa z pomocą.

ODACHOWSKI.

Siwy starzec — co mieszka samoczwart
Jaką pomoc da z pustego grodu?

HALSZKA.

Książ mnie Siemion jako córkę kocha
Znajdzie pomoc — Wskażę-ć skrytą drogę —
Milę idzie pod ziemią za zamek —
Idź, na Boga!

ODACHOWSKI.

Idę, Pani moja!

(Halszka odchodzi z Odachowskim).

ZMIANA DEKORACYI — WIECZOR.

Miejsce przed kaplicą zamkową.

Występuje Łukasz Górka — Beata i rycerze w świetle

ŁUKASZ GÓRKA.

Rzecz cudowna! Naraz zcichło w zamku —
Straże znikły — bramy się roztwarły —
W całym zamku żywej niemasz duszy —
Tylko w wnętrzu kaplicy się świeci.

BEATA.

To ostatnia zbrodnia mojej córki —
Niech wywalą drzwi do téj kaplicy!

ŁUKASZ GÓRKA.

To dom Boży —

BEATA.

Gdzie fortele knują

Drzwi wywalić — panowie rycerstwo —

(Drzwi się otwierają — z oświeconej kaplicy występuje w gronie rycerstwa — Wasyl książę — Odachowski — i Halszka z 80 letnim Siemionem).

HALSZKA.

Oto małżonek i pan mój — Książę Siemion!

BEATA.

Porwać zbrodniczą! Śmierć temu starcowi!

ŁUKASZ GÓRKA.

Dość tego Księżno! Rycerstwo mi więcéj
Kroku nieruszy. Jeżeli wam służyło
To, żem chciał wyrwać z rąk kniazia Wasyla
Córę książęcą i powrócić matce.
Boleść księżniczki widząc, króla pana
Słowa słyszawszy — niemyślałem więcéj
O ślubach z Halszką — gdyby nie wy Księżno
Niepomyślałbym nigdy. Dosycé tego!
Cześć nowéj parze! Cześć kniazciu Wasylu
Dzielny z was rycerz! Niech Litwa z Koroną
Na gruzach tego zamku się pogodzi —
A proch co w moich armatkach pozostał
Niech salwą, koniec téj sprawy ogłosi!

KONIEC.

JÓZEF SZUJSKI.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Dzieje Księstwa Warszawskiego

p. *Fryderyka hr. Skarbka.*

Tomów 2. Poznań u Żupańskiego roku 1860.

Nader mało mamy takich prac historycznych w którychby autor był świadkiem i bystrym obserwatorem swojego czasu, w którychby nadewszystko umiał przedstawić z głębszym poglądem na przyczyny i skutki, wier-ny obraz wpływów politycznych oraz instytucyi zawiadujących krajem.

Pamiętniki licznie ogłaszane, a obejmujące najwięcej okres stu lat ostatnich, są raczej zbiorem obrazków i zapisków z życia towarzyskiego, i to w szerszym lub szczuplejszym obrębie; dlatego, lubo dostarczyć mogą ciekawych rysów i szczegółów do różnych miejscowości, niedają przecież téj skończonej całości, tego wielostronnego rzutu oka, tego wreszcie streszczenia wypadków,

odniesionych do kierującej niemi przyczyny politycznej lub administracyjnej, jakie dać może w wyższém znaczeniu historya, zasługująca prawdziwie na miano: *magistra vitae*.

Na nieszczęście, z epok najbliżej nas obchodzących nie mamy takiej historyi. Całe panowanie Stanisława Augusta składa się z samych pamiętników i urywkowych pism mogących służyć za materyał, lub z obcych prac historycznych niedość wtajemniczonych w ducha narodu. O następnych epokach, lub o dziejach niektórych prowincyi przeszłych pod inne rządy, jeszcze mniej wiemy; piszący bowiem zwracali się tylko do pewnych momentów kiedy się życie narodu budziło, a od symptomatów letargu i przyczyn co go sprowadziły w codziennym rzeczy porządku, niejako odwracano oczy. Tymczasem badanie tego procesu przez jaki przechodził naród wyrwany z publicznego najszerszego życia, a w najbierniejszą bezwładność wtrącony, nastręcza tyle ciekawych i uczących postrzeżeń, tak otwiera oczy na charakter narodu, taką daje jasną diagnozę jego choroby — że nieraz deklamacyami wydają się te gorzkie wyrzuty jakie od tylu lat ciskamy na los ciężący nad nami, i na ludzi wykonywających wyrok losu. Niebędąc zwolennikiem teoryi fatalistycznej, widzę w dziejach palec Opatrzności wtenczas dotykający, kiedy poprzednie ostrzeżenia, próby i kary, niemogły sprowadzić godziny opamiętania się, albo ją sprowadzały za późno. — Po katastrofie dopiero odejmującej byt polityczny, organizacyą władz i przywilej, zostaje naga treść z tych uroków оголоcona i z niej to można dopiero wnioskować o stopniu żywotności, o siłach moralnych wewnętrznych; te bowiem powołane są do odgrywania roli wprawdzie trudnej, lecz mimo tego wielkiej i zaszczytnej, choć w dziejach zwycięstw i tryumfów niegłośnej. Ciche walki w obronie najdroższych interesów religii, języka, wła-

sności, obyczaju, walki prowadzone w jedności, i z godnością budzącą nawet poszanowanie w oczach przeciwników, dają najlepsze świadectwo że z upadkiem politycznego znaczenia pozostały żywioły organiczne.

Dziejopisowie ojczyści wymowni w opisach tych chwil w których na hasło ofiar z krwi i majątku, naród pokazywał gorącość uczuć, i gotowość poświęceń się, zazwyczaj bardzo skąpi są w dotykaniu innych stron życia że tak powiem: codziennego; kiedy upokorzenie było chlebem powszednim, kiedy wszystko cofnięte w domowe ogniska skazane na bierną nicość, bez żadnej spójni między sobą, bez cienia solidarności w najżywotniejszych interesach. Zapewne od przykrego obrazu myśl odwraca się aby szukać w piękniejszych objawach ducha, pocieszenia i chluby — ale same dytyramby życia dziejowego niedostarczają jeszcze téj nauki, jakiejby dla nas szukać należało w prozie zwykłego biegu spraw ludzkich. Cośmy robili w dniach czarnej żałoby? Czy umieliśmy zastósować się do położenia w jakie nas rzuciły wypadki, i wyciągać z niego wszystkie możliwe korzyści ku ratowaniu najdroższych własności, jakich niechce zazwyczaj szanować obca władza, kiedy w ich obronie nikt stanąć nieumie i nieśmie? Czy duch spędzony z pola walk orężnych, umiał się skupić około innych środków mniej głośnych i świetnych, a stokroć ważniejszych? Czy cicha praca rządności domowej wychowania, oświaty, gromadziła zasoby na przyszłość w którą wierzone? — Wszystko są to pytania, omijane przez dziejopisów naszych, a raczej zbywane wykrzykami na niesprawiedliwość losu. Tymczasem kto się rozpatrzy w te chwile upadków lub przejść z jednego stanu w inny — przekona się że sposobność do działań obywatelskich była niekiedy łatwa, ale nikt korzystać niechciał, wszystko się usuwało posypując głowę popiołem, i wo-

ląc przyjmować łatwą demoralizację, niż wydobyć siłę moralnej samodzielności, której źródłem wiara w siebie.

W życiu prywatnem jak publicznem, różne bywają drogi; niewiedzie się komu na jednej, niech inną próbuje; jest to najprostsza rozsądkowa praktyka, którą wskazuje przyrodzony konserwatyzm. Nieumieliśmy nigdy być konserwatystami w wielkiem tego słowa znaczeniu. Każde niepowodzenie wtrącało w bezwładność lub też w zgubne wetowanie tego, imajnacynemi siłami, co się straciło przy rzeczywistych siłach.

Jak już napomknąłem, w dziejach naszych nowszej epoki mało sobie zadawano trudu w oddaniu tego usposobienia w jakim się naród znajdował gdy przechodzi pod nowe mu prawa i instytucye, kiedy ducha jego w obce wtlaczano formy. Nikt nietłumaczył z jakich przyczyn skazywano się na bezwładną bierność, i czy widoczne były usiłowania w utrzymaniu tych własności, co mogą być wydzierane, lecz tylko znikczemniałym bez skrupułu odjęte. Działanie nowych praw, wpływ instytucyi, obcej ludności, języka, publicznego wychowania, zasługują przecież na studia o sto procent więcej objaśniające, i uczące, niżeli wspomnienia rycerskich czynów na polach bitew; samą odwagą żołnierską nieżyje i nie może żyć żaden naród cywilizowany, lecz żyje tem co zdobędzie pracą: i jednością sił solidarnie ze sobą złączonych.

Niewiem czy może być ciekawsza karta jak stan kraju naszego po upadku Kościuszki? Opisują nam zazwyczaj szeroko i świetnie o tych, co kraj opuścili, lecz o tych co w nim zostali, co przechodzili przez wszystkie formy nową, a tak różną od dawną organizacyi — o tych których kolej zmienną fortuny najdotkliwiej ciśnieła, o tych zaledwo rzucono nie nieznaczący ogólnik.

Najświeższa książka hr. Fryderyka Skarbka: *Dzieje Księstwa Warszawskiego*, skreślona jest właśnie w tym

celu aby dzisiejsze pokolenie obznajomić z wewnętrznymi dziejami tych prowincyi, co po ustąpieniu z tronu Stanisława Augusta, przeszły pod berło pruskie, a następnie pod rząd króla saskiego, a właściwie pod panowanie Napoleońskie; król saski bowiem będąc niejako lennikiem Francyi, był oraz ścisłym wykonywaczem widoków Napoleońskich dotyczących nieraz obywateli Ks. Warszawskiego w sposób lekceważący nie tylko ich interesa materyalne, ale uczucie godności, a mianowicie uczucie samoistności narodowej, które okraszone szczyptą sławy zdobytej na klęskach obojętnych nam narodów, należało do najoczywistszych złudzeń.

Można powiedzieć że w dziele tem spotykamy się po raz pierwszy z rzeczywistością, nieobwiniętą w buletyny tryumfów Napoleońskich, które dotąd ćmiły wszelki zdrowy pogląd na stan kraju i jego mieszkańców.

Jeżeli tedy ubywa nam coś ze złudzeń naszych, z drugiej strony przybywa niejedna nauka, choćby tylko ta jedna: że skazywanie się na bezwładność w oczekiwaniu jakiegoś zjawiska, co jak polityczny *Deus ex machina*, wszystko rozwiąże bez trudu — należy do najsmutniejszych symptomatów upadku ducha, i nawet w najpomyślniejszym trafie, daje jeszcze najopłakańszy wypadek. — Czy chorą i wyniszczoną osobę położysz na marach, czy ją posadzisz na rydwanie tryumfalnym posypanym kwiatami — niezmienia to istoty rzeczy.

Jak wspomniałem ze wszech względów ciekawy i nauczający to obraz przedstawiony, zaraz w pierwszym rozdziale Dziejów Ks. Warszawskiego, w którym autor pokazuje nam kraj, społeczeństwo i rządy pruskie.

Jaki był stan téj części dawnéj Rzeczypospolitej co się razem ze stolicą dostała Prusom? Łatwo sobie można wystawić. Upadek życia publicznego, a z nim upadek klasy uprzywilejowanej, której pozostała tylko uprawa roli; przemysł w kolebce, a prawie żaden; bo niebyło

innych źródeł bogactwa narodowego prócz tych, któremi ją uposażyło samo przyrodzenie. Ludność nadzwyczaj mała, bo ledwie tysiąc paręset dusz na milę; miasteczka rzadkie, bez handlu, nie niekonsumujące, gdyż sami mieszkańcy trudnili się rolą, żydowska zaś ludność opierała zyski swe na rozpajaniu i demoralizacyi chrześcian. — Rolnictwo było jedynem bogactwem. — Alić i źródła tego bogactwa niebyły tak świetne, więcćj bowiem wynikały one z urodzajności ziemi i z wielkiey rozległości pól uprawie poświęconych, jak z przemysłu właścicieli. Z resztą znaczny wywóz zboża w najświetniejszych chwilach, dowodził tylko że wewnętrzne zużycie było niedostateczne, że zbywało krajowi na środkach zamiany, i na téj rozmaitości płodów krajowego przemysłu, która jest zasadą wewnętrznego handlu. Dochody ciągnione ze sprzedaży zboża za granicą, nierozdzielały się między ludzi przemysłową pracą zajętych, a tylko szły do rąk większych właścicieli dóbr.

Przy takim braku wewnętrznego przemysłu i handlu przy małych potrzebach ludu, zawsze prawie źródła dochodów publicznych były nadzwyczaj u nas skąpe. Nigdy niebyło skarbu publicznego — a tak najzbawieniejsze zamiary, poświęcenia się obywatelskie, przemijały jak dym bez tego środka aby je mógł w rzeczywi stość zamienić.

Każda karta historii naszej potwierdza tę prawdę.

Z przyjściem rządów pruskich uregulowano podatki, i niewiele podwyższono nad postanowione przez sejm 1789 r., wszakże dążnością fiskalną nieusiłowano wysysać wszystkich zasobów krajowych; owszem po starostwach, dobrach duchownych i narodowych zaprowadzono porządek i gospodarstwo.

Autor oddaje tę słuszość rządowi pruskiemu że w ogóle postępowanie jego było łagodne i wyrozumiałe, urzędnicy pełnili powinność swoją skromnie, w obcho-

dzeniu się z obywatelstwem grzecznie, bez upokarzającej dumy, która właśnie cechowała władze rosyjskie — lecz mimotego lekceważono sobie słabość i brak spójni w narodzie — bo odrazu skasowano dawne magistratury, na ich miejsce wprowadzono nowe, a z nimi obcy język. Z administracją poszło bez trudności, z sądownictwem nieco więcej było zachodu. Sądownictwo bowiem oparte na prawach i zwyczajach krajowych, a tem samem w związku z duchem narodu, niemogło być zmieszone odrazu stósownie do widoków rządu. Jakoż obok zaprowadzonych Justitz-komisyj, czyli sądów pruskich, zachowano obok tego sądy niższe polskie gdzie się wszystkie sprawy odbywały po łacinie. Żeby zaś podkopać użyteczność tych sądów, zostawiono stronom wolność udawania się do jednych lub drugich. Skutkiem większej pilności i prędszego wymiaru sprawiedliwości w sądach pruskich niż polskich, strony wołały udawać się do pierwszych; gdy potem zaś wyszło prawo że jeżeli sądy polskie niemają dziesięć spraw na wokandzie, zwiniętymi zostaną — juryzdykcyja ta ustała r. 1799. Z tego rysu można mieć wyobrażenie jak duch publiczny musiał być słabym, kiedy od niego zależała obrona jedynéj pozostawionéj mu instytucyi, a on nieumiał jéj zachować.

Tak tedy lud odmienny rodem, językiem, wyznaniem religijnem, obyczajami, ustawami i skłonnościami, wtłoczony został w formę nowego politycznego bytu, i stał się, jak mówi autor: martwą masą, którą bez żadnéj obawy tłoczyć, przetwarzać można było, która na powierzchni wszelkie dowolne przybierała kształty i odciski...

Raptowne dokonanie zagłady cech narodowych mogłoby uchodzić za dzieło śmiałe, gdyby niewiedziano o tem że powodzenie tego kroku łatwem było na zgębionych i bezwładnych; bo chociaż niewygasła w du-

szach siła moralna, ale ta ograniczała się na tak szczupłą liczbę, że masy niedomyślały się nawet aby na jakiej-bądź zmianie uciepieć mogły. — Zresztą część narodu przechowująca żywą tradycję, i jedynie mogąca coś znaczyć, skazana na życie gnuśne i nieczynne, otoczone ponętami próżności i zbytków, stawiała się tem mniej niebezpieczną; a wśród dobrego bytu który za tych czasów podwoił dochody fortun szlacheckich, łatwo zacierała się pamięć przeszłości. Zaszła też zmiana nagła w społeczeństwie reprezentującym naród. Niedawni przewodnicy bez wszelkiego zachodu zepchnięci zostali z dotychczasowego stanowiska, i zredukowani do zera. Wyżsi dygnitarze i urzędnicy Rzeczypospolitej straciwszy znaczenie i udział w sprawach pospolitych, ukryli się w domowem zaciszu, szczęśliwi, jeśli im czyste towarzyszyło sumienie; inni wynieśli się z kraju. Dawni wojskowi szukali służby za granicą. Mnóstwo urzędników sądowych, i tych, co mieli pomieszczenie w starostwach i dobrach duchownych, teraz inkamerowanych, zostało bez chleba i musiało szukać przytułku w innych prowincjach sąsiednich; co wyludniało kraj i tak już nieludny, a nowym panom było bardzo na rękę, gdy natomiast spodziewali się przez naprowadzenie obcych kolonistów zażnać właściwy charakter kraju. Drogi to był sposób; bo osadzenie jednej rodziny kosztowało około 1000 talarów! — Celem miało być podniesienie rolnictwa, ale się pokazało że rolnictwo mało zyskało na tem, a rząd tak wielkie ponosił koszta, że mając co innego na względzie, niemyślał zapewne aby się nakład powrócił. Kolonistom tym zawdzięcza kraj wyniszczenie lasów — wielu bowiem prywatnych idąc ślepo za przykładem, zaczęło prowadzić Holendrów pozwalając im rudować lasy i zakładać osady. Najczęściej jednak gdy właściciele po latach domagali się od nich umówionego czynszu, Holendrzy zabierali się i szli gdzie indziej szukać lasów do niszczenia.

Donacye dóbr narodowych urzędnikom i wojskowym pruskim, także miały na widoku usunięcie szlachty i pozbawienie ją sposobu utrzymania się; dawni polscy oficyaliści zastąpieni zostali amtmanami, i obcymi dzierżawcami, a stosunek ich z ludem rolniczym stawał się bezpośredni.

Trudno było oprzeć się tym środkom z góry idącym, a mającym charakter zręcznego wyzyskiwania słabości i namiętności nieodłącznych od człowieka, zwłaszcza opuszczającego ręce i ciemnego na to, co się dokoła niego działo. Autor z całego tego nienaturalnego stosunku między rządzącymi a rządzonymi, wyprowadza dwa niezmiernie szkodliwe i zgubne wyobrażenia jakie się wszczepiły w umysły krajowców; jedno, że każda władza rządowa jest siłą działającą w brew życzem i potrzeb narodu, z którą zawsze w sprzeczności i wojnie być trzeba; drugie, że ludzie uczciwi i majątkowo niepodlegli niepowinni się oddawać służbie krajowej, aby się w służalców niezamienić.

Nie potrzeba przekonywać jak dwa te wyobrażenia stawszy się nałogiem, przeszły w wadę trudną do pozbycia się nawet wtedy, gdy dobro kraju wymagało aby obywatele zajmowali wszystkie urzędy. — Poszło też za tem prędkie otrętwienie siły działalnej ludzi mogących pracować w zawodzie publicznym; zaniechano kształcenie się do służby krajowej, przez co stracono wszelkie pojęcie o stanie i siłach produkeyjnych kraju.

Możnaby przypuszczać, że jeżeli dojrzałe pokolenie żywo dotknięte, usuwało się na bok, to przynajmniej przyspasabiało młode na przyszłych obywateli. Lecz i tu zwichniony był kierunek. Rodzicom zdawało się że dzieci ich nigdy niemogą ani powinny być użytymi do służby publicznej, więc też woleli je kształcić na przyjemnych ludzi towarzyskich. Francuzki język i literatura łatwo dająca się nabyć za pomocą tułających się

u nas emigrantów francuzkich, składała cały zasób naukowości; języki zaś starożytne i umiejętności ściśle, poszły w zupełne zaniedbanie.— Szczęściem ocalałe w téj powodzi przeobrażeń, szkoły i konwikta pijarskie, zaszczerpiały w młodzieży gruntowniejsze wiadomości. — Wszakże były to tylko przygotowawcze kursa do dalszych uniwersyteckich nauk; atoli na te ostatnie mało kto się puszczał, woląc poświęcić życie rozpustnej nieczynności niż pracy.

Że ten rodzaj wychowania wywierał niekorzystny wpływ na język ojczysty i literaturę — łatwo się domysleć. Rząd nie udzielał żadnej opieki i zachęty pisarzom polskim; do katedr nauczycielskich dawał przystęp li tylko swoim. — Mała zaś liczba pozostałych z czasów Stanisława Augusta uczonych lubo uprawiała naukę w cichości, nie miała komu udzielać postrzeżeń i wniosków swoich.... któż w takim zwątpieniu, liczył na naukę?

W prawdzie zdarzył się w ówczas fenomen, jakiego niemożnaby pogodzić z intencjami pruskiego rządu; fenomenem tym było zezwolenie na Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Warszawie, mające na celu utrzymywać język i badać dzieje narodu.— Lecz byłato nieszkodliwa koncessya; coż mogło zrobić Towarzystwo Naukowe, przy tak niskim stopniu wychowania młodzieży? W łańcuchu oświaty brakowało tyle ogniw, że dwie jego kończyny, niemożłyby się zrozumieć.— Do wszystkich tych środków jakich z wyrafinowaniem używał wtedy rząd pruski, aby europejskich indyan wyprzeć gdzie daleko na północ, było ustanowienie w r. 1797 komisyi hipotecznych które z taryf podatku ofiary powziąwszy wiadomość o wszystkich dobrach gruntowych i ich właścicielach, wezwały tychże do uregulowania hipotek dóbr swoich, naznaczając im prekluzyjne terminy, wysyłały komisye na grunt do zrobienia regulacyi, i wezwały wszystkich

wierzycieli do stawienia się pod utratą praw swoich.— Zdawałoby się że ugruntowanie i zregulowanie kredytu tak potrzebnego w kraju, dało powód do zaprowadzenia hipotek — lecz z późniejszego obrotu rzeczy pokazało się, że przewidzianą była przez rząd słabość nasza w nadużywaniu kredytu, a zatem i przyszła ruina nadużywających go.

Trzeba wiedzieć że za czasów pruskich wywóz do Gdańska zboża i wszelkich surowych produktów pomnażając dziesięćkroć dochody z ziemi, podniósł zarazem wartość dóbr nieruchomych; — właściciele biorąc chwilowy ten dochód za zasadę, nadali w hipotekach fałszywą podstawę kredytowi, zapominając o tem że każdy przezorny właściciel gruntowy, nie podług wartości hipotecznej dóbr swoich, lecz stosownie do możliwości uiszczenia się z długu pożyczkę zaciągać powinien.— Hipoteki stały się odtąd urzędowem omamieniem, oszukującym zarówno i dziedziców i wierzycieli. Dla większej łatwości zaszargania majątku znaleźli się ajenci banku berlińskiego którzy zleciawszy się do Warszawy, wchodzili w układy z właścicielami dóbr pożyczając im pieniędzy na własną ich zgubę.— Prócz tego wypożyczano na hipoteki majątków prywatnych z depozytów sumy małoletnich; — zgoła ułatwienia były najobszerniejsze w zaciąganiu długów. Tym sposobem wszystkie prawie dobra ziemskie obciążone zostały, po większej części nad swoją wartość; — toż od chwili kiedy ze zmianą stosunków intraty zredukowały się do zwyczajnej miary, ruina stała się powszechną, a majątki zaczęły przechodzić w obce ręce.

Był to wysoki stopień niemoralności, jak mówi autor— gdy władza z istoty swojej opiekuńcza i ojcowska, poddanych swoich demoralizuje lub z ich demoralizacji korzysta; żaden pozór dobra pospolitego niezdola usprawiedliwić takich kroków. Należało bowiem rządowi

ostrzedz lekkomyślnych, że drożyzna ziemiopłodów, przez chwilowe okoliczności przywiedziona, niemogła być miarą rzeczywistej dóbr wartości; — lecz niebyło to ani zamiarem ani interesem ówczesnego rządu; a tak byt i zamożność stały się narzędziem zagłady.

Taki obraz téj części Polski berłu pruskiemu podległej, skreślił szanowny autor ukazując mieszkańców pogrążonych w téj otrętwiałości która nierozumie nawet ani chce rozumieć co się dokoła niej dzieje, a tylko grzęźnie w zwierzęcem zaspokojeniu codziennych potrzeb, przeradzających się w zbytek i lekkomyślną rozpusztę, zwłaszcza gdy znalazły podniecię w pomnożonych dochodach i łatwości dostania pieniędzy — na kredyt. Wszystkie najdroższe interesa: język, religia, wychowanie, stanowisko społeczne, własność, wymiar sprawiedliwości — oddane zostały na łaskę. Niedziwimy się, że sobie lekceważono tych, co tak lekceważyli spuściznę i obowiązki po ojcach wzięte. . . jeszcze tak świeże w pamięci.

Stan ten prowincyi niezmieniał się w niczem, i zapewne byłby się rozwiązał okropną katastrofą wywłaszczenia polskiej szlachty, gdyby nie zwycięstwo Napoleona pod Jeną, i dalsze następstwa kroków wojennych, co przywiodły Francuzów na brzegi Wisły.

Cała ta wojna prowadzona na przestrzeni od Warszawy do Królewca znana jest z historii — Więcejby nas obchodziły szczegóły odnoszące się do ruchu sprawionego w kraju przez otwierające się dlań widoki. Lecz autor dotknął ich dość ogólnie, chociaż ku temu miał źródło niepodejrzane, bo pamiętniki Wybieckiego, który jak wiadomo, najbliżej był przypuszczony do osoby Cesarza i miewał z nim rozmowy dające poznać co ów wielki wojownik myślał, i jakie miał wyobrażenie o kraju i jego mieszkańcach którym chciał byt polityczny przywrócić. Sądzę że przytoczenie kilku słów tra-

fnych napisanych przez Wybickiego o Napoleonie odnośnie do sprawy narodu, byłoby rzuciło poważne światło na wszystko co dla nas robił. Jeżeli je hr. Skarbek pominął, to nie od rzeczy tu je przypomnieć: „Rozumieliśmy, powiada Wybicki — że Napoleon sejm r. 1791 wskrzesi że nam pewne da nadzieje. Ale się pokazało, że on nie mając jeszcze pewnego względem nas systematu, wychodził z nami nie nieznaczącą polityką; a często i przykro przypominał nam z Ruliera zamieszki i anarchię, która od sejmu konstytucyjnego już miejsca nie miała. Niekiedy tak nedorzecznie ten wielki człowiek mówił, iż słuchać przykro mi było; jedną tylko nam przyjemność powiedział, że w żadnym traktacie podziału nie zatwierdził.“

Jeżeli słowa Cesarza wyrzeczone do deputacyi obywateli naszych w Berlinie, niezaspakajały oczekiwań narodu, któremu kazał powstawać, krew przelewać i ofiary ponosić, niby dla przekonania się czy warto coś zrobić dlań zato — to po pokoju tylżyckim zaszły większe jeszcze rozczarowania. Wprawdzie trudno było wymagać jakiegoś poświęcenia się ze strony Francyi, tam gdzie zachodziły inne interesa i polityczne rachuby, — ale te uwagi zimnego rozsądku nie miały wówczas przystępu do umysłów oczekujących zupełnej restauracyi. Gdy zaś w punktach traktatu tylżyckiego, nie było inną wzmianki tylko o Księstwie Warszawskiem utworzonym z zaboru pruskiego — o wiele osłabła wiara w potęgę i wspaniałość Napoleona.

Mimo tego jednak zawodu, choć ściśle biorąc nie było poprzednich obietnic, utworzenie Księstwa należało do prawdziwych dobrodziejstw, bo obywateli wyrwało z tego zabójczego otrętwienia, do jakiego byli doprowadzeni; nadana zaś konstytucya przez Napoleona, choć nie całkiem odpowiednia duchowi narodu, powoływała go je-

dnak do publicznego życia, oddając mu w ręce reprezentację i wszystkie urzędy.

Autor poświęca kilka kart rozbirowi téj konstytucyi, z lekka jednak dotyka szczegół historyczny tyczący się jój powstania. Wybicki jako naoczny świadek wybornie skreślił go w swoich pamiętnikach.

Napoleon po traktacie tylżyckim przeleciał przez Polskę i niezatrzymał się aż w Dreźnie, wezwał świeżo w Warszawie ustanowioną komisję rządzącą, aby stawiła się po odebranie konstytucyi, a raczej aby stawili się Stanisław Potocki i Wybicki. Ten rodzaj wezwania pokazujący że inni członkowie nie są potrzebni, sprawił przykre między nimi wrażenie; przykrzejsze jednak były spory o jaką konstytucję prosić Cesarza; jedni obstawali za ustawą 3go maja, inni żądali zmian odpowiednich czasowi. Zapomniano że spór daremny, gdzie rzecz sama z góry już była rozstrzygnięta. Jakoż kiedy Potocki z Wybickim stanęli w zamku drezdeńskim w obec Napoleona i zaczęli mu dziękować za przyrzeczoną konstytucję; Cesarz na to: Wiem że jesteście niekontenci że tylko zrobiłem Księstwo Warszawskie; ale ja interesów Francyi dla was kompromitować niemogłem! — Poczem wzięwszy kapelusz, łamał go w ręku mówiąc: „Wszystko to jeszcze się tak połamie — macież jaki projekt do konstytucyi waszój?” — Potocki na to zaczął czytać świeżo ułożony projekt, lecz Napoleon nie dał mu dokończyć, mówiąc: dziś wam trzeba dać inną konstytucję reprezentacyjną — poczem zawołał księcia Bassano, aby mu dyktował. Dwaj delegowani przedstawili że w przedpokoju był prezes komisji rządzącej z członkami. Na to kazał ich przywołać, i zaczął wszystkim robić nieprzyjemne wyrzuty niezgody, dążności do anarchii, i dodał: Zniosę u was naprzód poddaństwo i dam wam konstytucję reprezentacyjną pod berłem króla saskiego — i nieczekając, dalej zaczął dyktować ową kon-

stytucję dla Ks. Warszawskiego. Dyktował ją prędko chodząc po pokoju... Do deputacyi obracał się niekiedy i pytał czy z niej kontenta; a gdy ksiązę Talleyrand przybył nieco później, odezwał się do niego: lubisz wygódki, a ja kończę już nadanie konstytucyi nowemu krajowi, i z wielką radością dodał: Zniósłem odwieczne poddaństwo w Polsce i to mych zwycięztw laur dla mnie najmilszy.“

Są to rysy które wcale dobrze mogły się być w znakomitem dziele hr. Skarbka pomieścić, zwłaszcza że pamiętniki zawsze są najszacowniejszym materiałem dla historyka; one dając życie i barwę uobecniają to co się działo, i podnoszą interes historyczny.

Autor oceniając konstytucję, robi uwagę, że aczkolwiek takowa różni się w zasadzie od późniejszych ustaw z współdziałaniem parlamentarnem, z tem wszystkiem podziwiać wypada że samowładność rządów Napoleońskich tyle praw i swobód podbitym narodom zostawiała. W rzeczy samej konstytucya uznawała obok wolności wyznań religię katolicką jako religię państwa; znosiła niewolę; wprowadzała równość w obliczu prawa; utrzymywała język narodowy; wyłączała cudzoziemców od urzędów; przytem ustanawiała wojsko krajowe; niepodległość sądownictwa; dopuszczała reprezentantów do udziału w prawodawstwie; i dawała obywatelom prawo wybierać na sejm posłów, radców po departamentach i powiatach, oraz sędziów pokoju. — Pod skrzydłami téj ustawy mógł się swobodnie rozwijać duch narodowy, co było jój największą zaletą. W gruncie zaś odkładając na bok zbawienne jój wpływy, nie miała żadnych rękojmi praw i swobód przyznanych; był to rząd samowładny, pod formami i pozorami konstytucyjnymi, co może najlepiej odpowiadało ówczesnej potrzebie, a nawet i usposobieniu narodu; był to rząd centralny, w którym każde rozporządzenie władz niższych wykonawczych

szło od władzy najwyższej. Napoleon potrzebujący ślepych swęj woli wykonawców, niebyłby przystał na żadną formę rządu, krzyżującą jego postanowienia.

Taki stan rzeczy zadawałniał jednak ówczesnych obywateli Księstwa, choć może przy téj gwałtownéj zmianie, boleśnie czuć im się dały niektóre reformy. Szczególniej 47 art. konstytucyi znoszący niewolę i stanowiący równość w obliczu prawa, był więcéj szumnem podkadzeniem rewolucyi francuzkiéj 89 r. niż szczerem zajęciem się dolą naszego ludu. Posłuchajmy co hr. Skarbek powiada o skutku tego paragrafu ustawy: Usamowolnieni chłopci nieotrzymawszy obok wolności, ani własności gruntu, ani zwolnienia siebie z obowiązków pańszczyźnianych, użyli téj wolności na to, aby porzucać rodzinne wioski, i pewien rodzaj wędrówki ludu po kraju odbywać. — Zerwane zostały dawne stosunki pańów z włościanami; ostatni utracili opiekę pierwszych a pierwsi przychyłność i wpływ nad ostatnimi. Najgorszy zaś ten był skutek téj reformy, że w kraju dość nieludnym, zupełnie rąk do uprawy roli zabrakło, co niemało przyczyniło się do zubożenia tego kraju wysysanego przechodami wojsk i ogromnemi kontrybucyami wojennemi.

Zobaczmyż jaki po zaprowadzeniu władz i organizacyi Ks. Wars. okazał się stan tego kraju, będącego niedawno teatrem wojny.

Razem ze wstąpieniem Francuzów na ziemię polską zdarzył się jedyny może wypadek w dziejach gospodarstwa krajowego, gdy bogactwo narodowe oswobodzonego kraju tak nagle zmniejszyło się, iż pociągnęło za sobą bankructwo, nie już publicznego skarbu, nie kilku bankierów, ale całego narodu, a mianowicie właścicieli gruntowych.

Jak się to stało, łatwo sobie wytłumaczyć, gdy zważymy iż za rządu pruskiego cała zamożność kraju po-

jęgała na produkeyi surowych płodów i ich wywozie za granicę; z resztą żadnego przemysłu, ani żadnej prawie wewnątrz konsumcyi. Owoż z przyjściem francuzów, z zobieżeniem Gdańska, i z zaprowadzeniem systematu kontynentalnego, przerwał się cały wywóz. Co było w kraju zboża zużytem zostało na liwerunki dla wojska, wielka część na składach Gdańskich przepadła, a brak rąk i lata nieurodzajne dokonały reszty, a chociaż pokój powrócił, niewróciły dawne pomyślne stosunki.— Dopieroż jak niebyło z czego opłacać procentów z zaciągniętych sum na urojone hipoteki; jak się pokazało że wartość dóbr drogo, a najczęściej za pożyczone pieniądze nabytych, spadła — posypały się bankructwa jedne za drugimi. Środki zaś przedsiębrane przez rząd dla ratowania obywateli jako: *juristitium* czyli zawieszenie wymiaru sprawiedliwości, następnie *moratorium* czyli zawieszenie wypłaty długów, dokonały znowu upadku tych, których całe mienie utopione było w wierzytelnościach hipotecznych. — Tym sposobem bankructwo stało się ogólnem, a nędza nieuchronną. — Rząd przez własnych kraju obywateli sprawowany, mógł był przy pilności i oszczędności prędko złemu zaradzić; lecz jakież to brzemień wydatków nieciężyło na kraju! to na wojsko swoje, to obce, to na zaprowadzenie nowych instytucyi; a tu od zniszczonych, i pozbawionych dotychczasowych źródeł dochodu mieszkańców, trudno wyciskać grosz, którego niebyło.— Gdy tedy skarb publiczny niemógł wystarczyć wydatkom, a zewsząd szły utyskwiania na upadek fortun i gospodarstwa, zrobiono trzy operacye finansowe; z tych najciekawszą, było odstąpienie przez Napoleona dla skarbu Ks. Warsz. 47 milionów fran. przez rząd pruski właścicielom dóbr rozpożyczonych, którym nadano w ówczas nazwisko sum Bojońskich, dla tego że odstąpienie onychże w Bajonie dokonaniem zostało.—

Operacya ta przypisywana wspaniałomyślności Cesarza, była, jak mówi autor, złudzeniem, a nawet i główną klęską kraju, bo kosztowała go 20 milionów franków, które przeszły do kas francuzkich. Owe pruskie wierzytelności lokowane na złudnych hipotekach niemogły mieć już żadnego znaczenia bo nawet za nie procentu by nieściagniono. — Tak tedy niebył to żaden zasilek skarbu Ks. War. ale przeciwnie główna przyczyna jego niedostatku i niepowetowanych strat dla kraju; wszystkie bowiem dochody zebrane od wycieńczonych mieszkańców, przelewały się do kas francuzkich. Dla dopełnienia tego obrazu niedoli przychodzi mi na myśl, trafny dowcip powiedziany w ówczas przez ministra Bade-niego na te kosztowne rządy francuzkie: Prawda! zdjęto nam pęta, ale z nimi i buty.

Mimo tego wszystkiego duch publiczny ożywał się, nie tylko w Księstwie lecz i w sąsiednich prowincjach; we wszelkiego rodzaju ofiarach nieznano granic; biedę słodzono sobie myślą, że musi być lepiej, bo wielki Napoleon czuwał; z resztą nieumiano jeszcze wtedy jak mówi autor, brać wszystkiego ze złej strony co się zdarzało w życiu politycznem; bo gdzie wątpliwą była korzyść narodu, lub prawość zamiarów władców naszych, tam szukano koniecznie powodów do usprawiedliwienia postępków i zawsze złudzeniem rzeczywistość pokrywano. Ludność Ks. Warszawskiego materialnie niedostatkiem i klęskami dręczona, była moralnie spokojną i pełną ufności.

W takich to rysach skreślił hr. Skarbek pierwsze dwa lata dziejów Ks. Warszawskiego, to jest, do r. 1809.— W dalszym ciągu przeglądu nieomieszkam zdać sprawy z reszty téj uczącej, i pobudzającej do myślenia pracy.

LUCYAN SIEMIŃSKI.

KONFERENCYE I TRAKTAT

W

ZÜRICH

Nieraz już w tem piśmie nadarzała się sposobność wzmiankowania, iż niemają publicystyce oddałby ten przysługę, ktoby zdołał podać prawdziwe znaczenie, jakie dzisiaj mają w polityce najprostsze częstokroć wyrazy, choćby do tego nie definicyi, ale nawet jak najdłuższego używał opisu. Nigdy potrzeba takiego dyplomatycznego słownika nie dawała się czuć bardziej, nigdy brak takowego nie utrudniał dotkliwiej przedstawienia każdej politycznej czynności, sprawy lub narad, jak w ostatnich latach.

Przeczuwał ową potrzebę jak się zdaje Talleyrand, ów mistrz w tłómaczeniu wyrazów na język, który według niego był dany dla ukrywania myśli, gdy zagadnięty przez jednego ze swych kolegów z powodu zasady nieinterwencyi, odrzekł spokojnie: „Bardzo przepraszam, bo przecież panu tak dobrze jak mnie wiadomo, że w dy-

plomacyi nieinterwencya znaczy właśnie interwencję... tylko nieustanną.“ Rozpoczął więc dzieło dyplomata francuzki, szkoda że go nie dokończył. Zresztą nie na wiele by się ono dzisiaj przydało. Przybyło wiele rzeczy o których mu się podobno nie śniło.

Nie przewidział on zapewne tego, że Cesarstwo to pokój, że pokój jest to i pokój i wojna, lub też ani pokój ani wojna, jak się podoba. Nie domyślał się nawet tego co każdy z nas widział: wojny lokalizowanej, — układów o pokój gdzie nie było ani zwycięzców ani zwyciężonych; — traktatu dla wszystkich równie zaszczytnego; — państwa niepodległego wymagającego rękojmi całej Europy; — unii która nie jest i być nie może połączeniem; — zawieszenia broni które było pokojem i pokoju który był zawieszeniem broni; — annexyi która nie była przyłączeniem; — rejencyi która nie jest rejencją... Czyż po tym nader niedokładnym spisie politycznych i dyplomatycznych wyrażen czekających wyjaśnienia, można bez pewnej obawy postawić sobie pytanie: co były konferencye w Zürich i jakie ich prawdziwe znaczenie i doniosłość?...

Aby jakkolwiek na to odpowiedzieć, wypada sięgnąć do ich źródła, to jest do samej sprawy włoskiej. Pod względem swych dyplomatycznych kolei uważana, a pod tym względem przedewszystkiem zajmować musi, skoro idzie o konferencye, ma ona nie jedno ze sprawą wschodnią z r. 1853 podobieństwo.

I tak gdy do sprawy wschodniej głównym powodem był wpływ zbyt przeważny Rosyi na Turcyę i na Wschód cały, podobnież i w sprawie włoskiej służył za pozór wpływ Austrii na Półwysep. Nie było zrazu mowy o Turkach, tylko o Rosyi; utrzymywano że niema kwestyi włoskiej, ale tylko kwestya austriackiego wpływu. Wydobyto traktaty adryanopolski, Unkiar skelessi itd.; traktaty zawarte przez Austryą z państwami włoskimi

były głównym przedmiotem przedstawień gabinetowych. Wpływ Rosyi zagrażał równowadze europejskiej; niepokoiła ją przewaga Austrii we Włoszech. Obie te sprawy z téj strony ujęte, były kwestyami europejskimi. Jako takie prowadzić winny były do kongresu, do konferencyj; pokazało się że prowadziły do wojny. I nie mogło być inaczej, bo natura rzeczy silniejsza jest od dyplomacyi choćby najbieglejszej. Żadne mocarstwo nie rzeknie się wpływu bez wojny.

Nie udały się przeto konferencye wiedeńskie w sprawie wschodniej, nie zebrał się kongres w sprawie włoskiej. Po odrzuceniu przez Turcyę *ultimatum* w sprawie chrześcian, Rosya przeszła Prut i zajęła Księstwa; po odrzuceniu *ultimatum* przez Piemont w sprawie ochotników, Austria przeszła Tycyn i wkroczyła do Lomelliny. Lecz aby do tego przyjść mogło, trzeba było aby się sprawy zmieniły, aby wyszły nieco ze swéj abstrakcyjnej europejskiej sfery, i przybrały wyraźniejszą i dla dział które głos w nich zabierały, przystępniejszą polityczną formę. Wtedy dopiero ujrzano Turków i niepodległość i nietykalność państwa Ottomańskiego; wtedy również ukazały się Włochy i narodowość włoska, jako konfederacya. Tu wszakże zachodzi ważna różnica: tak przeobrażoną sprawę wschodnią uznały wszystkie mocarstwa za kwestyę również europejską; sprawę włoską tak postawioną popierała tylko Francya. Ztąd w sprawie wschodniej: traktaty między Francją i Anglią, Francją, Anglią, Turcyą i Sardynią, między Francją, Anglią i Austrią, Austrią a Turcyą, Austrią i Prusami, Francją a Szwecyą; wojna między Turcyą, Anglią, Francją i Sardynią z jednej strony, a Rosyą z drugiej strony, wreszcie konferencye paryżkie złożone z siedmiu mocarstw; — w sprawie włoskiej Sardynia ma tylko jednego sprzymierzeńca Francję, a wojna między Sardynią i Francją z jednej strony a Austrią z drugiej, kończy się konferencyami w Zürich. Wiadomo,

w jakiej formie stanęła sprawa wschodnia przed konferencyami paryżkiemi, w formie kwestyi europejskiej objętej w czterech punktach przyjętego przez Rosyę *ultimatum*. W jakiejże formie stanęła sprawa włoska przed konferencyami w Zürich?

Skoro tylko Francya wzięła w rękę sprawę włoską i postawiła ją tak że wojny uniknąć było prawie niepodobna, łatwo było przewidzieć że nie Włochy ale ona będzie jej reprezentantem, podobnie jak w sprawie wschodniej, nie Turcyja lecz Francya i Anglia reprezentowały przeciwnika Rosyi. O Francyi więc mówić wypada aby dójść rzeczywistego znaczenia konferencyj w Zürich. Zresztą ona jedna postawiła w chwili gdy do wojny przyszło wyraźny programat.

Od samego początku nieprzyjacielskich kroków trzy niebezpieczeństwa zagrażały Cesarzowi Francuzów. Naprzód potęga Austryi; powtórne możebność koalicyi, po trzecie niepewność rewolucyi. Jeden przeciwnik materialny, dwa moralne; nad wszystkiemi trzema odnieść trzeba było zwycięztwo, a przynajmniej jak to mówią zażegnać dwa ostatnie aby programat zapowiedziany przeprowadzić do końca. W razie udania się mniejsza już było o to czy Europa uzna lub nie że sprawa włoska jest kwestyą europejską, stawiała się ona nią *de facto*, a traktat zawarty na podstawie programu rozstrzygał sprawę.

Los wojny sprzyjał Cesarzowi Francuzów i pierwsze niebezpieczeństwo niezatrzymywało jego polityki pomimo oporu jakie mu stawiało. Lecz było w naturze rzeczy, że drugie wzrastać musiało w miarę postępującej wojny. Na nieby się nieprzydało rozbierać czy obawa koalicyi mogła być większa w razie wygranej lub przegranej francuzkiej. Podzielone w tej mierze były i są zapewne zdania. Dosyć na tem że tak jak było, pomimo wszystkich wytężonych środków jakimi głęboka i zrę-

czna polityka Napoleona III powstrzymywała koalicję, zbliżała się ona w miarę jak się orły francuzkie posuwały, a gdy stanęły nad Mincio, zdawać się mogło że je już tylko sławny czworobok od nowego przedzielał nieprzyjaciela. Pomimo całej flegmatyczności wnosić można było że Niemcy już dłużej czekać nie będą w stanie. Niemcy nie były jeszcze koalicją, ale mogły być awangardą. Na wszelki przypadek Francya musiała być gotową. Polityka nie dostarczała jęj sprzymierzeńca; utrzymują za pewne że świadczył o tem wysłannik rosyjski do obozu francuzkiego w Valeggio. Sama, cóż mogła przeciw koalicji postawić, jeżeli nie sprzymierzeńca, którego miała zawsze pod ręką, niebezpiecznego lecz strasznego którego widmo powstrzymywało podobno najsilniej dotąd koalicją.

Sprzymierzeńcem tym było właśnie owo trzecie niebezpieczeństwo, to jest rewolucya. Lecz na to aby jęj użyć można, jako sprzymierzeńca, to jest jako siły, a nie jako zasady, trzeba być jęj panem. Inaczęj łamie ona i druzgoce tych którzy jęj użyją. Od razu staje się sama sobie celem, i nikomu nie udało się jeszcze użyć jęj za środek, tylko temu który ją trzymał na wodzy. Narzędziem była ona tylko w ręku swych najsroźszych panów. Któż zresztą zna ją lepiej od Cesarza Francuzów? Zna ją i we Włoszech i we Francyi. Przeniknął ją na wskrós żyjąc w jęj żywiole, poznał jęj siłę przez walkę, zmierzył jęj wartość przez zwycięztwo. Ujął jęj rwjące potoki w koryto, jak sam oświadczył i zapowiedział że niewystąpi z brzegów. Szło o to aby płynęła wytkniętą przez niego drogą.

Nie łudził się ani chwili, że biorąc sprawę włoską pod swoją opiekę, ciągle z rewolucją będzie miał do czynienia. Przebijają to we wszystkich pismach, przemówieniach poprzedzających wojnę. Były w nich zawsze pewne zastrzeżenia co do celu i środków, były jakby nowo

sypane groble, a przynajmniej dawniejsze wzmocnione, mające powstrzymać i kierować nawet rozhukane fale rewolucyjne. Taką najstaranniej i najsilniej zbudowaną tamą było powt rzone bardzo dobitnie oświadczenie niezłomnego postanowienia względem nietykalności władzy doczesnej Papieża, niepodległości i neutralności krajów Państwa Kościelnego. Zgoła wszystkie ostrożności z góry były przedsięwzięte aby pozostać panem niebezpiecznego sprzymierzeńca.

Lecz pomimo wszelkich usiłowań, w miarę postępu kroków wojennych, w miarę wzrastającego zwłaszcza niebezpieczeństwa koalicji, rewolucya nabierała siły przez samo poczucie niepodobieństwa, w jakim się znajdowała polityka cesarska, aby przeciw niej stanowczo wystąpić i gwałtownym poskromić czynem. Owe tajemnicze przeznaczenie 5go korpusu, ową misję księcia Napoleona do Florencji, która nie była niczem innem jak tylko zręcznie założonym hamulcem rewolucji szybko posuwającej się w owych krajach bez rządu, sparaliżowało powstanie w Bononii i w Legacyach. Tam sobie ona założyła główne swe siedlisko, a książę Napoleon przeszkodzić nie mógł złemu, właśnie z powodu oświadczenia, że Francya szanować będzie neutralność Państwa Kościelnego. Najsilniejszą broń polityki cesarskiej obróciła rewolucya na swą korzyść. Nadto jeszcze przyszła jej w pomoc cała biegłość i zręczność tradycyjnej polityki włoskiej. Cesarz Francuzów miał do walczenia nie tylko z żywiołem którego znał dobrze ruchliwość i niesforność, ale jeszcze z ministrem rządu, którego wojska były razem z nim na polu bitwy, lecz którego widoki były różne. Hr. Cavour używał także rewolucji ale na wewnątrz nie na zewnątrz; nie trzymał jej w odwodzie jako pogrózkę, ale wysyłał komisarzy aby ją kierować lecz także aby ją wzmacniać i rozszerzać. Przyszła nareszcie chwila, i to właśnie po bitwie pod Solfe-

rino, gdzie Cesarz Napoleon znajdował się w obec wszystkich trzech wyżej wypowiedzianych niebezpieczeństw w kulminacyjnym ich punkcie. Z przejściem przez Minicio, znajdował potęgę Austrii w najsilniejszej pozycji wojskowej, sprowadzał uzbrojone Niemcy nad Ren, jak to sam powiedział, a co gorsza, dodać można, że rewolucya wysuwała mu się z pod ręki i przestawał być jej panem. Takie było położenie i żadne zwycięstwo zmienić już następstw nie mogło.

W szybkości i całości postanowienia jakie kto weźmie w tak stanowczej chwili, maluje się najlepiej wielkość człowieka. Takim postanowieniem był pokój w Villafranca.

Wszystko było półśrodkiem, wyjąwszy zawarcie pokoju. Pokój jedynie usuwał niebezpieczeństwo koalicji skoro ta istotnie była w dalszej wojnie niezawodną, a Francya się na nią narażać nie chciała. Pokój jedynie oddawał rewolucję w ową żelazną dłoń która sama jedna utrzymać ją w karchach dotąd potrafiła. Pokój jedynie lubo niedopełniał zapowiedzianego programatu, zapisywał jako fakt, to co już dokonaniem było, i jeżeli nie rozstrzygał sprawy włoskiej stawiał ją tak jak ją postawiła była Francya, to jest jako sprawę narodowości włoskiej, i zmuszał niejako Europę do uznania jej jako taką.

Że pokój w Villafranca odpowiadał zupełnie wymaganiom chwili, przekonać się łatwo z konwencji. Utrzymała się w niej część dokonana programatu, narodowość włoska uznana w konfederacji, a sprawa włoska nałożona Europie jako jej własna, jako europejska przez zasadę nieinterwencji i zastrzeżenia praw książąt włoskich. Wszystko to leżało w zawarciu pokoju.

Wszakże konwencja była tylko układem preliminarnym, jakkolwiek stanowczym, bo go podpisali dwaj monarchowie, z których jeden był reprezentantem sprawy

włoskiej drugi jej przeciwnikiem. Wojna musiała się więc skończyć, lecz pokoju jeszcze nie było, bo między walczącemi stronami zaszło tylko zawieszenie broni. Do spisania traktatu pokoju zebrały się konferencye w Zürich. Ztąd więc i cel i doniosłość i cecha owych konferencyj. Prace ich rozbierać szczegółowo, byłoby zbyt zbytecznem, ogólne rysy wystarczają.

Celem konferencyj było widocznie ułożyć *status quo* jaki był w chwili przerwania wojny, w ten sposób, aby pokój zawarty między Francją i Austryą, mógł być zarazem zawarty między Austryą i Sardynią. Świadczą o tem same traktaty, obejmujące trzy dokumenty. W pierwszym spisanym między Francją i Austryą, ta ostatnia ustępuje praw do Lombardyi, które znów Francya oświadcza przelać na Sardiniją. W drugim traktacie między Francją a Sardiniją, na mocy poprzedniego traktatu i w nim uczynionego przez Austryą ustąpienia, Francya oddaje Lombardię Sardynii, która ją przyjmuje w warunkach ułożonych poprzednio między Francją i Austryą, z dodaniem nowych, od Francyi tylko i Sardynii zależących, a w tym drugim traktacie objętych. Nareszcie w trzecim traktacie między Francją Austryą i Sardynią, staje pokój między temi dwoma ostatniemi państwami, i opisane szczegółowo warunki nowego *status quo* podwójną cesją Lombardyi sprowadzonego. Owóż co trzeba było, aby pokój mógł być zawartym, bo dotąd istniało tylko zawieszenie broni.

Była to dopiero pierwsza część zadania konferencyj w Zürich. Ustąpienie i przekazanie Lombardyi i stąd wynikłe *status quo*, było tylko dotrzymaniem warunków jednej części programu, którego lubo Cesarz Francuzów orężem wykonać wzbraniał się, nie zrzekał się jednak bynajmniej wykonać go na inną drogę, to jest na drogę dyplomatyczną. Konferencye tak ograniczone, stałyby się tylko prostemi układami o pokój po wojnie;

Europa nie miała przyczyny wdawania się do nich a raczej do ich wypadku. Doniosłość pokoju zapadłego w Villafranca nierównie była większą w myśli Napoleona III, a zatem i doniosłość konferencyj musiała być dalszą.

Drugą częścią zadania konferencyj było postawienie sprawy włoskiej na tym gruncie na jakim ją postawiła Francya występując w jej obronie, to jest na polu narodowości włoskiej. Wywiązały się z téj części swego zadania w traktacie między Francją i Austryą, gdzie w §. 18 obaj monarchowie zobowiązują się sprzyjać wszelkimi siłami utworzeniu konfederacyi włoskiej pod prezydencyą honorową papieża; do której to konfederacyi, należeć będzie Wenecya, jako jedno z państw ją składających, i weźmie udział w obowiązkach i prawach jakie ze statutu związkowego wynikną, którego warunki oznaczy zgromadzenie złożone z reprezentantów wszystkich krajów włoskich.

Nakoniec trzecią i ostatnią częścią zadania konferencyj było zmusić niejako Europę do uznania sprawy włoskiej za europejską. Wiazała się ona z drugą częścią, i to tak ściśle, że była prawie jej koniecznem następstwem. Jakoż konfederacya włoska gdyby do skutku przyszła, byłaby zbyt wielkim w równowadze europejskiej żywiołem, aby ogólną jej politykę i cały system żywo obchodzić nie miała. Lecz konfederacya mogła być uważaną za projekt i jako taki, a nawet przez niektóre państwa osądzony za niewykonalny, mógł niebyć dostatecznym przymusem do zwołania obrad Europy. Trzeba mu było więc nadać pewną rzeczywistości cechę, pewny nacisk, który się nazywa koniecznością. Owóż ten nacisk jest w §. 19 traktatu, gdzie znajduje się zastrzeżenie na korzyść książąt włoskich, oparte na tem, iż terytorya państw niepodległych włoskich które nie miały udziału w ostatniej wojnie, nie mogą być inaczej

zmienione jak tylko za zgodą wszystkich mocarstw które je utworzyły i uznały ich istnienie. Jest w tem wyraźne zrzeczenie się wszelkiej interwencji na rzecz trybunału europejskiego, ale oraz nałożona niejako Europie konieczność wydania wyroku.

Z tego co się powiedziało, wypada oczywiście, że konferencye w Zürich które się na d. 10. b. m. skończyły, nie były konferencyami w znaczeniu konferencyj paryżskich. Były to układy o pokój, ale z europejskiem znaczeniem. Nie zasiadali na nich reprezentanci wszystkich mocarstw mających prawo rozstrzygania o kwestyach europejskich. Nienaradzali się na podstawie systemu przyjętego w r. 1856. Ale konferencye w Zürich oprócz układania pokoju, przygotowywały kwestyę europejską. Był to trybunał wyjątkowy, rozsądzający bez odwołania pewną część spraw, a odsyłający drugą ich część do najwyższego Sądu. Postanowienia konferencyj w Zürich nie wiązały Europy, ale sprowadzały konieczność zebrania się kongresu. W całym tem dziele począwszy od spotkania w Villafranca aż do podpisania traktatów w d. 10. b. m. taka panuje nieugięta loiczność, iż zdawaćby się mogło, że wszystko naprzód przewidzianem i obrachowanem było w chwili, gdy generał Fleury z listem Cesarza Francuzów opuszczał główną kwaterę w Valeggio aby się udać do Werony.

MAURYCY MANN.

KRONIKA.

Kraków w listopadzie.

Wielkie kwestye wewnętrzne, krajowe, przeciągały w tym miesiącu ponad miastem naszym: Sprawa języka w szkole i urzędzie, sprawa żydowska i sprawa gminna. Od rozstrzygnięcia tych trzech wielkich pytań zależy może najbliższy stan kraju w przyszłości; w każdym zaś z nich leży spowitych mnóstwo kwestyj w zakresie moralnym i materyalnym, odnoszących się do prawa publicznego i prywatnego, kwestyj związanych z religią, narodowością, kwestyj społecznych, ekonomicznych, politycznych wreszcie, z których jedne doraźnie się nasuwały, inne dawały się przewidywać w blizkich lub dalszych następstwach, w bezpośrednich i pośrednich wynikłościach. A cóż tu dopiero mówić o owych nieznanym, nieobliczonych z góry, nieujętych w dotykane formy zastoso-
wania, a jednak przeczuwanych? Kwestye te niby na ostatnim planie, w mgle perspektywy majaczace, zwykły wtedy dopiero występować widocznie w całej swój prze-
możnej i bezwzględnej natarczywości, kiedy już nieczas myśleć o ich zażegnaniu. Są to jak owe białe odległe

mgliste obłoczki, na które niedoświadczony żeglarz nie zwraca nawet uwagi, a przecież leży w nich grom ukryty; w miarę zbliżania się swego pęcznienia w chmurę niosącą burzę. Z takich jednak drobnych, na pozór nie nieznaczących kwestyek, powstają wielkie pytania, które potem przyjdzie rozdziergać a najczęściej rozcinać; rozciawszy zaś je zostanie się zawsze dość węzełków drobnych, tamujących swobodę ruchu.

Sprawa językowa, sprawa żydowska i sprawa gminna nie od razu wzrosły do potęgi dzisiejszych rozmiarów. Każda z nich pojawiała się wielokrotnie w drobiazgowych zajściach, wątpliwościach, przyczepiona jak zaród polipowy do chwilowych i okolicznościowych przypadków, do podrzędnych zdarzeń, aż nieznacznie rozrastając się doszła do zagarnięcia całego żywota kraju, że wychodzi wszystkimi porami jego i czyni od siebie zawisłymi jego oddech, jego ruchy, jego przyszły los nawet.

W tym stanie rzeczy zdawałoby się, że każda z wymienionych powyżej trzech wielkich kwestyj powinna by absorbować w siebie całe zajęcie nie tylko wszystkich ludzi myślących, ale nawet wszystkich interesowanych, a przeto wszystkich bez wyjątku mieszkańców, bo każda z nich dotyka bezpośrednio w najrozliczniejszych manifestacyach swoich wszystkich stron życia tak publicznego jak domowego, tak moralnego jak materialnego.

Tymczasem jeżeli co do pierwszej z trzech pomienionych spraw, ogół mieszkańców gorącą sympatją wtóruje każdemu by najdrobniejszemu drgnięciu w sferze polityki wewnętrznej, o ile takowa do pomienionego przedmiotu się odnosi; co do dwóch innych zachowuje się dotąd biernie, a zwłaszcza ustawa gminna wydaje się mu być niedościgłą zagadką socyalną, a to wszystko co o tem piszą lub rozprawiają, jest mu niedostępnem a przynajmniej nader obojętnem. Obojętność ta ma zaprawdę coś tak w sobie przerażającego, jak przerażającym jest widok dotkniętego paraliżem, który lubo zachował świadomość tego co się dokoła niego dzieje, wszelako skończyły język skazuje go na milczenie, a zdrętwiałe członki trzymają go w stanie bezwładności. Niemoc ta tem atoli różni się od porażenia, że jej niesprowadziła żadna nagła katastrofa; bo przystępowała ona powoli, denerwując przez

liczne rozezarowania i zawody. Zmartwiałych członków nieorzeźwi wychuchiwaniami ciepłych słówek — komitety i komisye obradujące, wyruszone artykuły dziennikarskie z całą terminologią odcieni pojęć przesuwają się im przez usta a uchem wychodzą, niesprawiając innego wpływu nad wrażenie głuchego dźwięku.

Jest także w mieszkańcach tutejszych pewna skłonność do wiary w fatalizm. Myślą oni sobie: to co się ma stać, stanie się, czy będziem chcieli czy nie, czy będziem się starać czy też pozostawimy rzeczy przeznaczonemu z góry biegowi. Jak turek z założonemi nogami, tak oni z założonemi rękami czekają obojętnie, co im dzień jutrzejszy przyniesie, niewierząc bynajmniej, aby mądrość i przezorność były w stanie skierować rzeczy w inną stronę, aby usilność i wytrwałość mogły jak woda ciąglem a nieustannem zmywaniem chropowatości wygładzić kamień co leży na drodze.

Kwestya żydowska objawia im się tylko jako Kazimierz, a kwestya gminna jako podatek. Jednej i drugiej inaczej nie pojmują. Wpuścić żydów kazimierskich do miasta, a przyjęciem obowiązków i ciężarów gminnych zwiększyć koszta administracyi miejskiej, to są jedyne punkta zapatrywania się na obie te sprawy. Jest to wprawdzie chwilowy i utylitarny tylko pogląd, nie dotyczący w niczem strony zasad, lecz zasady są dla mędrców, a dla ogółu jest pożytek lub szkoda. Zresztą kto śmie twierdzić, że wypadki idą w dziejach świata kolejną wskazaną im przez dogmatyków zasadą? Czy raczej chwilowy i okolicznościowy wpływ, namiętność lub dziwactwo losu niezależne od rachub, nie były częstokroć pobudką tego co się stało, a historycy podciągnęli następnie pod system to, co w czasach swego żywotnego istnienia, bezmyślnie i przypadkowo działaniem było, albo tylko co najwięcej ze względu na najbliższe przyczyny i skutki?

Gdyby z kwestyi żydowskiej można usunąć na bok kwestyę narodową, a z gminnej kwestyę włościańską, wtedyby można obie postawić na właściwych jej stanowiskach: pierwszą na religijnem, drugą na socyalnem, to jest na tych, na jakichby jedynie traktować je należało, skoroby je wypadało sprowadzić do zasadniczych punktów. Jak stopniowe uwłaszczanie włościan, tak sto-

pniowe uobywatelanie żydów byłyby wygładziły wiele trudności; jednorazowe nadanie własności pierwszym wstrząsło całym układem społecznym, a nie inaczejby się stało, gdyby naraz zrównoważono żydów z chrześcijanami, i to w wyższym może jeszcze stopniu, albowiem najgłębsze różnice religijne i obyczajowe otarłyby się o siebie bezpośrednio i stanęłyby z sobą do walki.

Po za obrębem trzech powyżej wymienionych spraw: językowej, żydowskiej i gminnej, reszta wszystko frazski, nie warte wspomnienia: są to drobne krzaczki, które w jałowej pustyni mogą służyć za punkt oryentowania się, lecz pośród bujnych rozłożystych drzew, przechodzień nawet ich nie dojrzy, chyba gdy o nie przypadkowo nogą potrąci.

Nie do Kroniki wszakże traktować wielkie kwestye, wpływ ich tylko na umysły mieszkańców tutejszego miasta godzien jest zastanowienia; cóż gdy pomiędzy słowem a pismem taki jeszcze panuje u nas przedział, jak między tajną wiernych kochanków rozmową a oficjalnem ich widzeniem się w salonie, w obecności argusowej mamy, której oka żaden giest, a ucha żaden szept nie ujdzie. Trudno zresztą żądać od kronikarza, aby jak lesażowy djabeł zdejmował dachy z domów, by zaglądać co się dzieje w ich głębi; to tylko wolno mu zatem mówić, o czem wszyscy gadają głośno; rzecz to zaś wcale nie zabawna powtarzać co bez niego powszechnie jest wiadomem...

Berlin w listopadzie.

Z góry podobno zgadniesz tą razą, szanowny Redaktorze, co ci do kroniki twój na miesiąc bieżący pisać będą wszyscy korespondenci zagraniczni, nietylko wiedeński i berliński, ale zapewne paryzki i londyński, a być może, że i rzymski, a kto wie, czy nie i krajowi poznański, warszawski i lwowski, a nawet w końcu i sam miejscowy krakowski. Z góry zgadniesz, że pisać będą o obchodzie stułetniój rocznicy urodzin Fryderyka

Schillera, który się odbywał d. 10go b. m. i następnych wszędzie „gdzie brzmi język niemiecki i Bogu w niebiesiech pieśni śpiewa“, to jest, we wszystkich pięciu częściach świata.

Nie wiem co zrobisz z temi opisami. Czy je potniesz na schillerowskie fidibusy do zapalania schillerowskich cygar, które sobie, znękany dziennikarską reklamą, sprowadzić kazałeś z Wrocławia lub Berlina, po 10 talarów 1000, aby kadzidłem ich tem godniej uczcić pamięć wielkiego wieszcza, który jak z żywotów jego wiadomo, knaster tylko palił? Czy uniesiony gorliwością *Kreuzzeitung* lub *Universa*, wskażesz nadesłane ci opisy na wielkie „*auto-da-fé*“, aby wynagrodzić niēm „*postnumerando*“ illuminacją, która tak skapo wypadła w Berlinie, i procesyą z pochodniami, której weale nie było? Czy przestrzeżony dowcipną uwagą korespondenta poznańskiego do *Czasu*: „że nowe niemieckie Zgromadzenie w kościele ś. Pawła w Frankfurcie mogłoby kiedyś opierać na tym obchodzie schillerowskim roszczenia swoje“, wrzucisz bez skrupułu nadeszłe opisy w piec, aby w „*Kronice*“ krakowskiej nie zachował się nawet cień świadectwa, że uroczystość schillerowska była i na polskiej ziemi obchodzona?

Nie wiem co zrobisz; ale ja mimo to o obchodzie piszę. Piszę dlatego, że uważam obchód ten za najważniejszy wypadek, który nietylko w bieżącym miesiącu i roku, ale w całym ciągu ostatnich lat dziesięciu zdarzył się w Niemczech. Piszę dlatego, że mam go za jeden z najważniejszych aktów, którym naród niemiecki okazał, że sam siebie szanować umie. Piszę wreszcie dlatego, że przemilczenie go przez polskiego pisarza, pochodzące bądź z charakteru uroczystości, bądź z celów do niej przyczepianych, bądź z innych zewnętrznych i czasowych przyczyn i pobudek, uważałbym za niegodną obojętność w obec wpływu wielkiego wieszcza niemieckiego, jeżeli nie na cały naród polski, to na bardzo liczne indywidua, dźwigające i popierające mową i piśmem jego duchowe ukształcenie.

Nie lękaj się jednak, szanowny Redaktorze, że ci opisywać będę szczegółowo cały przebieg uroczystości berlińskiej, z dodatkiem może jeszcze szczegółów uroczystości po prowincyach pruskich i w reszcie Niemiec ob-

chodzonych. Zachowaj Boże! Wiész, że ja cię nigdy zbyt tego rodzaju opisami nie zajmuję, bo sądząc po sobie, zdaje mi się, że to nudna dla nieobecnych lektura. Wszakże ma ona swych lubowników i lubowniczek, którzy i opisem strojów balowych nie gardzą. Mógłbym się więc uciec pod ich skrzydła. Ale miarkując z usposobienia twego, że smakowi temu, w chwili, gdzie tyle ważnych spraw stoi na porządku dziennym, nie masz ochoty schlebiać, stosuję się do twych chęci, i nie opisuję obchodu, do czego by wreszcie i miejsca przybrało, lecz ograniczam się do skreślenia kilku ogólnych nad nim uwag.

Nazwałem obchód schillerowski najważniejszym kilku lat ostatnich w publicznym życiu narodu niemieckiego wypadkiem. Sama powszechność jego, wybiegająca daleko po za granice właściwej ojczyzny, nadaje mu tę ważność. Bo jest to zjawisko uderzające, aby jedno całe plemię, liczebnie tak ogromne, religią, ukształceniem, obyczajem a poczęści i mową różne, nie tylko to które w wielkich masach w pierwotnej ojczyźnie swojej udzielnie choć pod różnemi rządami żyje, ale i to które w większych i mniejszych odłamach na całej kuli ziemskiej wśród obcych ludności osiadłe, i od obcych rządów zawisłe trwale lub przechodziło przemieszkując, aby mówię, całe to plemię, wiecznie rozdwojone i rozprzęgłe, poczuło i uznało się na raz jeden w swem odrębnem narodowym jestestwie, objawionem w uczczeniu pamięci jednego z wielkich ludzi swoich, objawionem w sposobie nieznanym podobno dotąd w dziejach świata.

Żadna zmowa, żadna sztuczna agitacya, żadne usiłowania dziennikarskie, żadne zabiegi rządów i stronnictw, żadne środki moralne i materyalne, nie były w stanie wywołać, przygotować i skutecznie tak jednomyślnego i powszechnego obchodu, jakim był odbyty na cześć Schillera. Jedno z dwóch: albo człowiek ten stoi tak wysoko w rozwoju ducha niemieckiego, że naród cały widzi w nim rzeczywiście najwierniejszego i najwznioślejszego wyobraziciela i tłumacza całego swego jestestwa, i uważa go niejako za myt, za symbol, za wyrocznię swego przeszłego i obecnego i przyszłego żywota; albo naród niemiecki znajduje się obecnie w takim umysłowym napięciu i parciu w stronę plemienną i społec-

czeńskiej swojej jedności, że, aby mieć uosobienie, aby mieć sztandar życzeń i dążeń swoich, nadaje wieszczowi swemu więcej proroczego namaszczenia i historyczego posłannictwa, aniżeli on go miał i ma istotnie.

Czy przypuścimy jedno lub drugie, czy przypuścimy i jedno i drugie, czy sprowadzimy obie pobudki do miary rzeczywistego znaczenia i działającej siły; fakt jest faktem, ważność schillerowskiego obchodu przez to się nie zmniejsza, ani wpływ jego wywarty na miliony duchów, spełznąć może na niczém.

Zapewne że w obchodzie tym było wiele idealności, w uczuciach i myślach, w życzeniach i dążnościach, idealności niemieckiemu duchowi tak właściwej a niedającej się może nigdy wcielić w widome i dotykalne postacie rzeczywistego świata. Ale właśnie ta idealna strona obchodu jest najpiękniejszą jego cechą, i ona też, więcej niż wszystkie inne, przynosi chluby i zaszczytu narodowi niemieckiemu. Przez nią obchód stał się przystępnym i dla innych narodowości. Obok charakteru narodowego miał zarazem i charakter ogólnie ludzki. Był godnym utworów sztuki nieśmiertelnego wieszczą, napiętnowanych potrójną cechą: indywidualnego geniuszu, szczególnego narodowego charakteru i ogólnej natury człowieczeństwa. Takie piętno nosić powinny wszystkie prawie arcydzieła sztuki; takie nosić powinny czyny prawdziwego dziejowego rozwoju, mające być zapisane w księdze nieśmiertelności.

Pośród powszechnej czei, oddawanej dziś bałwanowi materjalizmu, dziwiłby się nawet można, że taka idealna uroczystość mogła być przedsięwziętą, i z tak nadzwyczajnym zapalem i uniesieniem, z tak poważnym i uroczystym ładem dokonaną. Jest to wymowna protestacya i reakcyja ducha przeciwko rozpościerającemu się coraz zuchwaliej panowaniu materji. Badania na polu nauk przyrodzonych, szkoły realne i rękodzielne, fabryki machin, narzędzi i wszelkich innych wyrobów, wynalazki, mechanizm, przemysł, handel, wszystko to ma równe uprawnienie w dziejach kultury ludzkiej, jak każda inna praca materjalna lub duchowa. Nikomu też nie przyjdzie na myśl zaprzeczać ogromnego postępu, który ta materjalna kultura w naszych właśnie czasach zrobiła, ani nie podziwiać cudów wynalazków, lub nie uznawać

dobrodziejstw oddanych przez nie ludzkości. Ale wynosić tę materyalną stronę cywilizacyi nad jej stronę duchową, narzucać ją współczesnym pokoleniom, z powodu przynoszonego przez nią widomego pożytku i zysku, na miejsce ich religijnego, politycznego, umysłowego, sercowego, artystycznego, jednym słowem, moralnego wykształcenia, lekceważyć wykształcenie to i patrzeć na prace i owoce jego z obojętnością, że nie powiem z politowaniem i z szyderstwem, zamieniać, jak się jeden z wieszczów naszych wyraził, „narody na kramy“; to jest, co tę materyalną kulturę ochydną czyni, co przeciwko niej ducha oburza i wywołuje jego oddziaływanie.

Z tego stanowiska uważany obchód schillerowski, nie protestacyą tylko ducha przeciwko bałwochwalstwu materyi, lecz był jego nad niém tryumfem. Dowiódł on, że ludzkość jeszcze tak daleko nie upadła, aby jej rozpaczać należało o swe duchowe i moralne dobro, o swe królestwo Boże na ziemi. Świadczą o tem miliony ludzi nie tylko niemieckiej ale i innych narodowości, które w obchodzie tym, czcząc przezeń same siebie, wzięły udział, w obchodzie ku pamięci wieszcza, o którym przyjaciół jego, wieszcz podobnego namaszczenia, po śmierci jego powiedział:

*„Indessen schritt sein Geist gewaltig fort
In's Ewige des Wahren, Guten, Schoenen,
Und hinter ihm, im wesenlosen Scheine
Lag, was uns Alle baendigt, das Gemeine.“*

„Niechaj pokusi się Anglia, pisze Nefftzer, redaktor francuzkiej *Presse*, niechaj się pokusi o obchodzenie pamięci Watta, jak Niemcy obchodziły pamięć Schillera; przekona się, czy mimo powszechnego panowania i nieocenionych usług pary, uroczystość taka w Anglii podobny wybuch ludowego entuzjazmu i zagranicą podobny powszechny współudział wywoła. Narody mają dobry instynkt, i chociaż życie powszednie wskazuje niekiedy przeciwne pozory, przenoszą one zwykle to co piękne nad to co pożyteczne i ducha nad materya“.

Zostawiam chętnie każdemu z rodaków wolność zdania o właściwości lub niewłaściwości schillerowskiego

obchodu na ziemi polskiej. Ale takąż wolność biorę i dla siebie. Wyznaję tedy otwarcie, że byłbym się wstydził w duszy, gdyby naród, który ma „Ode do młodości“, nie był miał udziału w tym obchodzie. Nie uzasadniam bliżej mego widzenia rzeczy. Wypadłoby mi powtórzyć odezwę Eleonory Ziemięckiej umieszczoną w *Gazecie codzienną* i przemowę Ignacego Kraszewskiego powiedzianą przy uroczystości warszawskiej, które obiedwie przeszły i do dzienników niemieckich. Nadmienię tylko, że po przeczytaniu ich, jedna z literackich znakomitości berlińskich, odezwała się w liczmem towarzystwie: „Jakżeż podobna, aby naród, wydający z łona swego tak myślących i piszących autorów i autorki, mógł się czuć szczęśliwym w stosunkach w których żyje!“

Lecz chociaż wyłączymy z obchodu schillerowskiego wszystko to co nosiło na sobie cechę idealną i humanitarną, nie będzie dla myślącego bez zajęcia i to, co oznaczone było piętnem szczególnej niemieckiej narodowości. Były i tutaj idealne sceny i ustępy, mowy i poezye, oznaki i obrazy, które w wielkim stały i stoją przedziale od realnych stosunków życia powszedniego. Ale byłby to naród godny politowania, któryby ducha i serca swego nie karmił i nie poił podobnemi ideałami. Dopóki się ich naród nie wyrzecze, dopóki nie straci nadziei w ich urzeczywistnienie, dopóty żyje, i żyjąc ma przyszłość przed sobą.

Jednym z takich ideałów jest zlanie się plemion niemieckich w jedno polityczne ciało. Obchód schillerowski pochwycony i odbyty z taką jednomyślnością i zapalem, nie jest jeszcze, jak tu wielu sądzi, wystarczającym dowodem, że cały naród niemiecki gotowym i dojrzałym jest do zlania się już w tej chwili w pożądaną jedność polityczną. Okazało się to w r. 1848, okazało się i w bieżącym. Wszakże dążność ta nie jest już dziś czczą marą, nie jest ideałem bez krwi i ciała. Stała się ona już żywą wiarą, która ma swych gorących wyznawców, i nie zabraknie jej zapewne, gdy tego będzie potrzeba, i męczenników. Któż śmiałyby brać za złe narodowi niemieckiemu, że do jedności tej dąży? Dążność podobna objawia się w wszystkich innych rozerwanych narodowościach. Wywołał ją duch czasu, sprzyjają jej

stosunki polityczne dzisiejszej Europy. Stuletnia rocznica urodzin Schillera przypadła jak w samą porę, aby dążności tej nadać tem większego uroku i siły. Ale nawzajem i obchód rocznicy tej, mimo całej idealnej wielkości narodowego wieszcza, nie byłby takim jakim był, gdyby go owa dążność polityczna nie była podniecała.

Czyni wielu z przyczyny tej obchodowi schillerowskiemu zarzut, że miał charakter demonstracyjny. Nie on jednak zdaniem mojem, które już na innem miejscu objawiłem, nie traci na tem, że był demonstracją. Każda wielka narodowa uroczystość ma charakter demonstracyjny, nie ten, to ów. Różnica leży w charakterze osoby lub wypadku, które dają powód do uroczystości. Bez myśli, bez celu naród cały obchodu powszechnego nie przedsięwzięje. Dla czczej jakiegś mary, dla ideału bez krwi i duszy, nikomu się nie powiedzie obudzić powszechnego zapалу. Narody dzisiejsze nie znają platonicznej miłości i nie stawiają ołtarzy i świątyń dla nieznanego bóstwa.

Jest to także jednostronnym sądem, mniej wysoko cenić akt całego narodu, dlatego że w nim więcej niż jedna spowitych jest równocześnie myśli. Właśnie dla tego, że więcej niż jedna jest w nim myśli, że więcej niż jedna w nim równocześnie pomieścić się może, akt takowy jest wielki. Że w obchodzie rocznicy urodzin Schillera mógł stanąć w myśli nietylko wieszcz sam, ale i naród cały, ale ludzkość cała; że odbić się mogła w nim nietylko przeszłość, ale i teraźniejszość, ale i przyszłość; że w nim przyjść mogła do uznania nietylko artystyczna, ale i etyczna, ale i polityczna strona utworów wieszcza; że wreszcie obchód ten był zdolny zbliżyć do siebie najróżnorodniejsze żywioły umysłowe ludzi, plemion i narodów, aby uszanować to co „prawdziwém, dobrém, piękném“ jest i zawsze być powinno w człowieczeństwie; to jest, co stanowi tak wysoką moralną wartość jego, i co go czyni zarazem chlubą żyjącego dziś pokolenia. Oby dla narodów, które uroczystość tę obchodziły, i dla ludzkości, która ją tak czystymi życzeniami powitała, błogie z niej wyrosły i dojrzały owoce!

Paryż w listopadzie.

Jednem z wystających zdarzeń na płaszczyźnie życia Paryża oczekującego w cichości ważnych wypadków politycznych, jest jubileusz Szyllera, który zamieszkali tu Niemcy obchodzili wspaniale. W sam dzień setnej rocznicy urodzin, 10go listopada, było muzykalno poetyczne zebranie w cyrku Cesarzowój, a nazajutrz śniadanie w sali Barthélemy. Bilety na te bankiety sprzedawano po 10, 6 i 5 franków, we wszystkich niemieckich księgarniach.

Odezwy *Komitetu Szyllerowskiej biesiady* złożonego z Niemców, były tak wymownie i gorąco redagowane, że Francuzi na podobne uroczystości obojętni, dali się wciągnąć, i przyszli uczyć niemieckiego wieszcza, tłumniej może niż z własnego popędu uczynili w setną rocznicę urodzin Corneilla lub Moliera.

Uroczystość w rodzaju téj jaką Niemcy wyprawili na cześć Szyllera, jest niemożliwa we Francyi. Francuzki naród praktyczny *par excellence*, a w sprawach publicznych zawsze na swój rząd się oglądający — na rząd także składa obowiązek czczenia swych myślicieli. Jeżeli poeta albo uczony dostanie krzyż legii honorowój, ziomkowie uważają, iż mu się już nic za życia nienależy — a jeżeli jeszcze po śmierci państwo wyznaczy jego wdowie jakie 1500 franków pensyi, naród mniema, że się już z wszelkich długów wdzięczności względem pisarza uiscił.

Jest faktem, że Francuz tak gorący dla ludzi czynu co chwałę narodową podnieśli wysoko, o mężów którzy nie na polu bitwy ale na polu myśli waleczyli, co się okryli nie przelotnym blaskiem orężnych łupów, ale wiecznie trwałą aureolą zdobyczy ducha, dba bardzo mało. Jeżeli mu kto powie: to wielki człowiek! zaraz spyta: — Wielki? a co zrobił? gdzie się wsławił? gdzie zwyciężył? w jakiej był bitwie?

— W żadnej. Ale napisał genialne dzieło.

— A więc to poeta — nie wielki człowiek — odpowie bez namysłu, i darmo by go przekonywać, przy swoim zdaniu pozostanie.

Naród francuzki dwóm tylko pisarzom przyznał nazwę wielkich ludzi: Wolterowi i Russowi, bo ich uważa za ojców swego najpotężniejszego czynu — wielkiej rewolucyi. Michelet w katechizmie którym „Historię Rewolucyi“ zakończył, potwierdza tę wiarę narodową. Reasumując na ostatniej karcie dzieła wszystkie wypowiedziane w ciągu faktu, tak żeby ta essencya ogromnej pracy jego, w najmniejszej głowie pomieścić się mogła, historyk kładzie zapytania i odpowiedzi w ten sposób:

„Pytanie: Kto zrobił rewolucyę?

„Odpowiedź: Wolter i Russo.

„Pytanie: Kto ją zgubił?

„Odpowiedź: Królowa.“ i t. d.

Przodownicy wielkiej rewolucyi, owe tytany, którym się zdawało że w swęj potężnej piersi mają archimedewowy punkt oparcia i naród pod niebo dźwigną potęgą swęj woli — znali tę smutną dla dzieł ducha obojętność narodu, i nad tę wady wykorzenieniem pracowali. — W *Dzienniku Rozpraw i Dekretów* z 1792, znajduje się nader ciekawe sprawozdanie z posiedzenia Zgromadzenia Prawodawczego, dotyczące tęj kwestyi. Józef Chénier najprzód zwraca uwagę na brak współczucia rodaków dla swych pisarzy, a następnie wyklada Zgromadzeniu prawa, jakie mają do narodowej wdzięczności cudzoziemcy, których światłe pisma przygotowały panowanie wolności.

Po nim, w tymże przedmiocie zabrał głos wymowny Vergniaud, i temi słowy poparł zdanie Cheniéra: . . . „Pomiędzy petycyami podanemi przez obywateli Paryża, żadna na większą uwagę Zgromadzenia nie zasługuje. Z mnogich praw jakieście uchwalili, żadne nie wsławi tak waszój pamięci, jak to które wam dzisiaj proponują. Dając obywatelstwo francuzkie wszystkim wielkim myślicielom kuli ziemskiej, którzy przez swe zasady ogłosili niepisane prawa narodów, nietylko wywiązujecie się z długu, ale podnosicie sprawę wyżej. Oświadczając, że obrońcy wolności zrodzeni we wszystkich częściach świata, są waszymi braćmi — przyspieszacie szczęśliwą chwilę powszechnęj swobody — bo skoro wolni podają ręce wdychającym do wolności bliźnim, two-

rzy się łańcuch, którego potężne ogniwa muszą skruszyć przemoc, jak dyamentowe obręcze starą urnę glinianą“

Żałuję iż niemogę powtórzyć tu całej téj wspaniałej mowy przypominającej „Odeę do młodości“ — należy ona do najpiękniejszych improwizacyj ówczesnych, z których każda przemawia jak grzmot potężny z oświeconego błyskawicami nieba i wstrząsa duszą, jak grom ziemią, nadając jej tęż samą moc najwyższą — moc tworzenia.

„Panowie, rzekł w końcu Vergniaud, domagam się, żebyście uchwalili nasz wniosek i poruczyli komisji sporządzenie listy sławnych cudzoziemców, którym tytuł obywateli francuzkich ma być przyznany.“

We dwa dni potem ogłoszono następujące prawo:

„Zgromadzenie narodowe zważywszy, że ludzie którzy przez swe pisma i odwagę służyli sprawie wolności i przygotowali wyswobodzenie ludów, nie mogą być uważani za cudzoziemców przez naród wyswobodzony swem światłem i odwagą;

„Zważywszy, że pięć lat mieszkania we Francyi wystarcza cudzoziemcowi do otrzymania obywatelstwa francuzkiego, a ten tytuł słuszniej przynależy tym, którzy gdziekolwiek zamieszkując, poświęcili ręce i noce swoje sprawie obrony ludów, wykorzenianiu przesądów i rozszerzaniu granic wiedzy ludzkiej;

„Zważywszy, że chociaż trudno dziś marzyć, aby ludzie utworzyli kiedyś tak w obec prawa jak w obec natury jedną rodzinę — to jednak przyjaciele wolności i powszechnego zbratania niemniej przeto winni być drodzy narodowi, który ogłosił że zrzeka się podbojów i pragnie pobratania się ze wszystkimi ludami;

„Zważywszy nakoniec, że w chwili kiedy Konwencya narodowa ma ustalić przeznaczenie Francyi i przygotować przyszłość ludzkości, należy do ludu wspaniałego i wolnego przywołać do siebie wszystkie światła i nadać prawo ubiegania się o ten wielki akt rozsądku ludziom, którzy przez swe uczucia, pisma i odwagę pokazali że nań zasługują;

„Oświadcza, iż nadaje tytuły obywateli francuzkich następującym cudzoziemcom: doktorowi Józefowi Priestley, Tomaszowi Payne, Jeremiaszowi Bentham, Wiliamowi Wilberforce, Tomaszowi Clarkson, Jakubowi Mac-

kintosh, Dawidowi Williams, Garoniemu, Anacharsisowi Cloutz, Kornelowi Pauw, Henrykowi Campe, Pestalozzemu, Janowi Hamilton, Madisonowi, Franciszkowi Klopstock, Fryderykowi Szyller, Jerzemu Washington i Tadeuszowi Kościuszce.

„W Imie Narodu, Rada wyłączna nakazuje wszystkim ciałom administracyjnym i trybunałom, żeby powyższy akt w rejestra swoje wciągnęli, ogłosili, obwieścili w swych departamentach i wykonywali jako prawo. Za wiarogodność podpisujemy niniejszy akt, na którym kazaliśmy przyłożyć pieczęć Państwa.

„W Paryżu, szóstego dnia, miesiąca ósmego — czwartego roku wolności.“ Podpisano „*Danton.*“

Kopje powyższego dokumentu rozesłano każdemu z naturalizowanych. Przesyłając ją Szyllerowi, minister Roland dołączył następujący list:

„Paryż 10go października roku 1792, pierwszego rzezypospolitéj francuzkiéj.

„Do pana Schillera publicysty niemieckiego.

„Mam zaszczyt przesłać Panu tu załączony druk, opatrzone pieczęcią Państwa; jestto prawo z dnia 26 sierpnia które nadaje tytuł obywatela francuzkiego kilku cudzoziemcom. Wyczytasz Pan tam, że Naród policzył Cię pomiędzy przyjaciół ludzkości.

„Zgromadzenie Narodowe dekretem z d. 9go września poruciło władzy wykonawczéj, ażeby Panu przesłała to prawo. Jestem mu posłuszny, proszę zarazem Pana ażebyś wierzył w radość jakiej doznaję, iż jestem w téj właśnie chwili ministrem Narodu i mogę złączyć moje uczucia prywatne z temi, które Ci odświadcza wielki Naród upojony pierwszemi dniami wolności.

„Każ mie zawiadomić proszę, o odebraniu niniejszego pisma, ażeby Naród był pewnym, że Cię jego prawo doszło, i żeś nawzajem Francuzów w poczet swych braci policzył.

„Minister spraw wewnętrznych Rzezypospolitéj Francuzkiéj, *Roland.*“

Skutkiem omyłki w adresie, powyższe dwa dokumenta odebrał Schiller dopiero w pięć lat po ich wysłaniu z Paryża. Ale z gazet dowiedział się rychléj o zaszczycie jaki go spotkał, i jak to z listów jego wiadomo, mocno ważność jego uczuł. Uznanie narodu francuzkiego

pochrzepiło zwątpiałego wtedy ducha poety i w tkliwym sercu jego obudziło osłabłą wiarę w lepszą przyszłość.

Wspomnienie Schillera bardzo naturalnie zapędziło nas w jego czasy — ale trzeba wrócić do dzisiejszego Paryża, boć nie historję piszę lecz kronikę — wracam tedy chociaż nie sędzę, ażeby to co tu mówili wczoraj literaci o Schillerze, więcej cię miało obchodzić od tego jak tu sądzono wolnomyślnego wieszca Germanii przed siedemdziesięciu laty, w kole prawodawców Francyi. Dodam więc tylko kończąc rzecz o Schillerze, iż wieczorne posiedzenie w cyrku rozpoczęto odegraniem dwóch nieznanych kompozycy Meyerbeera, marszem i kantatą, których wspaniała piękność zachwyciła obecnych. Potem Kalisch mówił o geniuszu Schillera i uczuciach łączących z sobą liczne grono słuchaczy; potem drezdeński aktor Dawison deklamował trzeci akt *Don Karlosa* — potem dobrana kapela zagrała heroiczną symfonię Beethovena, która godnie zakończyła na wysoki ton nastrojone zebranie. Wrażenie ogólne było wielkie i głębokie — takie, jakiego w tych czasach doznać nie łatwo.

Przednowek literacki trwa. Książek nie przybywa, a tymczasem pisarze wynoszą się na tamten świat. W kilka dni po panu Paulin, redaktorze *Illustracyi*, zakończył życie Amedeusz Renée, redaktor *Constitutionnella*, autor wielu dzieł, pomiędzy innemi „Siostrzenic Mazariniego“, które tak pod literackim jak historycznym względem są utworem niepospolitym.

W teatrach nowości pełno — ale nie znakomitego. Sztuki nowe wysnuwane po większej części z intryg lub zawiści miejscowych, osobistych, mają też tylko powab i znaczenie dla wtajemniczonych w te kabały osób. „Przeszłość kobiety“, dramat przedstawiany obecnie w *Odeonie*, wywołał dyskusye, sprzeczki — a nawet podobno pojedynki z powodu alluzyi, których sobie autor przypadkiem czy umyślnie pozwoił. Inaczej sztuka przeszłaby zapewne niepostrzeżona, bo przedmiot dla ogółu nie sympatyczny.

Jest na tym świecie istota nie należąca do żadnej płci, nie będąca ani mężczyzną ani kobietą — Francuzi wymyślili dlań specyjalną nazwę *bas-bleu*, u nas uchodzi ona pod ogólnym tytułem literatki. *Bas-bleu* stanowi w społeczeństwie typ szczęściem rzadki, koncentrujący

w sobie antypatye powszechne. Mężczyźni widząc w niej rywalkę, a nie lubiąc żeby im kto berło intelligencji wydzierał, zaprzeczają jęj talentu, chociażby go nawet miała. Co do kobiet, te zamiast się szczycić przez ducha korporacyi, i cieszyć geniuszem autorki — w braku politycznego rozumu dają się, że je zaćmiewa i rade wynajdują plamy na tęg błędnej komecie, nie objętej porządkiem systematu społecznego.

Takięj to istoty przeszłość wziął za przedmiot autor pięcio-aktowego dramatu przedstawionego w Odeonie pod tytułem: „*Le Passé d'une femme.*“ Przedmiot, powtarzam, niewdzięczny i zimny.

— Ależ, zawoła dramaturg, moja literatka stanowi wyjątek w regule, jest fenixem, meteorem, pisze wiersze jak Hugo, a romanse jak Balzak.

— Tem gorzej. Im rzadszym będzie fenomenem — tem mniej będzie zrozumianą i mniej ogół zajmie; tem mniej potrzebna na scenie która winna być szkołą obyczajów.

Ten zarzut zapisawszy na wstępie, opowiem ci pokrótce treść sztuki.

Kobieta wydana za mąż młodo, bez miłości, przez spekulujących na jęj zameściu rodziców, po kilkoletniem pożyciu porzuca męża i córeczkę — dla kochanka. Kochanek niedługo odpłaca jęj tąż samą monetą, porzuca ją dla innęj. Opuszczona pani Montfort, nieśmie powrócić do męża, a ponieważ ma wyobraźnię żywą i umysł wykształcony, pisze wiersze i powieści, które pod przybraną nazwą Ludwika Verneuil, zyskują jęj hołdy i poklaski świata. Ludzie jak dzieci, zawsze goniący za tem co błyszczy, wyciągają autorkę z ukrycia, fetują, schlebiają — słowem, tyle pokłonów wybijają przed Ludwiką Verneuil, ile kamieni na panią Montfort rzucili.

Mimo tak wielkiego powodzenia, literatka w której zawsze natura kobieca przeważa, czuje czezość w sercu, tęskni za córką i zazdrości każdej żebracze trzymającej dziecię na ręku.

Upływa lat kilkanaście. Pewnego razu na balu Ludwika dowiaduje się, że jęj małżonek umarł, a córka poszła za mąż; chce tedy natychmiast powrócić do córki, ale zięć opiera się temu przez obawę, żeby zbliżenie z matką nie wywarło zgubnego wpływu na lotną wyo-

braźnię Cecylii. Zakaz trwożliwego męża na nie się nie przydał. Przypadek ułatwia spotkanie matki z córką. Cecylia znudzona wsią i lękając miejskich rozrywek, przybywa do Paryża i staje u przyjaciół, gdzie sławna autorka często bywa. Tam zabierają z sobą znajomość. Ludwika nie wyznając Cecylii że jest jej matką, stara się pozyskać jej przyjaźń; wkrótce obserwując ją bacznie, dostrzega, że bezduszny bożek salonowy, niejaki Karol Muller uporeczywie zaleca się Cecylii i jest przez nią dobrze widziany.

Młoda mężatka, chociaż nie dzieli jego zapałów, pewnego wieczora na koncercie słysząc oklaski sypane zewsząd artyście — widząc zapał ogólny dla talentu swego wielbiciela, doznaje zawrotu głowy, i wyznaje wirtuozowi, iż jest mu wzajemną.

W tem przyjeżdża mąż. Pozycya żony staje się trudna, niepodobna do wytrzymania... Kochanek proponuje Cecylii ucieczkę, i ażeby ją do tego skłonić, daje do czytania młodej żonie romans matki, podkreśliwszy starannie wszystkie miejsca mogące do reszty odurzyć egzaltowaną głowę.

Ludwika odkrywa intrygę zręcznego uwodziciela. Dowiedziawszy się o umówionej schadzce kochanków, niespodziewanie staje pomiędzy niemi. Artysta dziwi się, że genialna pisarka odradza Cecylii iść drogą, którą niegdyś sama wybrała. Ludwika dowodzi, że właśnie dla tego, iż sama zwiedziła te bezdroża, wie dokąd prowadzą, przybywa ocalić tę, która się niemi puścić zamierza. Z tego punktu wyszedłszy, literatka wymownie przekonywa córkę, że tylko głowa jej jest zakochana, a serce zawsze wierne mężowi, który niczem na utratę jego niezasłużył.

Cecylia bada siebie — przekonywa się o słuszności uwag Ludwiki — dziękuje jej że ją nad brzegiem przepaści zatrzymała — i odprawia z niczem swego muzykanta.

Mąż który wszystkiego słuchał z ukrycia — pokazuje się w chwili, kiedy Ludwika żegna Cecylię — i jak gdyby nigdy nic, oznajmia żonie zamiar jechania na wieś.

— Nie pojedziemy sami, dodaje w końcu, prosz swojej matki, żeby nam towarzyszyła... to mówiąc popycha

drżącą córkę w objęcia szczęśliwej matki — i kurtyna zapada.

Sztuka ta napisana gładko, wpada w ucho przyjemnie, ale pojęcia autora nie tak dobrze jak styl jego wyrobione: miesza on sławę z moralnością — poezję z cudzołozstwem. Pani Verneuil, mimo widocznej chęci naśladowania pani Sand, nie jest wcale Palladą, ale bardzo powszednim strąconym aniołem, który daną sobie przez autora aureolę nosi jak kapelusz *à la Pamela*. — Cecylia daje się kusić przez tak zwykłego uwodziciela, że ani jęj upadek ani zbawienie nie obchodzi słuchacza. Mąż energicznie deklamuje tylko przeciw niewieścięj sławie literackiej trudno pojąć spokoju z jakim przysłuchuje się z za firanki scenie, w której muzykant miłosne *tutti* przed żoną jego odgrywa. Zamiast świekrze powierzyć obronę swego honoru, czyż nie byłoby naturalniej żeby sam wyszedł i przemierzył laską śmiesznego wirtuoza, chociażby za to tylko, że tak głupią ma minę. Czyż takie rozwiązanie nie lepsze?

Oba teatra opery przedstawiają nowe sztuki: Opera wielka „*l'Ame en peine*“ Flotowa, (lichota w najgorszym gatunku), opera Buffa „*Pagodę*“ pana Saint-George. Opera komiczna ma, jak ci wiadomo, swoją osobną geografję. Na jęj atlasie widzisz dwie dzielnice, jedna zwie się *Skrybia*, a druga *Saint-georgia*. W tych dwóch częściach świata odbywa się mnóstwo romantycznych i fantastycznych awantur, wcale historyi naszego świata nieznaných. Osoby nowęj opery mieszczą się w *Saint-georgii*, a o *Pagodzie* wspomnieć warto chyba dla tego, że modna i mnóstwo ludzi chodzi uczyć się na nięj mitologii indyjskiej, uważając iż ciężka ta nauka ułożona w balety, najłatwiej się w pamięć wdraża.

Od *Pagody* do Chińczyków tylko krok. Otóż powiem ci, że od czasu krwawego starcia Europy z Chinami, pojawiły się tu nowe próbki ślicznęj populacyi Państwa Niebieskiego. Można czasami napotkać Chinę na bulwarach. Sam widziałem przypadkiem, dwa takie karłowate monstra uchodzące za najpiękniejsze egzemplarze rasy niewieścięj w Kantonie.

Jeszcze jedno złudzenie, z którem się trzeba pożegnać. Zdaje się że wszystko co mówiono i pisano o piękności Chinek, jest wierutną bajką. Otaczająca je tajemnica

już się wykryła w Paryżu. Najpiękniejsze z nich mają płaskie nosy, pleć żółtą, oczy kocie, kibić koślawą, powierzchowność co się zowie odpychającą. Mówię o żonach Mandarynów, to jest o wielkich damach chińskich. Co się zaś dotyczy sławnych statków kwiatowych, pływających po wodach żółtej rzeki, do których tyle ponętnych poczyniono alluzyj, tyle powabnych napisano bredni — są to w rzeczywistości dość brudne kawiarnie, gdzie się pije herbatę, pali fajkę i gra w karty, i gdzie herbatę i fajkę podają bardzo brudne i bardzo brzydkie poczwarki.

Nadto do uzupełnienia téj charakterystyki dodać potrzeba, że kobiety chińskie są najzłośliwsze pagody z całego Państwa Niebieskiego, obok tego, nie mają żadnego wstydu w oczach, kłamią jak najęte, a w dodatku kradną — nie z potrzeby — ale przez zamiłowanie téj sztuki. Obrzydliwie słuchać, co o nich Francuzi opowiadają.

Jedynym szczegółem oryginalnym, który w charakterze chińczyków uderza, jest pogarda śmierci. Posuwają oni to uczucie aż do manii: nietylko nie chodzi im o zachowanie życia, ale bez potrzeby szukają śmierci. Przrzecz tylko Chińczykowi, że mu postawisz porządną nagrobek, a gotów natychmiast się zabić. Jednakowoż, musi mieć pierwój pewność że będzie miał nagrobek. Zdarzył się przypadek, że jeden taki amator wygodnego grobu, ciągnął Francuza do władz miejscowych, przysięgając, że skoro tylko się urzędownie zobowiąże wykurować mu grób, on natychmiast w oczach jego życie sobie odbierze.

Zkąd może się wziąć taka nadludzka odwaga w tak podłych parawanowych figurach? Boć niech co chcą mówią nowsze filozofy, samobójstwo nie jest tchórzstwem. Posłuchajmy co o niem powiada Balzak: „Jest coś wielkiego i straszliwego w samobójstwie, mianowicie jeżeli jakiś wielki człowiek się zabija... musi on spadać z wysoka — musiał się podnieść aż do nieba i dojrzeć jakiś raj niedostępny... nie ubłagane być muszą huragany, które zmuszają go do żądania od pistoletu spokoju. Ileż to młodych talentów ginie marnie dla braku przyjaciela w pośrodku miliona bliźnich, w tłumie ludzi znudzonych złotem. Na tę myśl, samobójstwo przyjeżdża olbrzymie kształty. Bogu tylko wiadomo, ile po-

myśłów wzniosłych, poronionych arcydzieł, waha się tu pomiędzy samobójstwem a nadzieją, której głos przywołał młodzieńca do Paryża. Na jakimże oceanie literatury znajdziesz pływającą książkę, którejby geniusz mógł waleczyć z tym lakonicznym anonsem paryzkiej gazety: „Wczoraj wieczorem młoda kobieta skoczyła w Sekwanę z nowego mostu“ i t. d.

Ale wróćmy do kroniki. Mimo politycznych zajęć mówiono tu wiele ostatniemi czasy o potopie. Do nadania powabu tej kwestyi, nie mało się przyczyniła zapewne kwestya włoska; ten i ów bowiem w zapowiedzianym kataklizmie z przyjemnością widział ostateczne załatwienie nużących i na pozór niepokonanych trudności, które jak drugie Alpy za Alpami się piętrzą.

Prócz tego, są chwile w których świat czuje potrzebę zajmowania się swoim końcem. I tak, lat temu dziesięć z powodu astronomicznej przepowiedni wypadłej niepoornę już z którego niemieckiego obserwatorium — pisało wiele o kataklizmie mającym wkrótce nasz glob pochłonać. Teraz znowu paryzka akademia nauk zwróciła uwagę na teorię Adhémara, który już nie przepowiada ale *zapowiada* nowy potop. Nie lękaj się atoli. Obrachowany przez francuzkiego astronoma potop nastąpi dopiero za sześć tysięcy trzysta lat — mamy tedy czas pomówić o nim spokojnie.

Nie tu miejsae rozbierania tej naukowej tezy, zasługuje ona na osobne i obszerne obrobienie — to tylko więc powiem tutaj, że teoria Adhémara uderza swą genialną prostotą, głowy się czepia i uwagi każdego wykształconego człowieka jest godną.

Memoryał w którym autor tak smutną przyszłość wróży światu, wyszedł jeszcze w roku 1841 w Paryżu, ale ponieważ autor jest paryżaninem, a nikt prorokiem w własnym kraju, rzecz choć nader zajmująca, przeszła niepostrzeżona we Francyi. W Niemczech dzienniki szeroko o tej książce rozprawiały w swoim czasie.

Teraz z powodu dzieł innych, a mianowicie zapisków pana Elie de Beaumont, w których szanowny członek Instytutu broni owęj teorii podnoszenia się ziem — inni akademicy chcąc zbić to twierdzenie, powołali się na powagę Adhémara, i jakby wynagradzając mu dawny

indyferentyzm, przez dwa miesiące z rzędu teorią jego się zajmowali.

Było tych dyskusyj aż do znudzenia. Długo rozprawiano seryo — ale że w Paryżu wszystko musi się skończyć na żarcie — jedno z pism tutejszych zapieczętowało kwestyę potopu wybornym artykułem humorystycznym.

Autor artykułu opisuje najprzód katastrofę zalania Paryża. Pomiedzy pierwszym a drugim rozdziałem upływa kilka tysięcy wieków. Zapowiedziany przez Adhémara potop odbył się od niepamiętnych czasów; na osuszonych łądach powstały znów nowe miasta, nowa cywilizacya i nowe akademie. W jednej z nich jakiś sławny uczony czyta sprawozdanie ze swych poszukiwań odbytych na gruncie, gdzie niegdyś jak podanie niesie, stała Sodoma XIX wieku, Paryż.

Na to posiedzenie wprowadza autor czytelnika. Skoro ciekawa publiczność zasiadła ławy, uczony geolog tak mówić zaczął:

„Panowie! Nauka, ta niezmordowana szperaczka która co dzień uposaża ludzkość nowemi dobrodziejstwami, dziś niepospolity łup wam przynosi. Trzy tysiące lat upływa jak ziemia nasza zalana potopem utraciła całą swoją poprzednią kreację. Właśnie o tym potopie mówić zamierzam. Czy glob nasz był czy niebył przed tą katastrofą zamieszkały przez ludzi — jestto kwestya, która najprzód nastrecza się uczonemu. Jeden z moich kolegów twierdzi że *tak*, drugi że *nie*, ja nie mówię ani *tak* ani *nie*... (głośnie oklaski), ale z poszukiwań moich wyciągnąłem pewnoś, że ziemia przed potopem była zamieszkała przez olbrzymią kreację i dowiodę tego...

„Szperając w ziemi przez lat dwadzieścia, na miejscu gdzie stać musiało jakieś wielkie miasto, odkryłem szczątki kopalne ogromnego znaczenia. Ale trudnięj niżeli znaleźć, było odgadnąć ich naturę, ukraść, że tak powiem, zniszczeniu tajemnicę przeszłości (oklaski). Pierwszy szczątek (pokazuje stalowe obręcze od krynoliny) jestto skielek wybornie zakonserwowany — forma jego jak widziecie kolistą; żebra coraz zwężające się idą jak pierścienie. Zwierz ten znikły z powierzchni globu, musiał się czołgać i żyć pastwą znalezioną w błocie. — Drugi szczątek (pokazuje czaszkę eleganta z Boulevard de Gand), jestto czaszka, w której szczupłość komórki

mózgowej dowodzi, iż należała do ptaka z rodzaju naszych kanarków domowych. — Trzeci przedmiot którego tu dla wielkich jego rozmiarów przynieść nie mogłem, (Obelisk Luxorski) nadzwyczaj ciekawy, jest, mam na to dowody, grzbietem olbrzymiej ryby, która z potopem w te strony przywędrowała. Sądząc z téj ości, obok niej nasze wieloryby wydawać się musiały jak płotki.

„Co do czwartego wykopu, ten, chociaż znaleźliśmy go bardzo wiele na pewnej przestrzeni, (pokazuje bifstek z restauracyi paryzkiej po 32 sous) jest dla nas zagadką. Zawsze ma on też samą formę i też twardość. Ta twardość niesłychana sprawia, iż się obronił wszelkiemu parciu zniszczenia... nie można go nawet młotem rozkruszyć. Ciekawe to ciało wymaga studiów i osobnego raportu, który później szanownemu zgromadzeniu złożę. Na teraz trzy rzeczy są pewne: istnienie płazu, ptaka i ryby przedpotopowej.

„Dumny z mego odkrycia, śmiem prosić akademię w kumy: niech ochrzczi i nada imie każdej z tych ras odmiennych, które dzięki mojej cierpliwości zmartwychwstały.“

Grzmot oklasków zakończy mowę uczonego, Akademia wotuje jednogłośnie dożywotnią pensję dla uczonego kolegi, a zgromadzenie okrzykuje go chlubą narodu.

Londyn w listopadzie.

Miesiąc upłyniony odznaczył się głównie przedsięwzięciami, które długo zostaną pamiętnymi w rocznikach cywilizacyi. W ciągu niego urządzono dwie nowe misye w celu rozszerzenia chrześcijaństwa w Kolumbii na północno-zachodnich brzegach Ameryki, i w środkowej Afryce; w ciągu niego uniwersytet edynburski otrzymał nową organizację zbliżającą go w układzie do uniwersytetów w Oxfordzie i Cambridge, a podnoszącą zarówno godność téj wszechnicy tak korzystną dla wychowania publicznego; w ciągu niego także powszechny i że tak powiem kosmopolityczny popęd uczenia wszystkiego

co słynne geniuszem, było pobudką oddania uroczyscie hołdu uwielbienia wielkiemu poecie, lubo obcego narodu.

Co się tyczy pomienionych misyj religijnych, nowe biskupstwo anglikańskie kreowano do Kolumbii i uposażono w znacznej części przez pewną angiolkę Miss Coutts, znaną zkażynad z dobroczynności. Biskup Dr. Hills już na nie wyswięcony, w tych dniach z kilku księżmi odpłynął do téj kolonii angielskiej dla opowiadania ewangelii dzikim w pogaństwie żyjącym krajowcom. Drugie biskupstwo ustanawia się do środkowej Afryki, do krajów które Dr. Livingston pierwszy wysłedził i obecnie je powtórnie zwiedza. Biskupem do nich zamianowany jest ks. Mackenzie. Zbierają fundusze na uposażenie téj misyi pod powagą wszechnic oxfordzkiej i kambridzkiej, gdyż misya ta chrześcijańska ma być uniwersytecką i jako naprzód przez nie była początkowaną, tak ma się pod wspólną ich chorągwią na przyszłość rozwijać. Pierwszy projekt do téj misyi był ostatniej wiosny w Oxfordzie przez biskupa tamecznego Dra Wilberforce przedstawiony, — jakeśmy o tem byli podtenczas w *Czasie* nadmienili; a bieżącego miesiąca odbyło się liczne zebranie w Cambridge, na którym tenże biskup, pp. Gladstone i Walpole znajdowali się, i wspomniony wniosek zyskał jak najmocniejsze poparcie. W porównaniu z wydatkami jakie inne towarzystwa religijne zwykły łożyć na swych misyonarzy i szkoły w różnych krajach, a osobliwie w południowej Afryce dla zaszczerpienia chrześcijaństwa, obliczono: że misya do środkowej Afryki kosztować będzie na podróż i oporządzenie biskupa z sześciu misyonarzami, najmniej 1000 fst., utrzymanie ich doroczne 2000 fst. Na to już zebrano początkowo 1610 fst. składek, a 176 fst. mających być wnoszonemi w pewnych terminach corocznie. Jest to tylko na początek, żeby bowiem zapewnić powodzenie całej misyi, potrzeba na nią przynajmniej 20,000 fst. Lecz i tę sumę nietrudno będzie zebrać, zwłaszcza, że tu o wielką rzecz idzie, bo o zaszczerpienie ewangelii, zniesienie handlu niewolnikami i zbliżenie zdziczałych pokoleń do cywilizowanego świata. Wszystko to w Anglii znajduje, jak zawsze znajdowało, gorliwych zwolenników i czynnych popieraczy. Żaden gabinet nie robi

przeszkody tego rodzaju stowarzyszeniom; owszem rząd ułatwia im wszelkie środki wiodące do zamierzonego celu. I lepiej uia tem wychodzi niż gdyby krępował, bo spółnictwo to działania wzmacnia jego ręce, wznosi potęgę.

Po tem co się powiedziało o misjach religijnych mających w dalekich krainach rozpędzić ciemności pogaństwa, nowe urządzenia uniwersytetu w Edynburgu zasługują na szczególną uwagę. Według nich a porównywiających go z uniwersytetami w Oxford i Cambridge, lord Brougham niedawno był obrany jego kanclerzem a p. Gladstone rektorem. Otwarcie téj wszechnicy szkockiej według nowéj ustawy, nastąpiło dnia 1go listopada. Sir David Brewster, sławny profesor nauk przyrodzonych, z tytułu swego jako jój „principal“, zagał tegoroczne jój posiedzenie. W mowie swéj po oddaniu należnéj czci poprzednikowi swemu prof. Lee, niedawno zesłemu, sir D. Brewster zwrócił uwagę na korzyści jakie z nowéj ustawy uniwersyteckiej spłynąć mają na członków wszechnicy, na profesorów równie jak na uczniów, rokując dla nich świetną erę na przyszłość. Po czem zwracając się na historię dawniejszą uniwersytetu, dalej rzecz prowadził w tych słowach: „Za dawnych czasów katedry uniwersytetu obsadzone były duchowieństwem, i niedziw że tak wyłączny system wtenczas istniał, gdy ogólnie mówiąc, wielebny ten stan sam jeden niemal za owych dni posiadał nauki. Następnie reformacya sprowadziła wielkie zmiany w naszych zakładach naukowych; lecz jakkolwiek były one ważnemi, uniwersytety nasze wszelako zostawały długo pod władzą i zarządem kościelnym; dopiero roku 1830 komisyja królewska orzekła: że uniwersytety są zakładami narodowemi dla wychowania młodzieży wszelkich wyznań i zawisłemi jedynie od króla i władzy prawodawczej. Pomimo tego orzeczenia, zostawały z niem w sprzeczności pewne przysięgi (tests) na wierność kościołowi, wyłączające w razie niezłożenia ich, od pewnych przywilejów profesorów, choćby najbogobojniejszych i najsłynniejszych nauką, dla tego jedynie że niebyli członkami kościoła prezbiterjalnego. Później wprawdzie potrzeba składania téj przysięgi była przez parlament usunięta, lecz nawet po zniesieniu jój zastarzała od dawna wyłączność nie dała się

do reszty wykorzeń, pozbawiając 68 profesorów, mających katedry w trzech uniwersytetach szkockich, prawa wyboru na pryncypałów, czyli naczelników. W skutek tego najsłynniejsi mężowie w literaturze i filozofii, wyłączani bywali od piastowania tej godności w uniwersytetach których byli ozdobą. Ani David Hume, ani Adam Smith, ani Playfair, ani Dugald Stewart, ani Hamilton, ani Wilson niemogli jej dostąpić, chociaż sława ich, gdziekolwiek język angielski jest znany, rozniosła się po świecie. Odmawiano im u nas prawa, którego prawda i sprawiedliwość w żadnym innym kraju niezaprzecza wyższym geniuszom i talentom, a posady któreby oni zaszczytniej zajmować mogli, obsadzano ludźmi innego powołania. Jak na całym świecie, tak i w naszym kraju prawnik ma otwartą drogę nawet na wielkie kancelerstwo lub do krzesła sędziowskiego, najniższy z księży może zostać arcybiskupem, i najuboższy człowiek być pierwszym ministrem państwa, a tylko profesor szkocki otrzymawszy raz katedrę, niemógł wznieść się wyżej. Było to wielką plamą akademicką, która odtąd na zawsze zmazaną zostaje. Izba lordów pragnęła jeszcze utrzymać te zabytki dawnych nadużyć, lecz Izba niższa oparła się wszelkim ograniczeniom, i tak bill w całości przeszedł i otrzymał moc prawa.“

W dalszym ciągu mowy sir D. Brewster mówił, jaki według nowej ustawy będzie skład uniwersytetu. Radę jego mają składać: kanclerz, rektor, pryncypał, Provost (burmistrz) edynburski z czterema assessorami przez nich dobranymi. Rada zawiaduje sprawami uniwersytetu, obiera profesorów. A że rektor zawisł od wyboru zamatrykułowanych studentów, więc i oni pośrednio w czwartej części wpływać będą na wybór swych nauczycieli do dwudziestu katedr akademickich. Tak dalece elekcyjny system w uniwersytecie się rozciąga, i ustawa orzeka, aby wykonywany był przez wybory sumienne, bez względu na partye polityczne i wyznania religijne, do których przedstawiający się do katedr kandydaci mogą należeć. Gruntowność ich nauki i zdatność ma głównie kierować wyborami.

Uczony mówca biorąc z tego pochop, że uniwersytet edynburski był siedliskiem filozofii szkockiej, upominał słuchaczy, aby nieprzystając na dawną jego sławie,

starali się własną ją pracą pomnożyć; a wszedłszy na pole nauk przyrodzonych, których sam był jednym ze słynnych zwolenników, szczególnie nad niemi się rozszerzył. Ustęp ten z jego mowy w całości tu przytaczam:

„Dziela stworzenia są przestworem bez granic — rzekł mówca. Nieograniczone są ich siły, niezmierzająca mądrość, niewyczerpana dobroć — wszędzie one was otaczają. Wielkość bez końca równie jak nieskończona małość wyprzedzać się na przemian będą, wywołując wasz podziw. W rozważaniu cudownych zamiarów stworzenia jakie się wam w skutek dociekań przedstawiać będą, niepuszczajcie z uwagi téj niemal nadludzkiej siły, bez którejby niemożna było ich dosłedzić. Z podstawy ziemskiej na której człowiek się urodził i do niej jest przywiązany, bez żadnej inszej pomocy oprócz swego oka i ręki, przedarł się on geniuszem swym w ciemne i najodleglejsze zakątki czasu i przestrzeni. Skończoność ogarnęła rozumem nieskończoność. Jestestwo tegodienne przedarło się w pierwotne czasy, wyczytując z podziemnych pomników misterne napisy, sprowadzając z nich kronikę tysiącznych wieków. Śledząc po chropowatych dzielnicach i po rozpadłych powierzchniach kuli ziemskiej, człowiek poznał działania olbrzymich sił sprowadzających zmiany mórz i lądów, w skutek których pasma gór wysunęły się z głębi oceanów, a złoto i srebro, węgiel, żelazo i wapno, dostały się rodzajowi ludzkiemu na użytek i na środek ku jego cywilizacyi. W skutek tych przyrodzonych sił, potężne królestwa zwierząt i roślin legły w warstwach ziemi pogrzebane. W swych astronomicznych dociekaniach doszedł on tego, że ziemia mieszkanie nasze, krąży w przestworzu jako kula, będąc jedną z najmniejszych planet; odbywa jak one pewne wyznaczone dla siebie ruchy i obroty, rozmierzając nam czas i pory roku. Po za okresem naszego planetowego systemu, systemu przez odkrycie Neptuna teraz rozprzesztrzenionego do 3,000,000,000 mil od słońca, teleskop otwierając widok na ogromny przestwór reszty wszechświata, przedstawi wam nowe słońca i inne systemy słoneczne, światy nieskończone liczbą i różnaitością, a wszystkie niewątpliwie mające niezliczone krocie żyjących istot, — nowe sfery dla chwały Stwórcy i uznania jego potęgi i dobroci. Wyobrażenia te i tym podobne

przedstawiając się umysłowi pragnącemu nauki, niepodobna żeby nie zachwiały jego równowagi lub nie naruszyły poprzednich jego przekonań. Jeżeliby kto z was popadł w ten stan umysłowy, niech to was bynajmniej nie trwoży. Ten rodzaj sceptycyzmu jest tylko wynikiem nieskrępowanego i szlachetnego umysłu. Niema stałości przeświadczeń bez walki z powątpiewaniem i bez uprzątnienia różnych zawilosci; wiara tylko w ten sposób za młodu osiągniona, spoczywa na niewzruszonym fundamencie. Łatwowierność przeciwnie, jest chorobą słabego umysłu lub źle prowadzonego wychowania. Biorąc wszystko na wiarę a nierozbierając niczego *) umysł obciąża się błędami, i wiara obrastając niemi przytłumia rozum. Wprawdzie ta skłonność do wierzenia może w pewnych względach zasługiwać na pobłażanie nawet filozofii, lecz gdy pogardzi wymaganiami ścisłego dochodzenia prawdy drogą indukcyjną, chcąc imaginację osadzić w przybytku umiejętności, takowa skłonność jest wielce szkodliwa i należy jęj się chronić,...

„W błękiecie niebios w górze nad wami, w uśmiechającej się wam ziemi na dole, i w towarzyskim świecie naokoło, pełno znajdziecie zajęć dla szlachetnych waszych badań, i obszary przestronne dla odkryć i wynalazków. Umiejętność najmniejszej niezdożyła prawdy, sztuki żadnego wynalazku, ani religia żadnej warowni, ani ludzkość nieodniosła najlichszej korzyści od zarozumiałych mistyków grzebiących w gruzach przewróconych praw przyrodzenia, kopiących wiedzę w pieczarach niewidomego świata i zuchwale wdzierających się na zdobycie przybytku przyszłych przeznaczeń. O ile to co mówię jest prawdą, o tyle obeznawanie się z zasadniczymi prawami materialnego świata, nie przez samą tylko młodzież sposobiącą się do literatury i do stanu duchownego, ale nawet przez wszystkie masy ludności krajowej, powinno być obowiązkiem chrześcijańskiego kościoła i każdego chrześcijańskiego rządu. Na jedną jeszcze gałąź nauk chcę zwrócić waszą baczość. Postępy za nowszych czasów zrobione w mechanice i pożytecznych sztukach,

*) Nie należy spuszczać z uwagi, że to mówi pod względem religijnym protestant, a pod względem filozoficznym zwolennik empiryzmu. P. R.

zaczęły przeważny wpływ wywierać na życie, i wołają oraz o zmianę systemu publicznego wychowania. Zwyczajne wiadomości jakie dotąd usposabiały ludzi na uczonych i pożytecznych członków społeczeństwa, nie wystarczają im dłużej po wygórowaniu praktycznych umiejętności. Nie upłynie żaden rok, co by się nieodznaczył jakim nowym wynalazkiem. Kolosalnej wielkości mosty wiszące przewożą ogromne pociągi przez odnogi morskie; podmorskie druty przenoszą słowa mowy ludzkiej na 2000 mil przez ocean; olbrzymi okręt zbudowany ma na swój pokład zabierać tysiące podróżnych, a teraz ogromne wynaleziono działo mające na kilka mil ang. ciskać swe śmiertelne acz niechrześcijańskie pociski bądź na lądzie bądź na oceanie. Do tego, nowe wynalazki sztuk, jedne użyteczne, drugie służące ku ozdobie, mnogo pojawiły się za naszego czasu. Nowe siły z tajników natury wydobyto na jaw; człowiek znosi się przez morza i lądy bezpiecniej i spieszniej niżeli szybkością ręczego rumaka lub na skrzydłach orła. Zgoła dokądkolwiek się obrócim, wszędzie nas sztuki i umiejętności otaczają. One otwarły dla wielu nowe zawody i zyskowe posady w społeczeństwie. We wszystkich naszych zamiarach i stanach życia, są nam one pomocą. Po naszych domach zaopatrują nas w ciepło i światło; w podróżach naszych napotykamy je na każdej stacyi lądowej i w każdym porcie na brzegu morskim. Obecne, gdy zasiadamy do stołu we dnie, i gdy kładziem się na noc do spoczynku. Myślom naszym nadają szybkość błyskawicy, zegarom punktualność słońca; a lubo udzielić nam nie mogą zawołanej Archimedesesa dźwigni, by nią podważyć ziemię, ani oznaczają punkt, na którym stojąc moglibyśmy tego dokonać, jednakowoż podały nam do rąk narzędzia tak nadzwyczajnej siły, że za ich pomocą możemy poznawać najodleglejsze w przestrzeniach światy, i opatrzyły nas zarazem umysłową ołowianką, by nią zbadać głębokości ziemi i policzyć epoki jej istnienia. Nie dość na tem: człowiek ufny w swoje siły, w swęj niewiedomości odważa się na daleko więcej. Leczą, lubo nie dozwolono mu szczytami wieży wznoszonej z kamieni dosięgnąć nieba i chociaż na próżno sili się żeglować po powietrznym Oceanie, wszelako wzbił się w empiryjską

sferę po ogniach myśli, jakich ani błyskawice zniweczyć, ani komety rozbić nie zdolne; i chociaż niewolno mu jest cielesną ręką dotknąć się płodów innych światów ani stanąć stopą na planetach, może wszakże bystrzej niżeli okiem orla postrzegać rozsiane w przestworzu wielkie dzieła stworzenia, i że tak powiem, przechadzać się umysłowo po mozaice gwiazdzystych systemów, nie lękając się smutnego losu Faetona. Rydwan umiejętności najbezpieczniejszy — jest on niewywrotny.“

Mówiąc nakoniec o stopniach akademieznym, Sir D. Brewster ubolewał nad zupełnym brakiem nagród i zachęty od rządu dla tych co się dawniej umiejętnościom i literaturze poświęcali. Od trzydziestu lat wszakże to się zmieniło i terazniejsze uwzględnianie uprawiaczy umiejętności przypisywał Sir D. Brewster głównie lordowi Brougham, podczas piastowania godności wielkokanclejskiej przez tego znakomitego męża stanu roku 1830. Za jego poleceniem król Wilhelm IV nobilitował astronoma Herschla, profesora Leslie i Karola Bell. Od tego czasu trzydziestu innych uczonych dostąpiło tego zaszczytu. W ślad tych honorowych dystynkcji, w zwyczaj weszły materyalne dla niektórych nagrody za zasługi położone w literaturze, i na liście cywilnej znajdują się teraz zamieszczone imiona pięćdziesięciu takich osób, a między niemi stoi na czele królewski astronom jako nominalny wyobraziciel i „poeta laureatus“ wyobraziciel literatury. Te reformy stopniami prowadziły do innych, a uwzględnianie umysłowych prac i praw przez jeden gabinet, stało się pobudką do uznawania ich przez drugie ministerya, tak że udział w szczerobliwości rządu rozciąga się teraz niemniej na indywidua jak na instytucye naukowe. Mężowie celujący w naukach przypuszczani są do urzędów i wiele towarzysztw w stolicy pobiera ze skarbu publicznego wsparcie pieniężne. Podobnie system naukowy uniwersytecki zawdzięcza swe rozszerzenie lordowi Brougham przez założenie za jego staraniem uniwersytetu londyńskiego, poczem niehawem z tym samym popędem założone zostało kolegium królewskie (King's College). Następnie trzy kolegia formujące *Queen's University*, założone i uposażone zostały w Irlandyi w celu wyrwania z ciemnoty tej nieszczęśliwej krainy. Obecnie fundują kolegia i uni-

wersytety w koloniach angielskich, w Indjach i Australii, ułatwiające młodzieży nabywanie oświaty i szerzenie jęj wszędzie w najodleglejszych nawet posiadłościach berłu W. Brytanii podległych. Nie może to z postępem czasu zostać bez użytku.

Trzecim niemniej głośnym w tym miesiącu wypadkiem był obchód dnia 10 b. m. setnej rocznicy Szyllera w kryształowym pałacu w Sydenham. Było na nim do 15,000 osób po największej części Niemców, co dowodzi, że mieszkańcy tej narodowości nie szczupłą w stolicy angielskiej składają kolonię; było tam wszelako także wielu Anglików. Z resztą wszystko wyglądało z cudzoziemska, z niemiecka. Wszędy przeważał język niemiecki, ich chorągiew narodowa powiewała, ich były chorągwie cechów, przemysłu i handlu, z nich się składały szeregi idące procesyą — zgola wszystko, ruchy i obyczaje były nacechowane niemieczyzną.

Program tej uroczystości składał się z następujących części: 1) Marsz „Szyllera“ skomponowany na ten obchód przez Karola Groos. — 2) Uwertura z „Wilhelma Tella“ Rossiniego. — 3) Mowa Dra Kinkla, którą zaraz sprzedawano na miejscu w niemieckim i angielskim języku. — 4) Kantata umyślnie na tę uroczystość napisana przez Freiligratha z muzyką Pauera. Po wykonaniu jęj przez towarzystwo niemieckich śpiewaków, popiersie Szyllera kolosalnej wielkości odsłonięto. — 5) Solo na skrzypcach przez Wieniawskiego. — 6) Śpiew niemiecki „Träume und Gesang“ urządzony i dyrygowany przez p. Manns. — 7) Liryczna poezya Szyllera „Dzwon“ z muzyką Romberga, wykonana przez blisko 1000 śpiewaków związku pieśniowego pod przewodnictwem p. Benedict.

Cały ten program był mniej więcej nie źle wykonany, bo w tym wieku zdelikaciałym i wybrednym pod względem artystycznym, nie łatwo jest ująć krytyki. Co jednak w wykonaniu programu najbardziej uderzyło, to mowa Dra Kinkla byłego profesora literatury w uniwersytecie w Bonn, a od kilku lat wygnańca. Jego urodziwa i poważna postać, głowa osiwała, broda zapuszczona i głos donośny, że w najdalszych zakątkach pałacu mógł być słyszany, gdy mówił o geniuszu Szyllera, o sławie literackiej germańskiej, rozwodzenie się nad potrzebą

jedności wszystkich Niemiec i oklaski jakie mu jego słuchacze niemieccy dawali, sprawiły nawet na Anglikach wielkie wrażenie; chociaż dla nich jako nieznających niemieckiego języka, treść mowy naturalnie była stracona i byli naprawdę jak u nas mówią, na niemieckiem kazaniu. W ciągu swój mowy Dr. Kinkel nadmienił, że właśnie w tym samym roku i dniu, w którym Szyller się urodził, Händel zeszedł z tego świata, a z nim jednocześnie urodził się Burns poeta szkocki. Anglicy jednak sądzą, iż te twierdzenia uczonego mowcy były wyrzeczone więcej *ad captandum*, jak zgodnie z prawdą. Statystyka ówczesna daty zejść i urodzin ludzi mniej dokładnie notowała, jak za naszych czasów.

Drugim zajmującym przedmiotem było odśpiewanie kantaty Freiligratha i odsłonięcie popiersia Szyllera. Ugrupowane przy niem naokoło stały chorągwie cechów i biusta najslawniejszych znakomitości niemieckich, jakoto: Lutra, Klopstocka, Lessinga, Wielanda, Goethego, Humboldta i Guttenberga; podłe nich stał poważnej postawy Dr. Kinkel, mając z obu stron przy sobie dwóch niemieckich wyrobników trzymających trójkolorowy sztandar narodowy, czerwony, czarny i złocisty, a za nim chorągwie różnych cechów. Amfiteatr ten ślicznie przedstawiał się dla oka. Popiersie Szyllera stało pośrodku osłonięne. Pod koniec kantaty zasłona z niego spadła, i na widok szlachetnego oblicza wieszczka z wieńcem laurowym na skroniach, widzowie wszyscy jakby czarodziejską siłą dotknięci, od razu powstali, z uszanowaniem odkryli głowy, cześć pośmiertną oddając zmarłemu przed stu laty.

Po tak silnem wrażeniu jakie ten widok sprawił, Solo Wieniawskiego na skrzypcach, jakoteż śpiew „*Träume*“, musiały pozostać w cieniu, chociaż niepoślednio były wykonane. Po nich ocuciło się na nowo zajęcie śpiewem szyllerowskiego *Dzwonu*. Sama liczba tysięcy śpiewaków, dobrze wyuczona do oddania z precyzją myśli tego arcypięknego utworu, uczyniła sprawiedliwość poecie i zadowolniła ze wszystkim słuchaczów. Anglikom szczególniej on się podobał, i znawcy porównywając go z angielskim *Alexander's Feast* Drydena, niewahali się *Dzwonowi* przyznawać wyższość. O ile ten sąd trafny, nierozbieram, zdaje mi się tylko, że przedmiot jednéj i

drugiej poezji zbyt jest odrębny, aby mogły być porównywane. Uczta Alexandra, Drydena, znana jest w naszej literaturze z przekładu J. U. Niemcewicza.

Lecz z całego obchodu nie Anglików bardziej niezajęło jak marsz pochodni wieczorem, bo *Fackelzug* tak nierozłączny od narodowości niemieckiej, jak fajka i piwo. Są to najwybitniejsze jej znamiona, bez nich tu Niemca nie pojmują. Z *fakelcugiem* swym też wydawali się nieporównani. Jak skoro się dobrze zmierzchno, za danym znakiem błyskać zaczęły w obszernym parku pałacu na dwóch miejscach ognie zapalonych pochodni. W kilka minut uformowały się dwa długie szeregi pochodniarzy przeciągające tu i owdzie po parku, jakby dwa połyskujące czerwone jaskrawe sznury, w zamglonej atmosferze listopadowej. Cudne i urocze to dla oka przedstawiało widowisko. Ile ludu znajdowało się w pałacu, to wysypało się na tarasy, aby się temu widokowi przypatrzeć. Sznurem te dwa połyskne szeregi pochodniowe, z dwóchset osób złożone z chorągwiemi snuły się po zaroślach, pagórkach i ścieżkach nad stawami, odzwierciadlając jaskrawo posępne światła na ich powierzchni i rozbijając je na krocie różnobarwnych brylantów w wodotryskach fontan które wtenczas grały. Podczas tego pochodu, z obu szeregów często odzywały się podchwytywane zwrotki narodowych pieśni. A gdy się nachodzono i pochodnie zaczęły się dopalać, pozrucano je wszystkie na jedną kupę, tworząc z nich jedno ogromne płomieniejące ognisko, od którego światła cały krzyształowy pałac oświecony był jak we dnie.

Niekoniec na tem. Uroczystość ta przeciągnęła się długo w noc. Zakończyła ją uczta, na której Dr Hess prezydował. Były tu mowy, wznoszono toasty, między którymi jeden był dla Anglii, na który p. Cohen Anglik wymownie odpowiedział. Obchód trwał do północy.

Pomimo tego nieobeszło się tu bez niejakić zawiści dla tego obchodu rocznicy Szyllera. Objawiały ją niektóre dzienniki poniżając jego talent, zarzucając mu naśladownictwo Szekspira i innych. Tygodnik znów literacki *Athaeneum* podniósł ogólną skargę na zbytęczne samolubstwo Niemiec, w tych uszczypliwych słowach: „Za dostojną inicjatywą księcia małżonka, lista składek na fundusz Humboldta rośnie jak na drożdżach. Wpły-

wają sumy zewsząd, to po 50 to po 5 gwineów, jakby z nieprzebranego banku. Lista ich obiecuje utworzyć się w znaczny pomnik naukowego zapалу; tem świetniejszy, że stać będzie samotny, istny obelisk na intelektualnej pustyni. My niemamy funduszu Newtona, ani też doczekał się Newton posagu w stolicy, lubo będąc Anglikiem jest jednym z nieśmiertelników umiejętności. Pieniądze składane na fundusz Humboldta mają być wysłane do Berlina, aby tam służyły do rozwinięcia nauk przyrodzonych i dalekich podróży. To urządzenie jest jednym z tych, do jakich jużemy tu nieco przywykli. Nieraz kołatano do nas o popieranie różnych projektów na niemieckie cele: na fundusz Händla, na fundusz Mendelsona, na fundusz Szyllera, i inne tym podobne. W wielu razach złożyliśmy naszą kwotę, i przekonaliśmy się w końcu, że nasza cnota stała się jedyną dla nas i największą nagrodą. I mniejsza o to; bo taka była nasza fantazyja a może taki humor, że w ten sposób działaliśmy. Ale niegniewalibyśmy się za to, gdybyż ten sam humor zakradł się i poza Ren. Byłoby to wdzięcznem, według nas, ze strony niemieckich komitetów, upraszających tylokrotnie o naszą sympatyą i nasze funty, gdyby pokazać nam mogli choć jeden literacki, muzyczny lub scjencyficzny fundusz, pomnik albo obchód, do którego by się z swoim datkiem, lub ich rodacy choć raz przyczynili. Pytamy przeto i radziłyśmy byli słyszeć, gdyby powiedział jeśli kto wie: Jaka istotnie suma przysłana była nam z Berlina na posąg Newtona, któryśmy niedawno wzniesli dla niego w Grantham?“

Rzym w listopadzie.

Niemasz zapewne miejsca w świecie, gdzieby Dzień Zaduszny — to smętne święto nieboszczyków — właściwiej obchodzon był jak w Rzymie: Rzym zawdzięcza swój najpopularniejszy a może i najchlubniejszy tytuł tej wieczności, dokąd się zmarli przenoszą: zowie się on wiecznem miastem. Wieczne zaś miasto musi być

koniecznie miastem grobów, a pod tym względem za-
prawdę Rzym nie lęka się porównania z żadną w świecie nekropolą. Jestto największy na ziemi smętarz; podwalinami jego są katakumby w których trupy spoczywają nad trupami jak warstwy ziemi w geologicznej tablicy lub jak zioła w zielniku: każdy atom życia ma krocie zgonów pod sobą....

Ciała ludzkie grubszą się tam podściółką posłały od jesienno-go liścia w lasach; prawdziwemi gruzami tej ziemi są kości. Posiwała ona od ludzkich prochów, poziom się od nich podwyższył i urosł; siedmioro wzgórz zgarbiło się i ugrzęzło w nich jak wóz w bagnisku, a dno rozdołów poczęło dorastać wierzeholką wyżyn: śmierć wypełnielka jam grobowych nie cierpi nierówni.

Rzymianie stawiali niegdyś swe nagrobki nad pysznemi gościńcami, sadzili się na pośmiertną okazałość, mniemali że śmierć upowią w swój marmurowy całun by się na ich pamięć nie targnęła; sądzili że nad drogą, którądy cały rodzaj ludzki przechodził, nie ośmieli się zadać jawnego gwałtu ich imionom..... Ale prąd życia upłynął, imiona się pościerały, i tylko bezimienne zwaliska nagrobków pozostały nad pustym gościńcem jak kępy i ostrowy w korycie wyschlłej rzeki. W samym domu śmierci nie było im danem zamieszkać stale; śmierć zazdrośnica stłumiła ostatnią iskrę życia, którą jej powierzano na to, ażeby nie zagasła.

Teraz zburzywszy kruchą, nieśmiertelność z głazu i ze spiżu, jak sobie Rzym był utworzył, panuje ona wszechwładnie i niepodzielnie w mieście i za miastem, panuje w cyrkach i w amfiteatrach, na forum i na rostrach, w bazylikach i w świątyniach, pod tryumfalnemi łukami i wzdłuż bezwodnych wodociągów, w spustoszałych pod-sieniach i w termach, gdzie się jaszczurka na słońcu wygrzewa. Wieczność Romy jak ciężkie koło tryumfalnego wozu zmelło na proch i perzynę wszelki objaw życia; Roma cała podobna jest do jednego z tych ołtarzy walających się po jej gruzach, na których pozostał jedynie ich wotywny napis: *Dūs Manibus*.....

Życie nie może iść w parze z wiecznością: jakoż jest ono tylko przypadkowym zjawiskiem we wiecznem mieście, pasożytem pnącym się po tym ołtarzu....

Obraz tego nicestwa przeraża i gniecie: wśród zburzonego odmetu gruzów i kości myśl twa dotknięta zawrotem ażeby nie zwątpić o sobie samęj, paść musi w ramiona krzyża utkwionego pośród Kolosseum, jak jaśkółka na pokład okrętu podczas burzy. Wyższym jeno duchom danem jest sterować na tem Martwym morzu ruin, wygrzebywać iskrę nieśmiertelności z tych popiołów, zaklinać i poprzysięgać te gruzы, tę głuszę, tę próżnię, te groby, ażeby się otwarły jak usta świadka i świadczyły o zmartwychwstaniu. . . .

Duchy takie olbrzymich skrzydeł i orlego polotu czując iż grzęzną tutaj w prochach ludzkich jak w piaskach Sahary, iż im tutaj ziemia z pod stóp ucieka, iż trzeba przelecieć na tamtą stronę grobu lub uwierzyć w nicestwo, rozskrzydlają się w nieskończoność: z tego to miejsca Dante roku 1300 podczas pierwszego jubileuszu wyruszył do Raju, i wznosił się od tych prochów aż do gwiazd co nad niemi świecą, aż do samego podłoża tronu Bożego.

Z tego to miejsca jak Dant przez piekło przeszedłszy za życia Zygmunt Krasinski — ów Prometeusz serafickiego porządku związany w śmiertelnem ciele struną, która go brzmiać raniła a raniąc dźwięczała, — ujrzał przedświt zmartwychwstania bielący się za rozpadłemi kruzgankami Kolosseum i jak Ezechiel stojący nad kośnicą świata kazał kościom prorokować w téj cudnej improwizacyi, z której kilka tylko wierszy przytoczyć możem niedomawiając onych, niby ucinki pieśni co echo powtarza:

Przechodniu! spojrzj po rzymskiej równinie
 . . . Co zostało z dumy:
 Środkiem pustyni mętny Tyber płynie,
 . . . W okół zwalisk rummy. . . .

I tu chadzali w purpurze i złocie
 Niesprawiedliwości,
 A dziś ich świątyń marmury śpią w błocie,
 Nad prochem ich kości.

I tu mawiali: Wytracim narody,
 Roma jedna będzie! . . .

Patrz — po ich cyrkach jak pasą się trzody,
I bluszcz pełza wszędzie.....

A tchnęli rzymską tą siłą bez granic,
Co światu przykładem;
Lecz zmarli śmiercią, bo struli się na nie
Własnych zbrodni jadem.

Wyczytaj z gruzów téj kampanii Rzymu,
Że Ona nie zginie!
Moc bez miłości podobna do dymu:
Nie my — dym ten minie....

Jak z tych Katakumb co leżą pod spodem
Krzyż wyszedł zwycięsko,
Zwycięskim z grobu wyjdziemy pochodem
Nieśmiertelni klęską!

Niechaj mi świadczy ten forum ludowy
W pusty zamienion parów,
Niechaj mi świadczą połamane głowy
Korynckich filarów....

Niechaj mi świadczą te bogów posagi
Pryśnięte w kawały,
Te wieże, termy, łuki, wodociągi,
Przedziczące w skały.

Niech mi te świadczą grobowce bez końca
Ze wzgórza na wzgórze,
Niech mi krąg świadczy italskiego słońca
Nad niemi w lazurze.

Niech wszystko świadczy tu zdala czy z bliska,
W górze czy w nizinie,
Światło niebieskie i ziemskie zwaliska,
Że Ona niezginie!

Że jest duch mściciel co z Bożej zarady
Tkwi w dziejów głębinie,
Że gina fałsze, wiarołomstwa, zdrady,
Lecz Ona niezginie!....

.....

Rzekliśmy że w Rzymie, gdzie odwieczna nieprzyja-
 ciółka rodzaju ludzkiego tak przestronno panuje, Dzień
 Zaduszny jest patrońskim świętem. Nie mówimy tego
 jedynie w znaczeniu przenośnem, filozoficznem, ale w rze-
 czywistem. Rzym ma dziwny pociąg do święta niebo-
 szczyków, po za obrębem nawet religijnego obowiązku,
 co zespala w jedno w dniu onym Kościół bojujący z cier-
 piącym Kościołem Śmierć wywzajemniając się takż swęj
 stolicy, nigdzie z takim cynizmem nie rozkrywa całunu,
 w który obwinięty jest stary jęj kościotrup. Ażeby się
 o tem przekonać, dość jest zwiedzić smętarze rzymskie
 podczas oktawy Zadusznego Dnia, a mianowicie sklepy
 Bractwa Śmierci i Kapucynów. Ponury włoski zwyczaj
 zamienia je przez te dni żałobne w rodzaj okropnego
 teatru. Mrowie ci przebiega po skórze gdy tam wcho-
 dzisz, bo nastraszniejsze opisy Anny Radcliffe w *Taje-
 mnicach Zamku Udolfa* albo w *Konfesyonalu Czarnych
 Pokutników*, i najfantastyczniejsze pozaświatowe wybryki
 fantazyi Hoffmana niczem są w porównaniu z rzecz-
 wistością jaką masz przed oczyma; i przeto kiedy się
 ztamtąd ratujesz ucieczką, zmora usiada ci na piersiach
 i dławi cię przez czas długi: mniemasz widzieć wkoło
 siebie to płasające koło *Tańca Śmierci*, które pędzel
 Holbeina tylokrotnie i z takim natchnieniem odwzoro-
 wał.....

Wyobraż sobie sklepy przestronne jak sale i przed-
 stawiające podobieństwo do kościoła lub raczej do po-
 gańskiej świątyni. Strop opiera się na kształtnej fryzie,
 na kapitelach i na kolumnach z grecka naśladowanych,
 w których przestworzu zdaje ci się widzieć misterne
 płaskorzeźby. Zbliżasz się tedy do nich, ale przebóg!
 zamiast płaskorzeźb i marmurów poznajesz, że ściany
 wykładane są ludzkiemi czaszkami, poznajesz że te fry-
 zy — kości, że te nadślupia — kości, że te gzemsy —
 kości, że te kolumny — kości: wszędzie dokoła kości,
 same ludzkie kości!

Kunszt sceptyczny czyli też głęboko wierzący igrał
 wszędzie ze śmiercią, wyrabiał ją, dłutował i szlifował,
 pieścił się z tem, co było niegdyś człowiekiem, jak z bryłą

marmuru, jak ze sztabą kruszeu, jak z kawałkiem słoniowej kości, jak z kwadracikiem mozaiki. Kunszt ten grabarski wdarł się jak upiór do wiecznego odpoczynku zmarłych, usiłując zamienić rysy trupa znieruchomione widokiem wieczności w mizdrzącą się teatralną maskę, chciał dać zniszczeniu uśmiech, który jest tylko okropnem wykrzywieniem.

Sala ta rzęśisto jest oświecona: ze stropu, na którym kość ludzka zestrzela jak ponure zwierciadło balowe odbłaski pozapalanych świec, zwieszają się pajaki z obojętów misternie osadzonych na dziecięcych żebrach. Żebra są także użyte jako naścienne świeczniki o kilku ramionach, a na każdym z nich utkwiona jest świeca. Inne znowu pajaki naśladują starożytne lampy: na długim łańcuchu lub raczej różańcu z ponawlekanych kłykciów i chrząstek, jak owe sznurki białych koralowych gałązek sprzedawane w Neapolu, wisi czaszka zamieniona w czarę oświetlenia, i przygrywająca w traiczny sposób do naszego potocznego przysłowia o oleju w głowie.

Czasami lampa jest jeszcze misterniejszą: trupią głowę w całkowitości pozostawiono; czaszka jej służy za dno i za olejne naczynie, a knot zapuszczon w otwory pali się pogrzebnym płomieniem w dziurach od nosa i ocz, zastępując straszliwie blask zgasłego na wieki spojrzenia. Na posadzce zaś stoją spore świeczniki, w których misternie zestawione pacierzowe kości tworzą kształtne postumenty rozkwitające u szczytu liśćmi z łopatek i ze szczęk gryzących próżnią obnażonemi zębami. Niekiedy kościotrup dziecka użyty jest za kupidyńkę utrzymującego świecznik wykonany w smaku epoki odrodzenia; dla wierniejszego naśladownictwa przypięto mu wijące się kędziory jasnych włosów do bladój kościanej skroni i przytwierdzono do ramionek wiotkich jak suche gałązki, skrzydła z kolorowego papieru naklejane złotym blichtrzem.

Rzecz dziwna! uczucie rodzicielskie we Włoszech nie poczytuje bynajmniej za zniewagę tego szkaradnego pogwałcenia zwłok dzieci swoich, kości z własnych kości; owszem — zgroza powiedzieć — ma sobie za zaszczyt takie figurowanie swych zmarłych niemowląt i podrostków w tej ohydnej komedyi śmierci, którą bra-

etwa rzymskie gorszą świat i obrażają godność ludzką..... Szkarada owa tak się głęboko wkorzeniła we włoskie obyczaje, iż niektóre z najprzedniejszych rodzin oddają trupy własnej dziatwy na mozaikę do tego rodzaju pobożnych gabinetów anatomii, nieusprawiedliwionych nawet użytecznością i naukowym celem uniwersyteckim. Książęta Barberini dali swe zmarłe bliźnięta na mozaikę do Kapucynów; ojcowie dla wyrządzenia cześci, nie powiadają już krwi, bo takowej nie było, ale kościom, wprawili oboje w sufit swego sklepu dodawszy im książęcą koronę i rodzinne herbowe pszczoły na to zapewne, by jak Samsonowe robiły swój miód w ich otwartych szczękach.....

Inne znowu kościotrupy, aktorowie tego grobowego teatru, mają sobie porozdawane mniej śmiejące role niż drobnych kupidynków z papierowemi skrzydełkami. Niektóre z nich wyobrażają samą śmierć w typie uwiecznionym przez ludowe podania i średniowieczne malowidła. Dla otrzymania zaś tego rodzaju podobieństwa nie trzeba było wielkiego zachodu: zarzucono kościotrupowi na śpiczaste ramiona biały całun udrapowany z teatralnym gustem w szerokie togowe fałdy, i dano mu do jednej ręki kosę a do drugiej klepsydrę, naginając niekiedy członki jego dla większego wdzięku i zgrabności jak gdyby śmierć leciała, a niekiedy wykręcając sztywne nogi kościotrupa jak gdyby śmierć dygała w menuecie..... Jestto słowem sławny jój średniowieczny taniec, ale nie w obrazie lecz w uczynku, w straszliwej sztuce przez szkielety granój: brak tylko tego długiego szeregu żyjących, który Libityna skocznie za sobą pociąga w malowidłach Holbeina, tych królów i cesarzów w koronach, tych papieży w tiarach, tych biskupów w infułach, tych rycerzy w zbrojach i tych dzieciwie porwanych ze stopni ołtarza z pomarańczowym wiankiem na skroniach, którzy tuą gęsiego w ślad za swą kosistą przewodniczką.....

Światło z tych żałobnych lamp i świeczników zlewa się na ściany, po których bieżą najfantastyczniejsze arabeski i floresy z ludzkich kości, najdziwaczniejsze piramidy z czaszek patrzące tysiącem próżnych ocz w których się ciemność zbiera jak deszczowa woda.

Na tem tle żółtawem posępne oblaski rozświecają okropniejsze jeszcze trofea śmierci. Są to mumje nie obrane z ciała, kościotrupy z pargaminową skórą przy-schłą do ich chropowatości. Mumifikacya padła na nie w rozlicznych kolejach śmiertelnego rozkładu.

Mnogie z nich są całkowite, doskonale dochowane, a blade te oblicza na których obraz życia pozostał gdyby barwa na zasuszonym kwiatku — jedynie jako rycina i fotograficzne odbicie — zachowują dotąd wyraz, jaki miały przy zgonie, i wewnętrznym wzrokiem, pod spuszczoną na zawsze zaponą powiek, patrzą poważnie i nieruchomie w wieczność, i patrzeć nie przestaną dopóki się w proch nie rozsypią.

W innych straszna tajemnica pośmiertnych kolei naszej znikomiej powłoki ukazuje się bez zasłon i w całej swjej nagości: Śmierć jak ładna kobieta dała się zejść w negliżu, co urocze jej kształty wyjawia żadnemu chłonnacemu je oku.

Niektóre z tych twarzy na pół znikły jak szkic prze-połowiony gąbką malarza; zniszczenie wytknęło na nich swoją granicę czarnem pasmem zgnilizny: z jednej strony kość wolna od zwietrzałego i stoczonego ciała przeły-skuje właściwym sobie szklistym połyskiem, bezdusznym glancem drewna, kamienia, martwej rzeczy; z drugiej zaś zarys Bożego podobieństwa pozostał jeszcze częściowo; ale śmierć pokrzywiła jego linie jak te nieumiejętne żaki co grubym ołówkiem pociągają z wierzchu kreski misternej ryciny. Połowa ust zda się dotychczas wyrzekać niezrozumiałe jakieś półsłowo; na kawałku uschłego jak listek ciała kędzierzawi się dotąd włos w nieładzie zachowujący może jeszcze krętość, jaką mu nadało za życia perukarskie żelazko przed ucztą lub balem, w którym zgon niepamiętnego lub niepamiętną zaskoczył; brew jedyna jaka pozostała nie straciła harmonijnego swego łuku; ale oko wypłynęło i uschłe wisi na żyłce jak zegarowe wahadło. Możnaby rzec że nieboszczyk oczy wypatrzył....

Nie przesadzamy bynajmniej: opisujemy tylko. Szczegół o wiszącym oku jest wiernie z natury przerysowanym. Niedowiarkowie! za przybyciem swem do Rzymu niech go sami raczą sprawdzić. Znajduje się ono w pod-

ziemiu Kapucynów na placu Barberini, tam gdzie leży nasz książę Aleksander Sobieski, którego szczęściem na mozaikę i honorowe wiszenie na ścianie nakształt familijnego portretu użyć się wstrzymano.

W głębi zaś przystrojonej i oświetlonej w ten sposób sali otwiera się przez całą oktawę dnia zadusznego rodzaj żłobu lub raczej teatru lalek. Te są wielkości naturalnej, z wosku najczęściej ulepione i przyodziane w drogie jedwabie i złotogłów. Treść tych grup najczęściej jest wzięta z pisma św. Widać np. Rebekę dającą pić z konwi słudze swego narzeczonego, Judytę ucinającą głowę Holofernesowi, pojedynek Dawida z Goliatem, żonę Putyfara wabiącą Józefa do grzechu, i t. d. Lalkom tym pod względem artystycznego ugrupowania, udrapowania i sztucznej piękności nie zarzucić niepodobna. Te nieraz sielankowe obrazy z życia pierwotnych patryarchów, te obyczajowe ustępy z pomiędzy palmy a namiotu, technące biblijną poezją i świeżością, dziwnie odbijają przy okropnem widoku co je zewsząd otacza. Nigdy niemogliśmy pojąć należycie ich związku z pamiątką zmarłych i z podziemiami, co im służą za widownię. Należy chyba przypuścić, że ta misterna wystawa figur ma na celu przyciąganie ciekawej publiczności (albowiem sądzę, że pobożne dusze inne mają pobudki do nawiedzania smętarzy jak przypatrywanie się woskowym lalkom), i zabezpieczenie zmarłym za pomocą jałmużn okwiśszych tam, gdzie większy zjazd ludzi, tego dla duszy spoczynku, którego bractwo śmierci biednym kościom odmawia, gdy je tak cynicznie rozgatunkowuje w mozaikach swoich.....

Zresztą przypisując bractwu Śmierci dzieło takowe i twórczość w tym przedmiocie, wyrządzamy mu cześć, jaka się należy niektórym tylko członkom jego, mistrzom nowego fachu i obrzydłego kunsztu: sąci bowiem we Włoszech, a mianowicie w Sycylii i w Rzymie (sztuka jak wszystko co wzniosłe i piękne miewa swe nadużycia) artyści od kości ludzkich, trudniący się wyłącznie połączeniem i zastosowaniem oddzielnych kunsztów Bramanta, Buonarrottego, Celliniego i Zuccata do znikomiej części naszej istoty, do gliny z której są ulepieni synowie Adama....

Gdzie indziej takie rozpasanie artystycznój fantazyi i kunszt przystojniejszy szakalom wygrzebującym trupy niż ludziom, zawiódłby tych panów do policyi poprawczej; we Włoszech zaś zgadza się on przedziwnie z obyczajami narodu i z instynktem plastycznym lub, powiedzmy prawdę, grubo zmysłowym ścieleśniałych południowych plemion, w których zniewaga śmierci, jój zgniła i obrzydliwa strona, toż czynienie trupów śmiesznemi, używane są jako bodziec do oderwania człeka od grzechu i do przypomnienia mu wielkich spokojnych prześwieatnych i przepięknych tajemnic nieśmiertelności i chrześciańskiego wyrzeczenia się! Niecna ta komedya jest zakałą i sromotą dla tych, co ją wyprawują. Próżno albowiem jest myśleć, iż podniosiem jedną cząstkę naszej istoty przez poniżenie i sromotne огоłочenie drugiej, że uszlachetnim siebie gdy z ciała uczynim nie służebnika ducha lecz błazna jego i niewolniczą małpę. Widok młodej królowej stoczonej od robactwa po zgonie, mógł posłużyć św. Franciszkowi Borgiaszowi do opamiętania się, widok uciętej głowy księżnej de Montbazon, którą ubóstwiał, mógł stać się powodem panu de Rance do założenia zakonu Trapistów; ale biada tym, co przypadki takie zamieniając w regułę, używają zgnilizny i czaszek za podniecię do nawracania. Wszystko co jest szlachetnego, wolnego i niepodległego w człowieku oburza się przeciwko temu dziecinnemu straszeniu ludzkości. Strach był zawsze niefortunnym prawdy sprzymierzeńcem. W głębi duszy naszej leży wieczna przeciw niemu protestacya i nieśmiertelny rokosz, jakich żadna w świecie inkwizycya nie okiełzna. Jedno spojrzenie na krucyfiks tysiące grzeszników nawróciło; nie słyszałem zaś nigdy, ażeby obrazy, których są pełne klasztorne cele i korytarze we Włoszech, i kędy widać latające smoki, buhające ognie i djabłów uwijających się z widłami około pościeli grzesznika, podobny skutek kiedykolwiek sprawiły. Zatrzymaliśmy się dłużej może niż wypada nad tą rzeczą, albowiem uderzyła nas dążność do trwożenia, jaką się — w obecnych mianowicie czasach — odznacza pewien ponury ascetycyzm i nieroztropny mistycyzm, chętniej się zaczytujący w apokalipsę niż w pełne prostoty i cudownej łagodności praktyczniejsze przepisy Ewangelii.

Poznaliśmy parę lat temu w Rzymie podobnego ascetyka. Byłto przedziwny typ tego rodzaju i na zawsze utkwiał nam w pamięci. Miano go w całej dzielnicy za świętego. Chcieliśmy się przekonać o tej świętości, bo coś miłszego w świecie jak ten promień łaski który czoła niektórych wybranych otacza przedśmiertną aureolą dobroci, cichości i niewypowiedzianej słodyczy? Pośpieszyliśmy tedy do naszego cudotwórcy. Mieszkał on koło kolumny Trajańskiej przy ulicy wiodącej do bazyliki Konstantego, między nowym a starym Rzymem, na pograniczu życia i śmierci. Dom, którego był właścicielem, odznaczał się od wszystkich swych murowanych sąsiadów; był on nieochędożnym i groził upadkiem. Wapno co szerokimi kłębami poodpadało było od facjaty, pokazywało nagą cegłę jak łachmany żebraka sprośne trędowate cielsko. Drzwi wiszące na jednej tylko zawiasie i moknące w obrzydłym ściekowisku prowadziły do ciemnego korytarza, gdzie znajdowano omackiem przy końcu poręcz rozchwianych i dziurawych wschodów. Niewiadomo było, czy się wchodzi do mieszkania gospodarza, co się wszystkiego wyrzekł i żył po zakonnemu wśród marności wieku, czyli też do jednego z tych domów wątpliwój sławy, gdzie niecni przedsiębiorcy sprzedają młodość i piękność za garstkę żółtej ziemi.

Ale to wątpienie ustawało skoro się dochodziło do okienka rozświecającego trochę wyżej wschody dwiema szybami, jedną szklaną a drugą papierową. Przy brudnym bowiem promieniu, jaki się z niego sączył, widać było z obu stron mnóstwo od much upstrzonych rycin i obrazów poprzyklejanych do ścian, które pod nimi wyglądały na połatany szlafrok. Kunszt świętokradzki gardzący pierwszemi zasadami malarstwa, perspektywy i proporeyi, rozwijał w nich długiem jak same wschody pasmem, piekielne katusze, kędy djabli zamienieni w kucharzy, cieśli, garbarzy, kowali, krawców, cyrulików, gotowali, smażyli i wędzili potępieńców, piłowali ich, płaszczyli na kowadłach, garbowali im skórę, krajali ją jak postaw sukna i robili im za pomocą piekielnych narzędzi różne operacye, którym ludzka chirurgia nie znalazła jeszcze imienia. Obok mąk piekielnych widać

było pokusy św. Antoniego i pustelników Tebaidy. Tam szatany przybierały znowu najdziwniejsze postacie, jakie wymarzyła kiedykolwiek połączona fantazyja Owidyusza i Hoffmana, postacie smoków, chimer, pegazów, przedpotopowych potworów, skrzydlatych węży, sfink-sów z obnażoną kobiecą piersią, centaurów, hippogry-fów, kinocefalów, — albo też najlubiejsze formy i postawy starożytnych tanecznice, odalisek, nimf i tych dziewic rzymskich, których czarowne wspomnienie tra-piło i ściagało na puszczy św. Hieronima. W tych jednak niestwornych pędzla pociągach, była pewna grubiańska prawda, pewna cyniczna nagość, pewna *furia* włoska mściwego artysty, co jak Erostrates radby świat z ludz-kością spalił w piekielnym ogniu, iż mimowolnie dreszcz cię całego przechodził Między obrazami wisiały krzyże i krzyżyki, i poprzybijane były różne drukowane sentencye — sygnaturki tych duchownych lekarstw — ściągające się co do jednej do mąk piekielnych a nie wspominające nawet o raju.

Ale pośpieszmy powiedzieć kilka słów o samym go-spodarzu. Był to sześćdziesięcio - letni starzec suchy jak mumia, w założonej czarnej myce, którą uchylał mrużąc oczy ilekroć pobożne jakie słowo wymawiał, w stariej wytartej na łokciach odzieży trzymającej środek między surdudem a habitem, kłaniający się bardzo nisko, skła-dający ręce na piersiach i nie uśmiechający się nigdy. Trzymał on w ręku zamiast tabakierki starcom zwy-czajnej, figurkę ze słoniowej kości osadzoną na hebano-wym postumencie, która słynną była w tej części mia-sta. Figurka ta przypominała wyobrażenie starożytnego Janusa: gdy ją właściciel pokręcił, przedstawiała z je-dnej strony oblicze ślicznej dziewczyny podobne do naj-misterniejszych cacek w rodzaju tak zwanym *Pompadour*; ale za nowem obroceniem wychodziła na jaw straszliwa trupia głowa.

Izba sama wysoka, ciemna i wilgotna, pełna była cuchnących wyziewów i par zbutwielizny. Ściany jej od sufitu do podłogi znikwały pod niezliczonym mnóstwem obrazków tej samej treści co znajdujące się na wscho-dach i tej samej artystycznej wartości, bo człek ten brzydził się pięknem jak grzechem i hołdował wyłącz-nie szpetności i szkaradzie. Madonna wielkiego mistrza

zdała mu się pokusą. — Lubo zaś wszelki znak życia i piękności był ztamtąd wygnany, uderzały koło obrazków krocie relikwiarzy, palm, różeczek, szkaplerzy, różańców, kalendarzy ściennych zawierających imiona wszystkich świętych znajdujących się w martirologium, kropielnic, krucyfiksów różnych rozmiarów, a nawet dyscyplin i włosieniec. Krom tego trzy ołtarze w tym pokoju, jeden większy a dwa małe, na których paliły się lampy i gromnice jak przy umarłym.

Gdym starca powitał, ten zanim mię jeszcze usiąść poprosił, wyciągnął ku mnie kościstą rękę i obracając Janusa swego jak cygę, rzekł grobowym głosem:

— Młodzieńcze! patrzaj jakim jesteś a jakim wkrótce będziesz..... *Memento inferni!*.....

Dowiedziałem się niedługo, że ascetyk ów dawny lichwiarz chcąc wynagrodzić zatrzymanie cudzej własności, która dotąd workami złota i srebra w jego kufrach się tała, uczynił był ślub, iż nikomu nigdy pieniędzy nie pożyczy, ile że to pożyczanie omal że duszy jego do piekła nie wtrąciło. Bliscy jego krewni z głodu umierający nie mogli nigdy otrzymać grosza od bezdusznego Faryzeusza. Prawił on im z zimną krwią o niezbędności cierpienia i ubóstwa, ażeby się zbawić, i odpowiadał na łzy i zaklinania ulubioną swoją sentencją:

— *Mementote inferni!* w piekle więcćj cierpieć będziecie jeśli się tam dostaniecie przez niepowściągliwe używanie dóbr ziemskich!

Ale dla odwrócenia ócz naszych od tych ponurych widoków i dla weselszego rozstania się z wami, winnem przed zamknięciem niniejszego listu zaprowadzić was na chwilkę na wieką *tombolę*, jaka 7go listopada miała miejsce w willi Borghese.

Tombola czyli loterya pieniężna uznana urzędownie przez wszystkie rządy Półwyspu, stanowi jeden z najwybitniejszych rysów narodowego charakteru. Ma ona całą ważność politycznego wypadku. Kto widział giełdowych kulisierów w Paryżu, ten tylko może mieć wyobrażenie o nawalnicy namiętności jaką wzbudza. Loterya bywa dwojakiego rodzaju; jedna stała i ciągniona kolejno co tydzień w jednym z głównych miast włoskich; druga nadzwyczajna i używająca *per excellentiam* miana *tomboli*.

Na tój to odmiennie urządzonej ktoś z biorących w nięj udział nieodbicie wygrywa, co rzadko się nader zdarza przy tygodniowem ciągnienu pierwszėj. Stawka na *tomboli* rzymskiej rzadko bywa niższą od tysiąca szkodów (10,000 zł. pol.). a częstokroć wyższą. Wprawdzie na tamtėj wygrać można do 40,000 szkodów, jak to się zdarzyło we Florencyi hrabinie D. z Galicyi, a nawet więcéj, ale to są wyjątkowe wypadki.

Owóz loterya i tombola należą do głównych potrzeb włoskiego żywota. Bez nich żywot ten dla wielu, dla większości zapewne byłby smutnym, opuściłym, ścieśnionym ze wszech stron, bez widoku na przyszłość, bez czarodziejskiego widnokregu, gdzie marzenie swobodnie bujać może, bez nęcących w dali *fata morgana*. Byłby on puzderkiem Pandory, ale bez nadziei na dzień. Loterya i tombola uprzyjemniają go, zdobiają tysiącem powabnych pozorów, dodają mu idealności i skrzydeł. Są one podstawą tysiąca urojonych losów, zawodów, pragnień ba, pewnych siebie kalkulacyi. — Młodzieniec ten naprzykład opiera na tój zasadzie cały gmach z *Tysiąca Nocy i jednéj*, na szczycie którego widzi się jak Cezar w apoteozie otoczony blaskiem, znakomitemi stosunkami, czcią ludzi, godłami wysokich dostojenstw. Panienka ta bez posagu (a mające posag Włoszki nawet po szlacheckich domach są wyjątkowymi zjawiskami na Półwyspie, gdzie niemal wszędzie istnieją fideikomissa, a mianowicie we wiecznem mieście, gdzie statystyka, jak zapewniają, liczy 7½ kobiet na jednego mężczyznę), panienka ta, powiadam, wieć prawie na pewno, że nigdy za mąż nie wyjdzie jeśli nie wygra sporego *terno* lub *quinterno*.

Tak tedy wygranie ono jest wiecznem *desideratum* wszelkiego Włocha, któremu losy nie dały stu tysięcy rocznej intraty. Książęta nawet rzymscy uporczywie grają, — ale sprawiedliwem rozrządzeniem Opatrzności nie wygrywają nigdy.

Pomocnikami zaś i doręcznikami do wygrania są senniki leżące u każdej prawdziwej Rzymianki obok książki do pacierza.

Nie sobie wystawić nie można bardziéj ożywionego i zgiełkliwego jak ciągnienu Tomboli. Tysiące ludzi z biletami w ręku, które znaczą coraz ołówkiem lub szpil-

kami, jak *minenti* używające na to sztyletów co tkwią w ich warkoczach — oczekują z biciem serca ukazania się każdego nowego numeru i burzą się jak fale kiedy wychodzi. Wszystko to się odbywa pod gołym niebem, albowiem żadna sala nie mogłaby pomieścić trzydziestu i więcej tysięcy, co uczestniczą w tomboli. Wygrywający podobnym bywa do starożytnego augura nawiedzonego przez bóstwo: skacze on i pieni się, przedziera się przez tłum wściekle go rozpychając, wywracając wszystko po drodze, i wrzeszcząc żołądkowym głosem: *Ho vinto!* wygrałem!

Częstokroć ten zapal zamienia się w straszną rozpacz, gdy po sprawdzeniu biletów pokazuje się że się nasz bohater omylił!

Tą razą tombola wspólnie wygraną została przez kucharza, który od trzech miesięcy znajdował się bez miejsca, a *spasso* (u Włochów bowiem człek bez obowiązku lub posady nazywa się przez grzeczność członkiem używającym przechadzki), i przez żebraka, którego ta niespodziana korzyść utwierdzi zapewne w żebraniu, najpłatatniejszym, jak wiadomo, rzemiośle w Rzymie, gdzie przemysł nie istnieje, a gdzie żebracy miewają do 50,000 sztuków kapitału i dają po sto tysięcy zł. pols. posagu córkom (córki żebraków są jedynymi posażnemi we Włoszech pannami), jak to uczynił ów żebrak bez nóg siedzący na wschodach kościoła *Trinità de' Monti*, którego znają wszyscy co byli we wiecznem mieście.

P. S. Jeszcze słówko o smętarzach. Po napisaniu już tego listu zaszliśmy spacerem do św. Jana Laterańskiego i niewymowne ujrzelśmy tam okropieństwo.

Grobowy teatr w sklepie szpitalnym urządzony przedstawiał jak zawsze biblijny fakt: „Śmierć pierworodnych“. Woskowi rodziciele z wyrazem rozpaczyny przedziwnie naśladowanym załamywali ręce nad zwłokami swych dzieci dotkniętych mieczem anioła wyniszczyciela. Dla uczynienia zaś tej sceny tkliwszą i dramatyczniejszą, na pierwszym planie zamiast woskowej figury jednego z pierworodnych, umieszczono świeżego trupa! Był to biedny młodzieniec zmarły w przeddzień na sychoty. Że zaś ciało takowe długo leżeć nie może i rychło cuchnąć

poczyna, zastępują je codzień czyli też co dwa dni nowymi pierworodnymi, których szpital dostarcza temu obmierzłemu teatrowi!

Uczucie europejskie winnoby się oburzyć na takie okropne igranie ze śmiercią.

570

GAZETKA LITERACKA.

Kraków. Biblioteka polska wydawana przez K. Turowskiego następujące ogłosiła przedruki: *Pisma* ks. Szymona Starowolskiego. W 3 zeszytach mieści się tu jego *Reformacya obyczajów polskich*, dzieło parę razy przedrukowane; lecz mimo tego nie tak rozszerzone, aby to nowe wydanie nie było bardzo pożądanem. Następnie w jednym zeszycie pod tytułem: *Pisma Mikołaja Ligęzy*, jest to *Votum* tegoż Ligęzy miane w senacie na sejmie koronacyjnym Władysława IV. Takie i tym podobne *Vota* o tyle są ważne, o ile stają się ważnym przyczynkiem historyi, lub wzorem osobliwej wymowy. W ostatni jedno ni drugie niezasługuje na tytuł: *Pisma Ligęzy*, jakby mowa była o jakim wielkim dziele tego nieznanego autora. W tymże zeszycie mieści się mała broszura: *Exorbitancya i naprawa koła poselskiego* p. ks. Stanisława Karnkowskiego (1595) i druga: *Senteneya* tegoż ks. Karnkowskiego o odjeździe króla do Szwecyi. Zamiast urywkowych

tych broszur, wolelibyśmy mieć razem zebrane i wydane pisma Karnkowskiego duchowne i polityczne — to jużby miało poważne znaczenie w literaturze. Nie można zganić przedruku *Historyi Stefana Czarnieckiego* przez ks. Krajewskiego, bo choć ta książka dość słabą jest pod względem dzisiejszych poszukiwań historycznych, ale cała tchnie ogniem rycerskiego ducha który podnosi serca młodych czytelników. Niebawem mają wyjść *Warianty* do Paprockiego Herbarza z ułożonymi do niego *Skorowidzem*, co bardzo ułatwi szukanie.

Wydawnictwo katolickie w osobie p. W. Wielogłowskiego przedsiębierze od nowego roku ogłaszać nowo pismo tygodniowe pod tytułem: *Ognisko* poświęcone interesom rolnictwa, przemysłu, handlu, sztuk i rzemiosł. Cena roczna 8 złr.

Wdrukarni Czecha wyszedł 3 i tom dzieła: *Historya wymowy w Polsce* przez Karola Mecherzyńskiego. W tomie tym mieszczą się następujące przedmioty: Okres czwarty. Epoka Jeznicka

od połowy 17 wieku do reformy Konarskiego. W okrośie tym rozdział 1szy traktuje o wymowie politycznej i przebiega pisma Jerzego Ossolińskiego, Jakuba Sohieskiego, Stefana Paca, Andrzeja Olszewskiego, Pawła Piaseckiego, Krzysztofa Opałińskiego, Grzymułtowskiego, And. Max. Fredra, Pawła Potockiego i wielu innych — w Rozdziale o wymowie religijnej. Jakuba Olszowskiego, Mijkowskiego, Drużbickiego, Najmanowicza, Makowskiego, Lorencowicza, Alexandra a Jesu, Czaratoryskiego, Młodzianowskiego, Trzebieckiego, Frydrychowicza, Załuskiego, Bardzińskiego, Mojeckiego, Moczydłowskiego, Herki i innych. W Rozdziale 3cim historya wymowy sądowej — w Rozd. 4tym wymowa przygodna — w Rozd. 5tym Szkoła wymowy. Krasomowstwo — gdzie autor przebiega prace Kwiatkiewicza, Duczmińskiego, Cieleckiego, Temberskiego, Cynerskiego, Oślińskiego, Steczkowskiego — Warszawczyka, Piotra z Poznania, Kojałowicza, Tyłkowskiego i t. d.

W drukarni Uniwersyteckiej wyszedł *Rocznik* Tow. Nauk. Krakowskiego, poczet trzeci tom 3ci mieści następujące przedmioty: Mowa Fr. Wężyka prezesa T. N miana dnia 26 lut. 1859 r. *Poesya*: Scen kilka z dramatu *Bezkrólewie* p. F. Wężyka. Zdanie sprawy komissyi wyznaczonej celem sprawdzenia doświadczeń Dra Dropsego we względzie jego sposobu użycia elektryczności w zastosowaniu lekarskiem przez Dra Majera. Obraz czynności kom. Balneologicznej w r. 1858 skreślił p. Skobel. Czynności kom. Balneologicznej w r. 1859. Badanie płam krwawych sądowo-lekarskie, ze szczerólném uwzględnieniem w téj mierze heminy i użytku wodanu potasowego, przez

profes. Dr. J. Majera. Przegląd Flory okolic Krakowa przez Felixa Berdau. Z oddziału Biblioteki Naukowej wydawanéj staraniem i kosztem Tow. Naukowego wyszła 3cia część Elementarnego wykładu Matematyki przez prof. Uniw J. K. Steczkowskiego obejmująca Geometrię analityczną wraz z liniami i powierzchniami krzywymi drugiego rzędu.

Rzeszów. U Pellara wyszły następujące książki: *Eudoksya Czartoryska* księżniczka na Kiewaniu, powieść historyczna udratyzowana w sześciu obrazach przez Aleksandra Ładnowskiego, oraz przez tegoż samego: *Frasski, Stefan a Pokucia i Berek zapieczętowany*, ze sztuk tych grywanych na naszej scenie utrzymała się z powodzeniem farsa: *Berek zapieczętowany*.

Lwów. Zawiazane tu przed rokiem Towarzystwo Sgo Wincentego wydało: *Ustawy Towarzystwa Sgo Wincentego a Paulo*. Lwów — w drukarni Zakł. nar. im. Ossolińskich. Książka ta zawiera, oprócz Ustaw Towarzystwa, objaśnienie o odpustach przez stolicę apostolską, członkom i dobrodziejom Towarzystwa udzielonych; mowę Ojca św. Piusa IX, którą miał Sgo Stycznia 1855 r. w Rzymie na walnem zgromadzeniu Towarzystwa Sgo Wincentego a Paulo, upoważnienie JW. Najprzewielebniejszego administratora archidiecezyi Lwowskiej do zawierania konferencyi we Lwowie, tudzież sprawozdanie téj konferencyi odczytane na walnem zgromadzeniu d. 13 marca 1859 r. Cztery arkusze druku w 16ce.

Henryk Szmitt ogłosił drukiem: *Rzut oka na stosunek praw przyrodzonych społeczeństwa ludzkiego do stanowiska żydów w Polsce*. Obejmuje druku arkuszów trzy i pół w 8ce.

Wyszedł temi dniami w osobnym odbiciu: Sowiński, przez Teofila Lenartowicza. Poeta opisuje szturm Woli, zdobycie kościołka przez Moska'ów w r. 1831 i śmierć Sowińskiego — wiersz napisany w sposobie *Reduty Ordona*; bardzo ją przypomina, i stanowi niejako dopełnienie niezrównanej piękności Mickiewicza wiersza.

M. Manieckiego wyszedł nakładem tegoż: Dzierżanowski, dramat w 5ciu aktach, przez J. Szujskiego. Dramat ten był w początku b. r. umieszczony w Dzienniku literackim.

Tutejsza izba handlowa wydała po niemiecku: Sprawozdanie handlowo-przemysłowej izby Lwowskiej, podane wysokiemu c. k. Ministerstwu handlu, rzemiosł i robót publicznych, wyjaśniające stan handlu i przemysłu w obwodzie Kameralnym Lwowskim w latach 1854—1855 i 1856. Lwów str. 137 w 8cc. Książka ta napisana w skutecznym obowiązkowi izby handlowej zdawania co trzy lata raportu ze swych czynności i ze stanu handlu i przemysłu w równicy; zawiera dokładnie zebrane daty statystyczne dotyczące stanu rolnictwa, przemysłu i rochu handlowego w tej części wschodniej Galicyi. Wykaz przywozu i wywozu produktów surowych i innych towarów — stan fabryk znajdujących się w tymże okręgu. Wykaz środków komunikacyjnych i innych w Galicyi ułatwiających obrót handlu. W końcu swego sprawozdania podaje izba w dziesięciu punktach spis ulepszeń koniecznych według niej dla podniesienia bogactwa krajowego w Galicyi, jako takie wylicza mianowicie: zmianę praw wekslowych, nową ustawę rzemieślniczą, uszlachetnienie rzek Dniestru, Bugu i Sauu, zaprowadzenie szkół reali-

nych w miastach obwodowych i t. d. Szkoda że izba handlowa nie wydała książki tej w języku polskim.

Wiedeń. Wyszedł zeszyt 8 na miesiąc sierpień Żywotów Św. Piotra Skargi — nakładem OO. Mechitarystów — pod przewodnictwem X. Maniewskiego Kantan- tego.

Cieszyn. Nakładem i opieczkami Karola Prochaski księgarza i drukarza wyszło dzieło: „*Tomasza z Kempis o naśladowaniu Chrystusa Pana krąg ceteri; z Łacińskiego przetłóżył i wydał X. Józef Guzior do czego przyłączył zbiór modlitw i pieśni najużytych*“⁴. Wiekopomne to dzieło nie wiedzieć w którym już ukazuje się tłómaczeniu polskiem: Cóż do wywołania zewnętrznego, wszystkie zalety przytoczyć o niem można. Zasługa i ztąd równie dla p. Prochaski że stronną opuszczoną zasila wydaniem dzieła pobożnej treści i niezachwianej powagi, bo nawet uświęconej. — O wyjściu bardzo ozdobnym *Katedry Kujawskiej* donosiliśmy w zeszycie przeszłomiesięcznym.

Chelmno. W drukarni Karola Brandta wyszła zajmująca rozprawa: O wykształceniu w języku Łacińskim przez Stanisława Węclewskiego napisana pod tytułem: *De Polonorum cultu et humanitate XVI et ineunte XVII saeculo exteris testibus et arbitris advocatis. Culmae 1859.* w 4cie str. 52. (Świadectwa oświeceniowców o wykształceniu i uprzejmości Polaków w XVI i na początku XVII wieku.) Pracownice w piśmie niniejszem zestawione cytaty zbyt jawnie okazują, w jak zaszczytniej Polacy u cudzoziemców w owych wiekach byli reputacy, ob autor własnymi słowy najznakomitszych uczonych jak np. Justa Lipsiusa, Erazma

Roterodmezyka, Pawła Manucyusza, Antoniego Mureta, Jakuba Sadoleta, Juliusza Pogiana, Michała Bruta, Eryka Puteana, Filipa Beroalda i t. p. stwierdza.

Wrocław. Nakładem księgarni Edwarda Trewendt wyszło dziełko pod tytułem: *Wzory stylu romańskiego i gotyckiego z Wrocławia i Trzebnicy przez Dra Hermann Luchs* (Romanische und gothische Stilproben aus Breslau und Trebnitz) w 4toe str. 42 z 3 tablicami litogr. Dziełko to obejmuje treściwy i wielce nauuczający pogląd na dzieje i charakterystykę sztuk pięknych w średnich wiekach. W oddziale pierwszym skreślił autor (znany już poprzednio zaszczytnie z pisma: „O niektórych średniowiecznych pomnikach sztuk pięknych“ w r. 1855 ogłoszonego) główniejsze zarysy dawniej bazyliki chrześcijańskiej o az właściwości stylu romańskiego. W oddziale drugim i trzecim opisał charakterystyki gotyckiego budownictwa, malarstwa i rzeźbiarstwa; przy czém teoretyczne zasady objaśnił przykładami i wzorami jakie mu starożytno świątynie w Wrocławiu i Lignicy hojną ręką książąt piastowskich wzniesione dostarczyły. Dla nas mianowicie dzieło p. Luchsa nader jest ważnem i naucozajacém, ponieważ przez Szląsk sztuki piękne z zachodu ku nam się posuwały. Między innemi znajdujemy wyobrażenie i opis kubka szklanego św. J. dwigi przechowanego w archiwum ratuszném miasta Wrocławia kształtem swym zupełnie podobnego do owego jaki posiada bogaty skarbiec katedry krakowskiej. (Ob. Wzory sztuki średniowiecznej w dawniej Polsce. Warszawa 1855. Seria II. zeszyt I. Tabl. 2).

Poznań. Nakładem księgarni J. K. Zupańskiego wyszło

małe lecz treściwe dziełko Dra Teofila Mateckiego: *Domowa apteczka* w 8oe str. 51. które z powodu swój użyteczności i łatwo dostęgu wykładu w żadnym n'e powinno zbywać domu.

Taż księgarnia wydała utwór bezimiennego autora (K. Zubowskiego) *Dwór pański*, obrazek dramatyczny w trzech aktach, z podaniami gminnych napisany. Dramat ten był już przedstawiany na niektórych scenach prowincjonalnych.

Nakładem Towarzystwa przyjaciół nauk poznańskiego wydano wielce zajmującą pracę Leona Weynera pod tytułem: *Jan Ostroróg* doktor obojga praw, Wojewoda poznański i jego pamiętnik na zjazd walny koronny za króla Kazimierza Jagiellończyka o urzędzeniu Rzeczypospolitej ułożony (1450—1501).

Warszawa. W listopadowym zeszybie Biblioteki warszawskiej mieszczą się następujące artykuły.

Ryszard III. tragedya Szekspira. Przekład Józefa Paszkowskiego.

Rys historyczny opery polskiej poprzedzony szczegółowym poglądem na dzieje dramatu muzycznego w Europie, napisał Maurycy Karasowski, Warszawa 1859 r. Przez Kazimierza Kaszowskiego.

Przegląd krytyczny rozporządzeń tak zwanego Statutu Wiślickiego podług przedmiotów ułożony, z uwzględnieniem poprawnej weryi w dziele p. Z. A. Helcla podanej i z ocenieniem zdobyczy naukowej przez jego badania osiągniętych. Napisał Aleksander hr. Stański. — Literatura współczesna w Niemczech.

Kolej trudów i namysłów jakie człowiek pokonać musiał nim z hieroglifów to jest z pisma obrazowego, przyszedł do pisania głosów i brzmień czyli dźwięków przez Feliksa Żochowskiego.

Kronika paryzka literacka, naukowa, i artystyczna Fryderyk Lemaitre. — Macocha dramat Balzaka. — I Capuletti Montecchi opera Belliniego. — Legenda wieków Wiktora Hugo. — Historya literatury francuzkiej podczas rewolucyi pana Gerusez. — Kilka uwag do artykułów o klasyfikacyi czyli rozdzieleniu szacunku między wierzyteli w razie zbiegu hipotek specyalnych z ogólnymi. — Poezye. Piosnki Beranżera. Me powołanie — Ptaki — Moja suknia — Krawiec i wieszczka — Dziewica ludu. przez Juliana S... Kronika literacka. O dwukrotnem zamezciu księżniczki Ludwiki, Karoliny Radziwiłłówny i wynikłych ztąd w Polsce zamieszkach (Przyczynek do dziejów panowania Jana III.) napisał Antoni Zygmunt Helcel. Kraków 1857 przez Juliana Bartoszewicza. — La Défaite des Tartares et Turcs faite par le Seigneur Jean Zamojski Chevalier et Capitaine général de la couronne de Pologne. Paris J. Techener. Libraire. Rue de L'arbre. sec MDCCCLIX. Przez Juliana Bartoszewicza. — Zbiór śpiewów polskich z towarzyszeniem fortepianu kompozycyi Fryderyka Chopin. Ułożony z manuskryptów oryginalnych i wydany przez J. Fontanę. Warszawa Rękopism Królowski. Orędowniczka ziemi naszej. Wiersz Michała Jezierskiego. Odessa 1856. Wiadomości z nauk. Chemia przez I. B., Korrespondencya o drogach żelaznych w zachodnich guberniach, i stosunku ich do głównej sieci rosyjskich kolei żelaznych przez Ł. Borzenckiego.

Wilno. Księgarnia Józefa Zawadzkiego, już ukończyła w druku J. mera: „Podróży do Włoch,“ tom drugi, oraz wydanie w dwóch

tomach zbioru poezyj Włodzimierza Wołaskiego.

Redaktorka „Czytelnia Niedzielną,“ pani Aleks. Petrowowa uwzględniając ważność i użytek tanich świstków i broszurek straganowych, przekonana, że one potrafią się przedrzeć tam niezawodnie, gdzie „Czytelnia“ jeszcze przystępu nie ma — postanowiła zająć się starannem wydaniem przystępnych utworów pisarzy polskich i rozprzedaży jaknajtańszej za pośrednictwem straganów.

— P. Aleksander Połujański, po wydaniu zajmujących Wędrówek po gubernii augustowskiej, zamierza w podobnej formie i rozmiarach skreślić opis gubernii płockiej. Z serca pochwalamy ten piękny pomysł, a szanowny autor za pracę tak użyteczną znajdzie wdzięczność rodaków. Dwa te opisy będą miały organiczną całość z sobą, bo większa część ludności tych dwóch gubernij są jednoplemienną, jak Mazurów i Kurpiów z małemi odzieniami. Prosimy autora, żeby pilnie śledził charakterystykę ludową tak w podaniach, zwyczajach, jak obrzędach i pieśniach, a zarazem nie zaniedbał zwrócenia starannej uwagi na język i zwroty szczególne jego i przysłówia ludowe. Przy licznych stosunkach i pomocy współobywateli może w tej rzeczy p. Połujański wielkie oddać przysługi tak dziejom wewnętrznym jak i literaturze ojczystej.

— Nakładem księgarni G. Gebethnera i Spółki wyszła książka do nabożeństwa p. n.: „Cicha ła chrześcijańska“. Druk duży i czysty, wydanie staranne, przytém cena dostępna obok wysokiej wartości samego dzieła, zapewniają prędkie pokup i upowszechnienie.

— Druk tomu III „Historyi literatury polskiej w zarysach“ K. Wł. Wójcickiego, w drugiem poprawném i powiększonym wydaniu w ciągu listopada r. b. opuścił prasę drukarską. Nakładca G. Sennewald trzy te tomy wydał r. b.; ostatni obejmujący okres od r. 1825 do 1858 ukończonym zostanie w początkach roku przyszłego.

— Zbiór kompletny pism zmarłego Jana Nepomucena Kamińskiego, zasłużonego dobrze równie w literaturze jak i w utrzymaniu sceny narodowej w Galicyi, zacznie wkrótce wychodzić w Warszawie. Z pomiędzy licznych prac zmarłego męża, wydawcy (syn ś. p. J. N. Kamińskiego artysta opery i p. Ludwik Pietrusiński przyjaciel zmarłego) wybiorą te, które odznaczają się wyższą wartością: wiadomo bowiem, że ś. p. J. Kamiński, jako dyrektor teatru lwowskiego dla podtrzymania sceny narodowej musiał nieraz i mniejszej wartości utwory tłumaczyć, przerabiać lub naśladować, ażeby zwabić słuchaczy. Nowe wydanie, o którym mówimy, będzie w ten sposób urządzane, że kto zechce, może albo całkowity zbiór nabyć, lub też pojedyncze tomy czy to poezyj, czy pism prozą lub tłumaczonych dramatów. Obszerny dyktorys pióra L. Pietrusińskiego pomieszczonym zostanie na czele tego wydania wraz z portretem zmarłego pisarza.

— P. Józef Gluziński, którego badania nad ludem lubelskim równie ważne jak zajmujące umieścił K. Wł. Wójcicki w swoim „Archiwum domowem“, wydał dziełko p. n.: „Drobnostki gospodarskie z własnego czterdziestoletniego doświadczenia spisane Alfabetycznie przechodzi różne przedmioty, mające związek z gospodarstwem wiejskiem; dalej

„w apteczce domowej“ podaje z krajowych roślin wszystkie, które w niej znaleźć powinny miłośnicy, opisuje ich skutki lekarskie; następnie przedstawia „Terminologią“ wyrobów towarowych w lasach Wołynia; zamyka dziełko swoje rozprawą „O ptastwie dzikiem na Podolu“, przechodzi także alfabetycznie każde szczegółowo i kończy: „Tablicą przylotu i odlotu dzikich ptaków na Podolu“. „Pobudką do powyższego opisanie ptaków, (jak wyraża p. Gluziński) najznajomszych na Podolu, jest p. Gustaw Belke z Kamieńca Podolskiego, bardzo znany miłośnik przyrody, który teraz jest zajęty ornitologią, któremu wszyscy w czem kto może pomagają winniśmy, a który gdyby był w stanie zebrać szkielety wszystkich naszych ptaków do pięknego swojego gabinetu, mógłby otworzyć nowe pole do dalszych badań podobieństwa i różnicy rodzajów i gatunków, jakoteż natury zwierząt napowietrznych czyli latających. On do swych wielu wiadomości potrzebował od nas rzeczy o przylocie i odlocie, a także o niektórych przymiotach niektórych też ptaków. W zamiarach swoich nam znanych pan Gustaw Belke nie mniejszej jest zasługi jak p. Wiktor Kozłowski, który jeszcze w r. 1835 na wiosnę w gubernii lubelskiej w lasach ordynacyi Zamojskiej i na polach zaczął zbierać jaja różnych rodzajów i gatunków ptaków, a tych miał około 140 egzemplarzy z gniazd całych, za które nawet drogo płacił. Trzeba było widzieć ówczesnie starego wojaka i znakomitego leśnika, z jaką starannością on przebiegał w tych jajach dziuroczki szpilką i wydmuchiwiał skorupki częstokroć załęgnięte, niezrażony żadnemi trudnościami i nieprzy-

jemnościami, dla rozszerzenia nauki. On to rzucił się był w nowy odmet ornitologii, a po charakterze skorupek jaj w r. 1837 posłał 130 gatunków jaj ptasich uniwersytetowi petersburgskiemu ze stosownemi napisami. Wielką byłoby szkoda dla literatury krajowej, gdyby pisma jego z pomysłów szczególnych nie ogłoszono drukiem, a badania jego nie doszły do wiadomości publicznej.

— Encyklopedyi powszechnej mamy już 6 zeszytów: przed Nowym Rokiem czytelnicy otrzymają kompletny tom pierwszy, złożony z 63 arkuszy ścisłego druku. Litera A obejmuje większą połowę 2go tomu już wydrukowanego; zdaje się, że z literą B złożą trzy tomy: z ostatniej bowiem litery, wielka ilość jest artykułów, dotyczących wyłącznie Polski. Z najściślejzego obliczenia wnosić możemy z całą pewnością, że całość Encyklopedyi Powszechnej, nie przeniesie więcej nad 20 tomów, tak jak to projekt wydawcy zapowiedział. Z ukazaniem się pierwszych poszytów zgłosiło się wielu chętnych nowych współpracowników, którzy grom na czele pierwszego tomu wymienionych, znacznie powiększą.

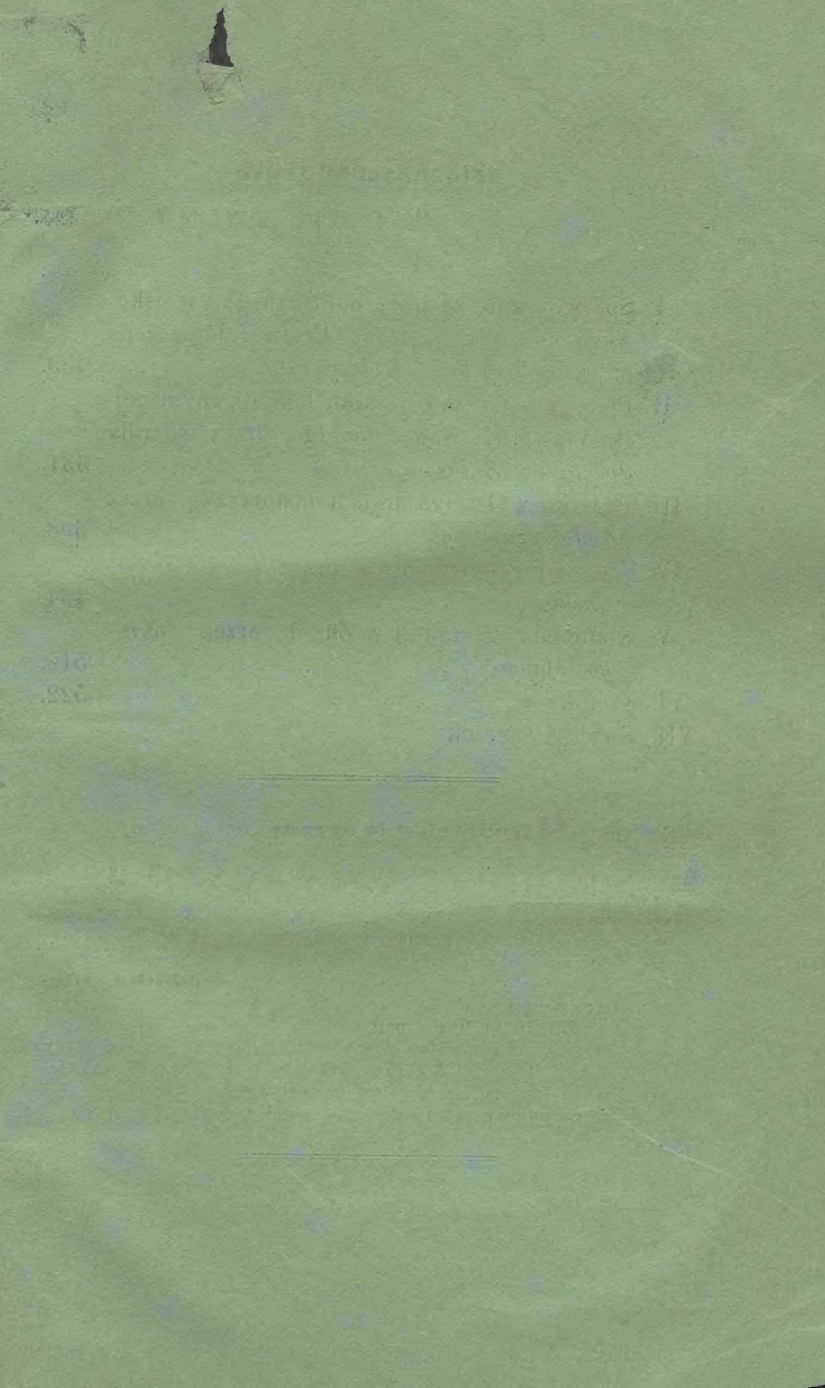
— Nakładem księgarni Michała Glücksberga, wyszła w 4ch tomach powieść J. I. Kraszewskiego p. n. „Resztki życia.“ Drukowana dawniej w odcinku Kroniki wiadomości krajowych i zagranicznych, teraz w oddzielnym wydaniu ogłoszona. Nakładem tejże księgarni wyjdzie wkrótce przekład dzieła M. H. Baudrillarda: „Manuel d' Eco. nomie politique.“ Paris 1857 r., w jednym tomie.

Petersburg. Księgarz i ty-pograf B. M. Wolff w Petersbur-

gu, który dał nam już tyle dzieł ważnych, w r. b. ma wydać: 1) Koberzyckiego, panowanie Władysława IV, przekład W. Kalinki w 2 tomach. 2) Żywoty Św. X. Piotra Skargi w 2 tomach. 3) Śpiewy historyczne J. U. Niemczewicza, wydanie illustrowane według rysunków J. Kossaka. Poprzednio B. M. Wolff wydał podręczną i taną edycyą tych śpiewów bez nut i rycin: obecna edycya, będzie z całym przepychem typograficznym wydana. 4) Sto bajek Stanisława Jachowicza z rysunkami Wojciecha Gersona. 5) Pamiętniki Załuskiego, wydane przez Juliana Bartoszewicza w 4ch tomach. Z pięciu wielkich foliówowych tomów listów Załuskiego, ułożone te pamiętniki: praca ta mozolna, zajęła mu kilka lat czasu. Powziął tę myśl J. Bartoszewicz dlatego, że dając proste tłumaczenie tych listów, nie uniknąłby niepotrzebnych powtarzań, rozrzuconych faktów: chciał tę zamieszkę zwyczajną w listach uporządkować, fakt każdy w całości przedstawić, i dzieło dać prawdziwej wartości, tyle ważne dla dziejów ojczystych, w krytycznym wydaniu.

— Komedia Apollona Korzeniowskiego p. n. „Dla miłego grosza,“ która otrzymała na premium Żółkowskiego *accessit*, wychodzi z drukarni i nakładem Józefa Ohryzki w Petersburgu.

Paryż. Otrzymujemy wiadomość, że poezye Stefana Garczyńskiego, przyjaciela Adama Mickiewicza, które wyczerpane zostały z handlu księgarskiego, w nowém wydaniu ogłoszone wyjdą wkrótce z pod prasy drukarskiej, w jednym tomie w 8oo.



SPIS PRZEDMIOTÓW

w zeszytach listopadowym zawartych.

Stronnica.

I. Sprawozdanie ze stanu politycznego i wojskowego przez Sebastjana Cefali, tłómaczone przez Władysława Kulczyckiego	289.
II. Piąte wspomnienie o pułku lekkokonnym polskim gwardyi Napoleona Igo, przez generała Józefa hr. Zułuskiego	331.
III. Halszka z Ostroga dramat historyczny, przez Józefa Szujskiego	398.
IV. Przegląd Piśmiennictwa, przez Lucjana Sie-mieńskiego	494.
V. Konferencye i traktat w Zürich, przez Maury-cego Manna	512.
VI. Kronika	522.
VII. Gazetka literacka.	


Przedpłata na **Dodatek miesięczny** „Czasu“ wraz z dzien-nikiem :

dla miejscowych rocznie 30, półrocz. 15, kwart. 8 złt. austr.

„ zamiejscowych

wraz z przesyłką „ 34, „ 17, „ 9 „ „

Dodatek miesięczny wychodzi w zeszytach od 12 do 15 arkuszy druku z dniem ostatnim każdego miesiąca.

 Dla zagranicznych pojedynczy zeszyt **Dodatku mie-sięcznego** sprzedaje się w Biórze Administracyi „Czasu“ po 2 Zł. 10 kr. wal. austr.

Dodatek z lat upłynionych jest do nabycia w „Expedycyi Czasu“ po cenie **12 Zł. 60 kr.** wal. austr. za rok je-den, to jest za 12 zeszytów miesięcznych.

Egzemplarzy *gratis* Dodatku miesięcznego nie daje się